

Wydawnictwo

Pauline
ROWSON

OGIEN
i WODA



Pauline
ROWSON

Jej pisarstwo jest jak ostry cios między zebra.
Przyciągające uwagę. Zniewalające.

Hampshire Life Magazine

W MROŻNYM ŚWIETLE DNIA

ZAPŁONIE ZBRODNIA SPRZĘD LAT...

CENA PRAWDY JEST WYSOKA.

Czy Adam zdoła uciec przed śmiertelnymi płomieniami zemsty?

OGIEŃ i WODA

Strażak Jack Bartholomew ginie w trakcie akcji gaszenia pożaru w opuszczonym budynku portowego miasta. **Wypadek czy podpalenie?**

Tego nie wie nikt. Jedynie przyjaciel Jacka Adam Greene zaczyna coś podejrzewać. Nieświadomy ryzyka zostaje wkrótce wpłątany w tajemniczą i niebezpieczną grę pozorów. Odślonięcie skrywanej od lat tajemnicy zmusza Adama do zmierzenia się z własną mroczną przeszłością. Wie, że już nie może się cofnąć, że musi odkryć prawdę bez względu na stawkę.



Think



Wydawnictwo Albatros

albatros.pl

PAŁADOK

Wydawnictwo Albatros

fk

www.albatros.pl

www.redhorse.pl

ISBN: 978-83-60504-81-9



cen. 29.90 zł

9 788360 504819

Tętna Strona

Pauline
ROWSON

OGIEŃ i WODA

Z języka angielskiego
przełożył Tomasz Chwałczyk



Dla Chrissy i mojej mamy.

Dla wszystkich strażaków -
prawdziwych bohaterów.
Zwłaszcza dla Boba
i Czerwonego Patrolu z Southsea.

PROLOG

Prawdopodobnie nigdy nie zaangażowałbym się w te wydarzenia, gdyby nie włamanie w dniu pogrzebu. I gdyby nie wiadomość od Jacka, w której prosił, żebym zaopiekował się jego żoną, Rosie. Zawiodłem go, gdy żył, nie zamierzałem go zawieść po śmierci.

Nigdy nie szukałem ryzyka, nie kuśiłem losu. Wolałem pozwalać wydarzeniom przybierać swój obrót. Jednak przeszłość ma paskudny nawyk - dogania nas, kiedy uciekamy, znajduje, gdy się przed nią chowasz. Moja właśnie to zrobiła. Stojąc nad grobem Jacka na ponurym cmentarzu w Portsmouth w jeszcze bardziej ponury grudniowy dzień, poczułem, że wracają wspomnienia innego pogrzebu - sprzed piętnastu lat. Wróciły z pełną siłą, niemal mnie dusząc.

Próbowałem odpędzić te obrazy, ale nie mogłem. Niektóre wydarzenia nigdy nie odchodzą. Leżą tylko przyczajone i czekają na ciebie. Chciałem zostawić to wszystko, ale czułem, że nie mogę.

Zamknąłem oczy i raz jeszcze spróbowałem zapomnieć. Bez rezultatu. Kiedyś uciekłem przed własną przeszłością. A teraz wiedziałem, że drugi raz już mi się to nie uda.

ROZDZIAŁ 1

Obudziłem się z potwornym kacem. A właściwie Obudziła mnie moja żona Faye krzątająca się po domu. Jęknąłem i po omacku sięgnąłem po zegarek, ale nie trafiłem ręką. Z wysiłkiem otworzyłem oczy. Elektryczne światło raziło jak laser. Był dzień po pogrzebie Jacka, a ja oczywiście leżałem w salonie. Źle spałem. Usta miałem jak papier ścierny, a język o dwa numery za duży.

Co, u licha, robi Faye? Hałasowała, jakby próbowała pobić rekord w bieganiu po domu w podkutych butach i jednoczesnym żonglowaniu naczyniami. Domyśliłem się, że chciała mnie ukarać, bo poszedłem wczoraj pomóc Rosie. Tylko co innego miałem zrobić? Rosie ledwo co pochowała męża, a tu wraca do domu i odkrywa, że miała włamanie. Nie mogłem jej zostawić samej z tym wszystkim. Nie mogłem zawieść Jacka. „Adam, chcę, żebyś zaopiekował się Rosie”. Ostatnie słowa nieżyjącego przyjaciela, choćby napisane na zwykłej pocztówce, zobowiązują. Zresztą poszedłbym i tak.

Zazwyczaj nie jestem zwolennikiem surowych kar, ale wczoraj zmieniłem zdanie. Dla tych włamywaczy stryczek

wydawał mi się za łagodny. Dziwne było jednak, że nic nie zginęło. Tak przynajmniej po wstępnych oględzinach stwierdziła córka Rosie, Sarah. Biżuteria leżała gdzie zawsze i mimo tego straszego chaosu i bałaganu, kwiatów i kartek z kondolencjami, nawet ja zauważyłem, że telewizor i sprzęt grający pozostały nietknięte. Do gabinetu Jacka tylko zajrzałem, ale trudno było przeoczyć zniszczony komputer, a tuż obok nietkniętą drukarkę. Dlaczego? To nie miało żadnego sensu... podobnie jak śmierć Jacka.

Sarah zabrała matkę do siebie, ja zostałem, żeby porozmawiać z policją i załatwić ślusarza do wymiany zniszczonego zamka. Przynajmniej tyle mogłem zrobić.

- A więc wreszcie się obudziłeś?

Pełen wyrzutu głos Faye darł mi mózg jak drut kolczasty. Ponownie otworzyłem oczy i stęknąłem. Patrzyła na mnie, jakbym był czymś, co kot zwrócił na dywan. Nie dziwiłem się, biorąc pod uwagę wczorajszą kłótnię. Faye chciała, żebyśmy gdzieś wyszli uczcić zdobycie jej pierwszego klienta po awansie w tej londyńskiej firmie reklamowej. Ja wolałem iść do Rosie.

Próbowałem się uśmiechnąć, ale musiało to tylko pogorszyć sytuację, bo Faye cmoknęła z niezadowoleniem i poprawiła włosy - chyba jeszcze jaśniejsze niż zwykle.

- Adam, ile wczoraj wypiliśmy?

Podniosła pilota i położyła na telewizorze. Faye lubiła, kiedy rzeczy leżały na swoim miejscu. A ja nie byłem na swoim miejscu. Przypominałem worek kartofli na środku salonu - psujący wystrój, ale zbyt ciężki, żeby go wziąć w dwa palce i wynieść. Ledwie to pomyślałem, Faye zmar-

szczyła czoło i z obrzydzeniem - właśnie dwoma palcami - podnosiła pustą butelkę po whisky.

- Czy to ma znaczenie? - uniosłem się na łokciu.
- Oczywiście, że ma. Nie chcę być żoną pijaka.

Wróciła z kuchni i patrzyła na mnie swymi pięknymi oczyma, z dłońmi opartymi na szczupłych biodrach. Ubrana już do pracy w elegancką czarną garsonkę i spodnie.

- Która godzina? - zapytałem.
- Najwyższy czas, żebyś się wziął do roboty. Za długo już trwa ta twoja stypa. Jack nie chciałby, żebyś tak wyglądał.

Od czasu telefonu Rosie, kiedy to powiedziała mi o śmierci Jacka, nawet nie spojrzałem na pędzle. To było dziesięć... nie, dwanaście dni temu. Zastanawiałem się, czy w ogóle będę jeszcze kiedyś malował.

- Ucieknie ci pociąg - wymamrotałem, próbując wstać i bardzo starając się nie zatoczyć. Wyraz twarzy Faye dał mi do zrozumienia, że nie to chciała usłyszeć.

- Zabieram samochód. Do piątku będę w Londynie w służbowym mieszkaniu. Tak dla informacji, gdybyś nie zauważył, Boże Narodzenie za niecałe trzy tygodnie. Mam mnóstwo przygotowań.

- Kiedy tak zdecydowałaś? - zapytałem ze zdziwieniem, o mało nie przewracając się o naszą kotkę Boudicę, która miauknęła głośno, rzucając mi złe spojrzenie.

„Ciebie też zostawia” - pomyślałem do zwierzaka, pstrykając przykrywką czajnika. Obróciłem głowę w stronę Faye, ale zrobiłem to za szybko - nagły ból sprawił, że natychmiast tego pożałowałem.

- Wczoraj, po tym jak wypadłeś biegiem, zadzwoniłam do Stewarta. Powiedział, że mam wolną rękę.

Czy to miała być kara za udzielenie pomocy wdowie po moim najlepszym przyjacielu? Nigdy nie poznałem szefa Faye, ale też mało mnie on obchodził. No i miałem dość ciągłego wysłuchiwania, że Stewart to, Stewart tamto...

- Pomyślałam, że będziesz miał więcej czasu na pracę i przygotowania do sobotniej wystawy - ciągnęła. - Dużo mnie kosztowało przekonanie jednej z najlepszych londyńskich galerii, nie mówiąc już o potwierdzonej obecności burmistrza Portsmouth, jak i naszego posła.

- Wiem, nie zapomniałem - mruknąłem.

Nie zapomniałem, chociaż miałem na to wielką ochotę. Faye zdecydowała się zadbać o moją karierę, oczywiście swoimi metodami. Branżowymi. Tak jak o to całe badziewie, którego człowiek tak naprawdę nie potrzebuje, ale firmy reklamowe potrafią sprawić, żeby nie mógł bez tego żyć. Mnie osobiście ta wystawa była obojętna. Zawsze czułem zakłopotanie w trakcie publicznych prezentacji mojej sztuki. Fakt, to duża wada w moim zawodzie.

Sięgnąłem po kubek i nalałem sobie trochę kawy. Otworzyłem usta, aby dodać coś jeszcze na temat Rosie, ale Faye była szybsza.

- Czy masz zamiar dzisiaj malować? - Spojrzała na mnie z pogardą.

- Idź już, bo samochód odjedzie bez ciebie - poradziłem spokojnie.

Chwyliła dyplomatkę, kluczyki, rzuciła mi złowieszcze spojrzenie i wypadła.

- I koniec - oznajmiłem kotce.

Boudicca podniosła łeb, jakby chciała powiedzieć: „A czego się spodziewałeś?“, i z godnością wyszła przez swoją klapkę w drzwiach.

Piłem kawę, leżąc rozciągnięty na sofie. Nie jestem dobry w kłótniach. Moją specjalnością jest ustępowanie pola. Dlatego Faye była taka zła. Zamiast dać jej tę przyjemność i pozwolić się pognębić jeszcze trochę, zdezerterowałem. Może powinienem zadzwonić i przeprosić? Nie, za szybko. Zadzwonię później...

Zamknąłem oczy, ale to nie pomogło. Nie mogłem wymazać z pamięci zdarzeń tamtego wieczoru. Policja uważa, że za włamanie odpowiedzialni są narkomani. Ale jacy narkomani zostawiliby biżuterię i inne cenne przedmioty, które można by bardzo szybko spieniężyć. Głośno podzieliłem się wówczas tą wątpliwością z młodszym, okrągłym policjantem.

- Proszę pana, jak tacy są na haju, to nie wiadomo, co się w ich głowach kotłuje - odpowiedział.

A ja od razu sobie przypomniałem moją ostatnią rozmowę z Jackiem.

- Jestem śledzony - wyszeptał do słuchawki dwa tygodnie temu.

- Zwariowałeś? - Zaśmiałem się. - Dlaczego ktoś miałby cię śledzić?

- Jeszcze nie wiem, Adam. To bardzo niebezpieczne, ale jestem blisko.

- Blisko czego?

- Blisko prawdy. Daj mi parę dni.

Niestety Jack nie dostał tyle czasu. Następnego dnia wszedł do opuszczonego starego budynku, który ktoś

podпалиł. Jego zawodem było gaszenie pożarów. Mogło się to zdarzyć każdemu strażakowi, ale zdarzyło się jemu. Z miejsca przestało mi już być wesoło.

Wylałem resztkę kawy do zlewu, patrząc jednocześnie przez okno na targany wiatrem ogród i majaczące w od dali stoki Portsdown Hill. Dostrzegłem też dwa konie na pastwisku, które chyba trzęsły się z zimna. Jack nie miał tendencji do halucynacji. Jeśli mówił, że ktoś go śledzi, to tak było. Tylko kto i dlaczego? Komu mógł przeszkadzać, komu zagrażać mógł strażak?

Narzućłem starą kurtkę i przeszedłem przez ogród do pracowni. Cienka warstwa śniegu, która pokryła wczoraj okolice cmentarza, zniknęła w ciągu nocy, pozostawiając wilgotny i ponury chłód szarego dnia.

Patrzyłem na płótna przedstawiające morskie pejzaże i szczerze ich nienawidziłem. Wszystkie były mierne i nijakie. Moje oczy spoczęły na pocztówce od Jacka. Przyszła dopiero wczoraj, chociaż data na stemplu wskazywała dzień, w którym zginął. Pewnie utknęła na poczcie w stosach życzeń świątecznych. Nie musiałem jej czytać ponownie, bo wciąż miałem przed oczami każdy wyraz. Jednak odpiąłem kartkę ze ściany i odwróciłem obraz Turnera na drugą stronę.

Adam, chcę, żebyś zaopiekował się „Rosie”. Jesteś wybitnym artysta i najlepszym przyjacielem. Szczęśliwego Żeglowania!

Wszystkiego dobrego, Jack
4 lipca 1994

Dlaczego 4 lipca, skoro wysłał ją w grudniu? Dlaczego rok 1994, skoro był 2006? Dlaczego podkreślił niektóre litery? DCHBYAOKWRSIWYYAĄNYOŻWWTKDE. Jakiś szyfr? Nigdy nie byłem dobry w krzyżówkach, tym bardziej takich szaradach, ale Jack owszem. Jedyne słowa, jakie udało mi się ułożyć z tej rozsypanki, to CHOROBA, KONIEC, TOKSYNA, o ile oczywiście reguły dopuszczały powtórne używanie już wykorzystanych liter.

Czyżby Jack wiedział, że umrze? Ale to przecież niemożliwe! Gdyby podejrzewał, że gdy wejdzie do środka, ten zbiornik z gazem eksploduje, to przecież by nie wchodził! Opuszczony dom, żadnych ludzi, dla których musiałby się narażać...

Przypomniałem sobie rozmowę ze Steve'm Langtonem, gdy czuwaliśmy przy trumnie. Steve był jednym z przyjaciół Jacka i inspektorem w komendzie miejskiej. Nie mówiłem mu nic o pocztówce.

- Jest coś nowego w sprawie tego pożaru? - zapytałem za to.

- Nic. Przepytaliśmy miejscowe dzieciaki, chodziliśmy od drzwi do drzwi, ale sam wiesz, co to za dzielnica. Prędzej ukryją mordercę, niż pomogą policji.

- Sądzisz, że to było celowe?

- Masz na myśli ten pojemnik z gazem? Czy celowo był umieszczony w budynku, który miał się zapalić? Tak mi to wygląda. Podobnie myślą śledczy ze straży. Znaleźli ślady użycia przyspieszacza. Czy to były dzieciaki, czy jakiś pomyleniec, którego podnieca patrzeć na ogień i samochody strażackie, nie wiem, ale nadal badamy sprawę i z pewnością dotrzemy do prawdy.

-

Znów pojawiło się to słowo „prawda”. Czym była prawda? Czy możliwe, żeby grupa dzieciaków albo jakiś świr chcieli zabić Jacka? Zresztą jeśli nawet, to skąd ktoś mógłby wiedzieć, że to akurat on pierwszy wejdzie do środka? No, powiedzmy nawet, że ktoś mógłby to wiedzieć, ale w takim razie skąd? Był tylko jeden sposób, aby to sprawdzić - wypytać kolegów Jacka. Nie chciałem tego robić wczoraj podczas czuwania. Dziś to co innego.

Wsiadłem na motocykl i ruszyłem w stronę miasta. Po drodze postanowiłem jednak zajrzeć na chwilę do Rosie. Może w pokoju Jacka mógłbym znaleźć coś, co podsunęłoby mi jakiś pomysł. W domu nie było jednak nikogo. Już miałem odjeżdżać, gdy usłyszałem głos dobiegający z prawej strony:

- Czy mogę w czymś pomóc?

Odwrociłem głowę w kierunku dużego okna w następnym domu. Spoglądała z niego kobieta o krótkich, brązowych, nastroszonych włosach.

Już chciałem podziękować, kiedy coś mnie tknęło.

- W zasadzie tak - powiedziałem wolno.

- Proszę poczekać, już schodzę.

Miała niewiele ponad trzydzieści lat, a na sobie wypłowiałe dżinsy i białą jaką podkoszulkę. Taką, której Faye nie założyłaby nawet do sprzątanania. Nie widziałem tej kobiety na pogrzebie, bo z pewnością zapamiętałbym takie oliwkowozielone oczy i filuterne spojrzenie.

- Nazywam się Adam Greene, jestem jednym z przyjaciół Rosie - przedstawiłem się. - Jak ona się miewa? Muszę ją zobaczyć.

- Jest u córki, ale dzisiaj wraca. Czy słyszał pan o tym wczorajszym włamaniu?

-

- To straszne, co za bandyci! No właśnie chciałem zapytać, czy nie widziała lub nie słyszała pani czegoś podejrzanego między trzecią a siódmą?

- Niestety nie. Miałam ważne spotkanie w Londynie, dlatego też nie było mnie na pogrzebie. Mogę zapytać moją gospodynię Sharon, ja jestem tylko lokatorką. Nazywam się Jody Piers.

- Jeżeli pani gospodyni coś sobie przypomni, proszę do mnie zadzwonić. - Wręczyłem jej wizytówkę.

- Artysta marynistyczny - przeczytała. - Mamy ze sobą coś wspólnego. Ja jestem biologiem morskim.

Spojrzałem na nią nieco uważniej. I spodobało mi się to, co zobaczyłem. Spodobało mi się też to, co przy tym odczułem, ale przypomniałem sobie, że jestem żonaty. Z piękną i czasem bezwzględną Faye.

- A dlaczego właściwie postanowił pan wyręczyć policję? - spytała naraz Jody Piers.

Nie byłem na to przygotowany. Cóż, jako artysta marynistyczny w ogóle na nic nie byłem przygotowany poza tym, że Rosie otworzy mi drzwi i wpuści do środka.

- Prawdopodobnie wkrótce i oni się za to wezmą - odparłem stremowany, ale widząc sceptyczne spojrzenie Jody, musiałem się uśmiechnąć.

- Czy Jack był pańskim przyjacielem?

- Tak - kiwnąłem głową.

- A więc musi pan się czuć całkiem do dupy - podsumowała moje samopoczucie precyzyjniej niż własna żona. - Do widzenia.

Trudno mi było pozbyć się wspomnienia tych oliwkowzielonych oczu, kiedy torowałem sobie drogę we wzmożonym przedświątecznym ruchem ulicach. Jej ciepłe

spojrzenie pomagało pozbyć się sprzed oczu obrazu trumny Jacka. Ale nie samego Jacka. Nie pomagało też wyrzucić z głowy wyrzutów sumienia. Czemu nie widywałem go częściej w ciągu ostatnich miesięcy? Wtedy bym wiedział, czym się zajmował. Niestety, byłem zbyt zajęty wykańczaniem obrazów i przygotowaniem do wystawy. Przeklinałem za to i siebie, i Faye. Jack był jednym z najspokojniejszych facetów, jakich znałem, a przecież w trakcie naszej ostatniej rozmowy jego głos brzmiał jak alarm. I ja ten alarm zignorowałem.

Na miejscu dowiedziałem się, że Czerwony Patrol ma trzy dni wolnego. Wracają dopiero w piątek, niech to szlag! Będę musiał czekać, bo nie znam osobiście żadnego ze strażaków poza Desem Brookfieldem. Wybrał się z nami parę razy na żagle, zanim kupił swój jacht. Zresztą on nie pracował już z Jackiem, tylko w centrali. Nigdy specjalnie za nim nie przepadałem. Był zbyt ambitny i za bardzo szpanerski. Widziałem go na pogrzebie - w tym swoim galowym mundurze wyglądał na waźniaka. Na bardzo zrozpaczonego waźniaka, bo taki właśnie wyraz malował się na jego smagłej twarzy. Tylko czy naprawdę czuł taki smutek, czy jak zwykle na pokaz dobrał odpowiednią minę. Może go zresztą krzywdziłem, ale tak czy siak, mało prawdopodobne, żeby wiedział, czym zajmował się Jack. Niewiele mogłem więc zrobić do piątku, pozostawała mi tylko Rosie. Powinna wkrótce wrócić.

Dla zabicia czasu przejechałem się na jedną z tych zatok parkingowych przy nabrzeżu. Zaparkowałem jak najdalej od wesołego miasteczka i zdjąłem kask. Gdy wdychałem słone morskie powietrze i patrzyłem przez

morze w stronę wyspy Wight, powróciły słowa wypowiedziane przez Jacka: „Słuchaj morza, Adam, w morzu znajdziesz wszystkie odpowiedzi”. Odpowiedzi na co?! Przecież nie znałem jeszcze pytań!

„Szczęśliwego żeglowania” - napisał na pocztówce. Pewnie miał na myśli jacht, który kupiłem od niego w październiku. Ale jak mogłem teraz żeglować na nim szczęśliwie, jeśli każda chwila na pokładzie będzie mi przypominała cudowne lata spędzone z Jackiem. Śmiech i popijawy, poważne rozmowy, chwile milczenia. O Boże, jak będzie mi go brakowało! Tak jak mi brakowało Alison...

Nie, tylko nie Alison! Muszę o niej zapomnieć. Udało mi się to aż do wczoraj, dopóki pogrzeb Jacka nie przywołał tych wspomnień. Teraz już wiedziałem. Pamięć o mojej dawnej dziewczynie - choć to słowo zupełnie nie oddawało tego, kim dla mnie była - nigdy mnie nie opuści. Tak jak nigdy nie opuści mnie wspomnienie jej gwałtownej i niespodziewanej śmierci. Przyjechałem do Portsmouth dwanaście lat temu właśnie po to, aby zapomnieć. Ale widać uciekłem nie dość daleko. Teraz już nigdy nie ucieknę.

Musiałem działać. Włączyłem silnik, ale ociągałem się jeszcze z odjazdem. Wtedy niedaleko zaparkował inny motor. Kierowca zdjął kask. Zdawał mi się skądś znajomy, ale nie mogłem sobie przypomnieć. Skinąłem do niego głową, jednak nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Może coś mi się zdawało.

Wróciłem do domu i znów siadłem do szyfru na pocztówce. Udało mi się stworzyć kilka kolejnych wyrazów, ale niewiele one pomogły.

- Boudicca, jak myślisz, czym zajmował się Jack? -
spytałem kotkę.

Leniwie otworzyła jedno oko i spojrzała, jakby chcia-
ła powiedzieć: „A skąd ja, u diabła, mam wiedzieć?”.

- Ja też nie wiem.

I nie miałem pojęcia, czy kiedykolwiek się dowiem.
Jednak musiałem zrobić wszystko, by poznać prawdę.

ROZDZIAŁ 2

Kiedy następnego dnia rano Rosie otworzyła mi drzwi, wyglądała jak śmierć. Pewnie w ogóle nie spała. Błada, niemal przezroczysta, wydawała się jeszcze drobniejsza, a przecież i tak nieraz żartowaliśmy, że z pewnością wpadłaby do kanału burzowego, gdyby tylko stanęła na kratce. Nadal nosiła żałobę, wyróżniał się jedynie srebrny medalion.

Karty kondolencyjne zajmowały prawie całe wolne miejsce w pokoju - leżały na kominku, półkach i szafkach. Część kwiatów przetrwała, doszły też nowe, wszystkie wazony były pełne.

- Strasznie dużo roboty masz ostatnio - powiedziałem, rozsuwając zamek błyskawiczny kurtki.

- Nie tylko ja. Pomagają mi dzieci i Jody, moja sąsiadka. Wszyscy są tacy mili, a zwłaszcza ty, Adamie. Nie będę w stanie się odwdziaczyć.

- To nic. Jack był moim najlepszym przyjacielem. - Mój wzrok przemknął po jego fotografiach stojących w kilku miejscach. Czego bym nie oddał, żeby usłyszeć jego głos dobiegający z kuchni: „Zaczekaj chwilę, zaraz!

-

Cholera, robi się późno". Jack zawsze się spóźniał, wyjątkiem był jego pogrzeb. Na tę imprezę stawiał się nawet przed czasem.

Położyłem kurtkę na podłodze razem z rękawiczkami i kaskiem, po czym usiadłem naprzeciwko Rosie. Całą noc męczyłem się, próbując rozszyfrować kod Jacka. Bez skutku. Na szczęście w końcu zasnąłem i zapomniałem na chwilę o Jacku i Alison. Ale teraz znów musiałem działać. Liczyłem na to, że Rosie mnie oświeci albo przynajmniej znajdzie się w gabinecie Jacka coś, co mogłoby mnie naprowadzić na właściwy trop.

- Cieszę się, że wstąpiłeś, Adamie. Nie miałam szansy porozmawiać z tobą w kaplicy przy trumnie. Poza tym było to nieodpowiednie miejsce.

A więc coś wiedziała! Była wyraźnie podenerwowana.

- Ja muszę znać prawdę, Adamie. Jeśli Jack coś komuś powiedział, to tylko tobie. Muszę wiedzieć. Czy on miał romans?

Zatkało mnie. To była ostatnia rzecz, jakiej bym się spodziewał, kompletny nonsens.

- Oczywiście, że nie miał.

- Więc dlaczego był ostatnio taki ponury i zamknięty w sobie? Wiesz, że to nie w jego stylu, on zawsze był radosny i kontaktowy.

- To nie był romans, Rosie.

Powinienem powiedzieć jej o mojej ostatniej rozmowie z Jackiem. Powinienem również wspomnieć o pocztówce, ale nie mogłem. Teraz stało się dla mnie oczywiste, że Jack nie wtajemniczył żony w swoje sprawy. No ale czego się spodziewałem? Czy gdyby było inaczej,

napisałby: „Chcę, żebyś zaopiekował się Rosie”? Żebym ją chronił przed prawdą tak jak on?

- Klóciliśmy się przed jego pracą tamtego wieczoru - kontynuowała. - Bardzo tego żałuję, kochałam go tak mocno...

Szybko zbliżyłem się i ująłem jej smukłą dłoń.

- Jack kochał cię nade wszystko.

Rosie ciągnęła, jakby mnie nie słyszała.

- Potrafił spędzać całe godziny w swoim gabinecie zamknięty na klucz. Dlaczego? Czym się zajmował?

No właśnie. Możliwe, że zostawił jakiś ślad w komputerze. Ale przypomniałem sobie potrzaskaną obudowę i spalony twardy dysk. Zaczynałem mieć złe przeczucia co do całej tej sprawy, a cichy głos w mojej głowie radził, żebym się wycofał, póki to jeszcze możliwe.

- Zdarzały się też głuche telefony - powiedziała Rosie. - To musiała być inna kobieta. Pewnie to ona się włamała i zdemolowała dom.

Szczerze w to wątpiłem. Pewnie, kochance Jacka - jeśli by ją miał - mógłby przyjść do głowy pomysł z włamaniem. Ale kobieta raczej zniszczyłaby co droższe ubrania rywalki, a nie rozwalila komputer. Co w nim takiego było? I czy jeśli będę drażył tę sprawę, nie spotka mnie coś podobnego?

Spojrzałem na fotografię przyjaciela.

„Dzięki, bardzo mi pomogłeś” - szepnąłem w duchu.

Nieomal zobaczyłem jego uśmiech, który zawsze mówił, że wszystko się jakoś ułoży.

Spojrzałem ponownie na Rosie. Wyglądała na jeszcze bardziej skurczoną niż wcześniej. Bardzo chciałem jakoś jej pomóc.

- Policja mówi, że to byli narkomani - powiedziałem, ściskając jej dłoń.

- A więc policja się myli. To była kobieta. Nazywa się Dora Wilday. Słyszałam, jak Jack pytał o nią przez telefon. Myślał, że nie ma mnie w domu. Sprawdziłam, oczywiście, w książkach telefonicznych, ale nikogo takiego nie znalazłam.

Nadal nie mogłem w to uwierzyć - znałem go od dwunastu lat. Przez ten czas nie widziałem ani razu, by oglądał się za kobietą. Ta cała Dora prędzej miała coś wspólnego z tajemnicą, którą Jack badał.

- Adamie! Pomyślałam, że może byłbyś tak dobry i przejrzał jego pokój. Nie mam odwagi tam wejść i nie chcę, żeby Sarah albo John cokolwiek tam dotykali. Tylko możesz się natknąć na...

Mogę się natknąć. Na to właśnie liczyłem i po to tu przyszedłem.

- Naturalnie - powiedziałem, starając się ukryć ożywienie. Miałem nadzieję, że Rosie ze mną nie pójdzie.

- Zrobię ci kawę.

Nie chciałem kawy, ale to był dobry pomysł, aby ją zająć na jakiś czas. Kiedy jednak wszedłem do samotni Jacka, nie mogłem myśleć - omal mnie szlag nie trafił. Splądrowany pokój wyglądał nawet nie tak, jakby ktoś czegoś tam szukał, ale chciał zniszczyć ten najbardziej osobisty skrawek domu mojego przyjaciela. Łzy cisnęły mi się do oczu.

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem palmy, które Jack zasadził w końcu ogrodu, żeby się odseparować od sąsiadów. Silny wiatr chylił je i szarpał. W głębi stała mała oranżeria na niewysokim podeście. Prowadziła do

niej wijąca się zwirowa alejka. Oczami wyobraźni zobaczyłem Jacka krzątającego się nieopodal, podlewającego rośliny i klnącego na koty.

Wzięłem głęboki oddech i odwróciłem głowę. Trudno mi było się zdecydować, od czego zacząć, ale od czegoś musiałem. Poprawiłem krzesło i włożyłem szuflady na ich miejsce w biurku. Ponownie otworzyłem jedną z nich, wyjąłem plik dokumentów, a w moje ręce wpadło jedno zdjęcie. Dlaczego sprawcy wyjęli każdą fotografię z ramki, a następnie wszystkie ramki połamali? Wszystkie książki były przekartkowane i rzucone na podłogę - wszystkie tytułem do góry. Gdyby ktoś chciał tylko zrzucić je z półki, zrobiłby to jednym ruchem ramienia. Wyraźnie ktoś czegoś szukał - może zdjęcia, może jakiejś notatki, w każdym razie czegoś, co zmieściłoby się między kartkami.

Spojrzałem na jedną z fotografii - Jack w swoim strażackim kombinezonie wraz z kolegami z Czerwonego Patrolu. Wszyscy siedzieli na specjalnym ośmiomiejscowym rowerze. Mój przyjaciel trzymał kierownicę, pozostali zza jego pleców wychylali głowy w stronę aparatu. Na odwrocie Jack napisał: „Czerwony Patrol - rajd rowerowy na cele dobroczynne, 1993” i wymienił nazwiska kolegów. Zdjęcie zrobiono rok wcześniej, zanim go poznałem.

Przypomniałem sobie ten straszny maj 1994 roku. Było to krótko po moim wyjeździe z Londynu. Siedziałem w pubie, patrzyłem przez okno na zatokę i ścisnąłem w dłoni szklankę piwa. Byłem w takiej depresji, że chciałem skończyć ze wszystkim. Moje życie po śmierci Alison nie miało najmniejszego sensu.

Wystarczyło, że wróciłem myślami do tamtego czasu, a wrócił ciężar w piersiach i zaczęły mi się trząść ręce.

Nie, nie, wolałem cofnąć się do chwili, gdy ją poznałem. Otrzęsiny pierwszego roku w Oxfordzie. Zanim zobaczyłem jej postać, dobiegł mnie śmiech. Jej wielki apetyt na życie przy moim smętnym dzieciństwie i nijakiej młodości był jak wiosna przy długiej, srogiej zimie. Znalazłem miłość swojego życia. A potem straciłem, kiedy wypadła z trzeciego piętra akademika na drugim roku studiów.

Moje dłonie jeszcze się lekko trzęsły, kiedy odkładałem fotografię. Jednak w trakcie układania książek na półkach i porządkowania całego tego bałaganu uspokoilem się, a wspomnienie o Alison odplynęło.

To była strasznie nudna i męcząca robota. Przez moje dłonie przechodziły rachunki za gaz, elektryczność czy wodę, wyciągi bankowe, kwity z firm ubezpieczeniowych. Zapelniałem nimi segregatory - zgodnie z opisem na grzbiecie. Dopiero po chwili zorientowałem się, że jeden segregator, wyraźnie nowszy, nie został podpisany. Gdy dotknąłem jego grzbietu, poczułem, że się klei. A więc jeszcze niedawno musiała tam być naklejka, tylko ktoś ją zdarł.

Usłyszałem pukanie do drzwi i Rosie weszła z kubkiem kawy. Zastygła przerażona bałaganem.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że to wygląda aż tak źle. Nie powinnam była cię prosić, Adamie.

- To nic Rosie, nie mam nic lepszego do roboty - uspokoilem ją. Mógłbym dodać: „Z wyjątkiem malowania”, ale na swoje durne obrazki miałem akurat najmniejszą ochotę. Może już dawno bym to rzucił, gdyby nie Faye...

Wyszła, a ja włożyłem do szuflady taśmę klejącą, nożyczki i inne sprzęty biurowe. Potem na jednej kupce

ułożyłem czasopisma żeglarskie i samochodowe. Kiedy skończyłem, przyglądałem się książkom i przestawiałem je na półkach. Znalazłem kilka powieści Reginalda Hilla i Roberta Goddarda, do tego sporo biografii sportowców. Mała Biblia otrzymana w dzieciństwie stała obok dwóch książek przygodowych - nagród z dedykacjami na koniec roku szkolnego. Było też kilka przewodników turystycznych i parę starych wydań komiksów.

Delikatnie, żeby się nie pokaleczyć, przenieśliem stos porozbijanych ramek na biurko. Na wierzchu leżały zdjęcia - Jack z czasów służby w marynarce wojennej, Jack w wieku lat jedenastu z innymi chłopakami z drużyny piłkarskiej, nieco starszy z drużyną krykieta... Po chwili zorientowałem się, że brakowało jednego zdjęcia. Połączonych ramek było osiem, a fotografii tylko siedem. Rozejrzałem się wokół jeszcze raz, jednak nigdzie nie znalazłem tej brakującej. Może jeśli był jeden wolny segregator, to była też jedna pusta ramka? Gdy wychodziłem, uświadomiłem sobie, że przecież brakuje nie tylko zdjęcia i zawartości segregatora, ale przede wszystkim nie ma dyskietek i pamiętnika.

- Znalazłeś coś? - zapytała Rosie, kiedy wszedłem do kuchni.

Wiedziałem, że ma na myśli coś związanego z Dorą Wilday. Pokręciłem głową. Rozłożyłem na kuchennym stole siedem zdjęć.

- Czy nie brakuje tu jakiejś fotografii? Tu są wszystkie, jakie znalazłem, ale jest o jedną ramkę za dużo.

Spojrzała na zdjęcia i w tym momencie jej oczy wypełniły się łzami.

- Nie jestem pewna, nie pamiętam dokładnie, co wisiało na ścianach. To głupie, wiem, powinnam przecież pamiętać.

- Nie martw się, to nie takie ważne. - Zebrałem szybko zdjęcia. - Czy mogę zatrzymać tę jedną? - Pokazałem fotografię Jacka na ośmioosobowym rowerze.

Wzięła ją do ręki i spojrzała jakoś dziwnie, jak nie na zdjęcie, ale w okno czy w pustą przestrzeń.

- Pamiętam ten dzień - powiedziała. - Od tamtej pory tyle się zmieniło w straży. Został tylko Brian, a i on o mało nie zginął wraz z Jackiem. Des Brookfield jest dzisiaj wysokim oficerem w centrali, Sam Frensham ma hotel w Cotswolds, a Dave Caton mieszka we Francji. - Wskazywała palcem kolejne twarze. - Nie jestem pewna, co dzieje się z Sandym Dittonem, nie znałam go tak dobrze. Nie znałam też Scotta Burnhama. Był w straży bardzo krótko, zmarł na raka. Właśnie, teraz sobie przypominam, że Tony i Duggie również zmarli na raka. - Oddała mi fotografię. - Weź, mam mnóstwo innych, zresztą i bez nich nigdy nie zapomnę Jacka.

- Nie mogłem znaleźć dyskietek. Nie wiesz, gdzie je trzymał? - zapytałam, niezobowiązującym uśmiechem dziękując za fotografię. Serce mi przyspieszyło. Czy potwierdzi moje przypuszczenia, że włamywacze tak naprawdę chcieli po prostu usunąć wszelkie ślady prywatnego dochodzenia Jacka?

- Myślałam, że u siebie. - Spojrzała na mnie zdziwiona.

- A nie macie sejfu?

- Nie.

- Czy możliwe, że dał je dzieciom?

-

- Wątpię, ale oczywiście zapytam.
- A wiesz coś o jego pamiętniku?
- Nie ma go tam? - Teraz wyglądała już na bardzo zdziwioną. - Zadzwońię do Sarah, może ona coś wie.

Gdy Rosie dzwoniła do córki, ja wylałem resztkę kawy do zlewu i splukałem wodą. Od czasu włamania kuchnia została wysprzątana, ale nadal widać było czerwono-brązowe plamy na podłodze od porozbijanych dżemów i sosów. Nic ich nie usunie, trzeba by robić remont.

Rosie mówiła coś swoim delikatnym głosem do słuchawki, a ja nie mogłem przestać myśleć o brakujących przedmiotach. Wszystko to wydawało się nieprawdopodobne, jak z powieści Johna Le Carre. Setki razy wmaślałem sobie, że to wytwory mojej wyobraźni, a wyjaśnienie prawdopodobnie jest bardzo proste.

- Sarah ani John nic nie wiedzą. Ale dyskietek ani pamiętnika nie było też w jego szafce w pracy.

- Może dał je komuś z kolegów? Mogę sprawdzić.

- Adam, obiecaj, że mi powiesz, jeśli się dowiesz czegoś o tej kobiecie. Skoro nie wspomniał tobie, mógł się zdradzić w pracy. Wiesz, jak to jest. Mnie nie powiedzą, żeby mnie nie dobijać, ale tobie mogą wyjawiać całą prawdę.

I znowu to słowo: „prawda"! „Jestem blisko prawdy" - mówił Jack. Niezwykle, że tak kochająca kobieta jak Rosie krzywdziła go swoimi podejrzeniami. Ale taka prawda była dla niej bezpieczniejsza, więc niczego nie prostowałem.

Ledwie wróciłem do domu i włożyłem klucz do zamka, zadzwonił telefon. Pobiegłem odebrać, myśląc, że to pewnie Faye.

- Adam? Tu Simon.

Zatkało mnie.

- Adam, jesteś tam?

W pierwszej chwili chciałem odłożyć słuchawkę albo powiedzieć, że to pomyłka. Minęło jakieś piętnaście lat od mojej ostatniej rozmowy z bratem.

„Dlaczego teraz - pomyślałem - kiedy mam dość problemów na głowie?!”

- Czego chcesz?

- Chodzi o ojca, miał wylew. Jest w szpitalu St. Thomas, w Londynie. Lepiej przyjedź. Ile ci to zajmie?

- Jakies półtorej godziny.

- Spotkamy się w izbie przyjęć.

- Simon, ale ja nie mogę... - zacząłem, jednak po drugiej stronie słychać już było tylko charakterystyczne buczenie po przerwaniu połączeniu.

Powoli odłożyłem słuchawkę, czując się jak rozbitek na rafie. Ze wszystkich stron do niewielkiej kamienistej wysepki podchodzi przyływ, a ja mogę tylko siedzieć i patrzeć, bo uciekać nie ma dokąd. Przeszłość wraca. Najpierw Alison, a teraz wezwanie od brata na spotkanie z ojcem, którego miałem nadzieję już nigdy nie oglądać. Wylew! Dobry pretekst dla Simona, żeby znów mi rozkazywać.

Nie chciałem jechać, ale wiedziałem, że muszę. Bywały momenty w życiu, gdy nie potrafiłem stawić czoła swojemu własnemu strachowi, ale to nie była ta chwila. Wylew, do diabła!

„Jack, poczekał jeszcze trochę” - pomyślałem, wkładając pocztówkę do kieszeni.

ROZDZIAŁ 3

Simon czekał na mnie, choć nie w izbie przyjęć. Znalazłem go siedzącego na krawędzi białego szpitalnego krzesła w pustej, bezbarwnej poczekalni. Pochylony do przodu, z dłońmi splecionymi między kolanami gapił się w podłogę. Lewa stopa drgała mu niecierpliwie, wybijając jakiś nieokreślony rytm.

Gdy wszedłem, podniósł gwałtownie głowę, jakby wyrwany z głębokiego zamyślenia. Na mój widok jego twarz pojaśniała. Zerwał się i wyciągnął dłoń. I to był ostatni moment, gdy myślałem, że może się zmienić. Zaraz na jego twarzy pojawił się dobrze mi znany zdawkowy, oficjalny i lekko pogardliwy uśmiech.

Wraz z jego potężnym uściskiem natychmiast dotarła do mnie fala wspomnień. Jasnowłosy chłopak starszy ode mnie o osiem lat, sprytny, silny, pewny siebie, faworyt ojca. Ten lepszy, pierwotny, odnoszący sukcesy. Nie ten, który zawiódł na całej linii. I to publicznie.

- Jest nadal nieprzytomny. - Simon odsunął się trochę, przesuując ręką po włosach. Zauważyłem, że na jego skroniach pojawiła się siwizna.

Nie było, oczywiście, żadnych wstępów w rodzaju: „Jak się masz? Miło cię widzieć”. Jasne, bo i po co! Nawet gdybyśmy się nie widzieli nie piętnaście lat, ale trzydzieści, Simon byłby tak samo rzeczowy i lakoniczny.

- Bóg jeden raczy wiedzieć, kiedy i czy w ogóle on odzyska przytomność - ciągnął. - Czekam na lekarza, ale wiesz, jak to jest w tych miejscach. Można sterceć całą noc.

Zaczął przemierzać poczekalnię miarowymi krokami i jak zawsze wypełnił sobą przestrzeń. Gdyby to był obraz, cofałbym się ku drugiemu planowi, trzeciemu, wreszcie roztopiłbym się w tle.

Simon przybrał na wadze, ale nie na tyle, by z eleganta stać się grubasem. Drogi i dobrze skrojony jasnoszary garnitur pasował do niego idealnie. Na nogach miał czarne buty tak nienagannie wypolerowane, jakby zdjął je przed chwilą z półki. Na ręce ślubna obrączka i dyskretnie wystający spod rękawa rolex. Wzbudzał zaufanie, emanując siłą i bogactwem. Nieznajomi brali go pewnie za biznesmena, nie za naukowca - zupełnie nie pasował do powszechnie przyjętego wizerunku „Einsteina” w porzucanym swetrze.

Bo on - w odróżnieniu od młodszego, nieudanego brata - poszedł w ślady ojca i zrobił magisterium z fizyki molekularnej z wyróżnieniem. Potem obronił doktorat z biomedycyny, by w końcu zostać członkiem Królewskiego Towarzystwa Chemicznego. Już jako młody człowiek był ekspertem od DNA. Stał się znany w kołach naukowych, a to pomogło mu założyć dobrze prosperującą firmę biotechnologiczną.

- Kto go znalazł? - zapytałem, rozpinając zamek błyskawiczny skórzanej kurtki.

- Jego gospodyni, dziś rano.

- Cały dzień tu jesteś?

Potrząsnął głową i zmarszczył czoło, słysząc taką niedorzeczność.

- Oczywiście, że nie. Znalazła go u podnóża schodów rano, kiedy przysłała do pracy. Pomyślała, że spadł albo miał atak serca. Do mnie wiadomość dotarła dopiero po lunchu, gdy wróciłem do laboratorium. Przyjechałem prosto z Bath. Musiałem odwołać mnóstwo spotkań.

„Cóż za niewygoda” - powiedziała by oschle mój sarkastyczny ojciec, ale ja nie miałem jego talentu do ustawiania ludzi. Właściwie co mnie obchodził jego wylew?! W przeszłości wydarzyło się zbyt wiele rzeczy, których nie mogłem mu wybaczyć. Pogardliwe spojrzenia, zgryźliwe uwagi, przytyki raniące do żywego, zawody, całkowity brak ciepła i miłości... I oto jestem na wezwanie.

- Rozmawiałem z jakąś kobietą. Miała na identyfikatorze „doktor” - rzucił Simon. - Wyglądała bardziej jak stażystka. Powiedziałem, że chciałbym porozmawiać z jakimś fachowcem albo ordynatorem. Było to parę godzin temu. Taką właśnie mamy służbę zdrowia, więc nie wiem naprawdę, ile to jeszcze potrwa!

Miałem nadzieję, że jednak nie użył takich słów w rozmowie z lekarką. Wyglądało na to, że ostatnie piętnaście lat ani trochę nie złagodziło jego charakteru, wręcz przeciwnie. A ojciec? Też ciągle ten sam? Jaką szpilę mi wsadzi, kiedy odzyska przytomność?

Usiadłem, a to dało Simonowi kolejny bodziec.

- Przypuszczam, że będziesz tu siedział i czekał, aż ktoś się zlituje i przyjdzie - zakpił. - Ja nie mam takiego zamiaru. Spędziłem tu już pół dnia i z pewnością nie spędzę tu wieczora.

- Posłuchaj Simon... - zacząłem, ale on już był w drzwiach.

W tym samym momencie szarpnął za klamkę z drugiej strony mężczyzna z lekarskimi słuchawkami na szyi. Prawie na siebie wpadli. Lekarz cofnął się o krok, ale ku mojemu zadowoleniu nie skapitulował przed wrogiem wyrazem twarzy mojego brata.

- Pan Greene? - zapytał.

- Doktor Greene - poprawił go wściekle Simon. - Konkretnie, jak on się czuje i jakie są prognozy?

- Nazywam się doktor Newberry, jestem szefem OIOM-u i zajmuję się pańskim ojcem - oświadczył najwyraźniej niewzruszony dominującym zachowaniem mojego brata. Spodobał mi się. Zresztą obaj nieźle razem wyglądali, brać i szkicować scenę.

Newberry był w tym samym wieku, tego samego wzrostu, ale szczuplejszy i łysiejący. Jeśli Simon wyglądał bogato i zdrowo, doktor Newberry sprawiał wrażenie kogoś, kto ma na sobie jedyne spodnie i tenisówki, jakie w ogóle posiada. Kiedy usiadł, wyglądał, jakby zaraz miał zasnąć. Dopiero po chwili wskazał krzesło Simonowi, ten jednak wołał stać nad nami obydwoma.

- Ojciec panów nie odzyskał przytomności, ale stan jego jest stabilny. - Lekarz na zmianę mówił to do mnie, to do Simona. - Zrobimy tomografię komputerową, żeby uzyskać wyraźny obraz naczyń krwionośnych i ewentualnych zniszczeń w ich obrębie. Dopiero wówczas przy-

dzie pora na jakieś dalsze prognozy. - Jego głos był delikatny, ale stanowczy. - Ojciec panów nie cierpi, jeśli jest to jakimś pocieszeniem. Mogą panowie, oczywiście, zobaczyć go i zostać tak długo, jak sobie życzą, jednak w żaden sposób nie mogą panowie mu teraz pomóc. Gdybyście zechcieli wrócić jutro, możliwe będzie spotkanie ze specjalistą, który z pewnością udzieli więcej informacji.

- I to wszystko? - wyszczał Simon.

Doktor Newberry wytrzymał jego spojrzenie, choć każdego innego musiałyby doprowadzić do szału. Aby nie nastąpiła jakaś konfrontacja, wstałem i dziwiąc się samemu sobie, powiedziałem:

- Chciałbym go zobaczyć.

Jęcząc i gderając, Simon szedł za nami krótkim korytarzem, na końcu którego rozpościerał się przestronny oddział intensywnej opieki medycznej. Oświetlenie było stłumione, a wokół panowała cisza przerywana jedynie elektronicznymi dźwiękami urządzeń i szelestem kitli pracowników. Poczułem fale gorąca w całym ciele. Starłem się nie rozglądać na boki, by nie widzieć uspijonych ciał na łóżkach po obu stronach. Na końcu pomieszczenia podniosła się pielęgniarka i wskazała nam ostatnie łóżko.

Miałem nadzieję, że Simon nie dostrzeżeł, jak cały zeszywniałem. W napięciu starałem się oddychać miarowo i zachować spokój. Gdy moje oczy spoczęły na nieruchomej postaci na szpitalnym łóżku, doznałem jednak szoku. Człowiek leżący przede mną z pewnością nie wyglądał na tego, który zatruł mi całe dzieciństwo. Nie widać było tych jasnych niebieskich oczu przewiercających na wylot. Nie było sarkastycznych uśmiezków, pobłażliwych i pogardliwych

spojrzeń. Nie widziałem go piętnaście lat i taki właśnie jego obraz pozostał mi w pamięci. Teraz miałem przed sobą słabowite ciało, szarą pomarszczoną twarz i przerezedzone siwe włosy okalające jajowatą głowę. Widać było też biały zarost i wszystkie żebra na zapadniętej piersi.

Odwrociłem się ze złością - wcale nie dlatego, że oto mój ojciec musi tak umierać, ale dlatego, że całe lata straciłem na strachu przed nim. A on tu teraz leży... skóra i kości, taki sam jak my wszyscy.

Usłyszałem za plecami niecierpliwe sapanie Simona. Spojrzał na zegarek. Choć nie, to ja mogę spojrzeć na zegarek. On spojrział na roleksa.

- Idziemy? - zapytał.

- Nie ma tu nic do roboty. - Wzruszyłem ramionami.

- Jutro trzeba będzie znowu tu przyjść, porozmawiać z tym konsultantem. Słuchaj, ty to załatwisz.

- Ja nie mogę! - rzuciłem ostro, czując rosnącą panikę. Nie chciałem być z ojcem. Nie chciałem być w Londynie. Za dużo duchów przeszłości wokół. To tu została pochowana Alison i to tu przeżyłem załamanie nerwowe po jej śmierci.

- Adam, nie bądź dzieckiem. Ja jestem strasznie zajęty.

- Ja też - odbiłem piłeczkę. Chyba przekonująco, może pomogło mi to, że naprawdę byłem zajęty. Miałem zobowiązania wobec Jacka. Był moim najlepszym przyjacielem i był przy mnie, zawsze gdy go potrzebowałem.

- Może chociaż chodźmy na drinka - zaproponował ugodowo Simon. - Przecież nie widzieliśmy się całe lata.

-

Gapilem się na niego przez chwilę, nie rozumiejąc, co spowodowało taką nagłą zmianę frontu. Tak jak ojciec ani przez moment nie współczuł mi po moim załamaniu. Dla niego, tak jak i dla starego, byłem wstydem dla rodziny. Powiniennem obrócić się na pięcie i wyjść, jednak ciekawość zwyciężyła i powiedziałem OK.

Za rogiem, na Belvedere Road była winiarnia. Większa niż zwykle o tej porze liczba gości świadczyła o rosnącej przedświątecznej atmosferze. W pierwszej chwili przestraszyłem się, że przy moim pechu na pewno wpadnę na Faye, ale jej biuro i służbowe mieszkanie znajdowały się daleko stąd, na Covent Garden. Jeśli ojciec umrze, będę musiał się przyznać, że miałem ojca. I że mam brata. Wyjdzie na jaw kolejna tajemnica, którą przed nią skrywałem, bo w wersji przeznaczony dla Faye byłem sierotą. Nigdy też nie usłyszała ode mnie ani słowa o Alison i załamaniu nerwowym. Od pierwszej chwili, gdy ją poznałem, wiedziałem, że nie zrozumiałaby tego. Ale od jakiegoś czasu czułem niepokój, gdy myślałem o żonie. Oddaliliśmy się od siebie przez ostatnie miesiące. Powtarzałem sobie, że to wszystko przez jej nową pracę w Londynie, że nowej pracy trzeba poświęcić na początku więcej czasu. Jednak gdzieś w głębi czułem, że nie o to chodzi.

Simon wrócił od baru z butelką wina i coli. Ja wybrałem colę. Znaleźliśmy stolik w ciemnym kącie, w pobliżu męskich toalet.

- Zdajesz sobie sprawę, że być może ojciec nie będzie mógł wrócić do domu? - zapytałem, patrząc na kolejnych gości otrzępujących parasolki, odlepiających ortaliony i szukających wzrokiem wolnego miejsca. - Przypuszczalnie trzeba będzie go oddać do domu opieki.

Doskonale wiedziałem, co to by było za upokorzenie dla starego. Zawsze pogardzał ułomnością i chorobami, widząc w nich dowód słabości. Powtarzał, że najczęściej jeśli człowiek cierpi, to na własną prośbę.

- To pochłonie fortunę - wymamrotał Simon. Nalał sobie duży kieliszek czerwonego wina i wypił połowę jednym haustem.

- Możesz sprzedać dom. Z pewnością dostaniesz niezłą sumkę.

- Nie widziałeś go, zaczyna się rozlatywać.

Kiwnąłem głową. Istotnie dawno nie widziałem domu i nigdy więcej nie zamierzałem go oglądać. Simon nabrał powietrza.

- Przypuszczam, że wszystko zostawisz na mojej głowie...

Przeszył mnie wzrokiem. Jeśli to była próba zastraszania, to się nie powiodła. Milczałem i uśmiechałem się w duchu, bo oto właśnie odkryłem przyczynę, dla której mnie zaprosił na drinka. Chciał zwalić wszystko na mnie.

- Harriet będzie się musiała tym zająć - podjął po dłuższej chwili. - Ona ma mnóstwo czasu, a dzieci są w internatach.

Jeden zero dla mnie.

- Jak się miewa Harriet? - zapytałem.

Przed oczami pojawiło mi się mgliste wspomnienie wysokiej, szczupłej dziewczyny o owalnej twarzy. Miała idealną karnację i długie jasne włosy. Jednak nie pamiętałem, jaka była.

Simon nalał sobie jeszcze jeden kieliszek.

- Ma się dobrze.

Rozmowa utknęła. Byliśmy dla siebie obcymi ludźmi. Zastanawiałem się, co tam robię i dlaczego tracę czas. Moje myśli powędrowały w stronę tego dziwnego szyfru. DCHBYAOKWRSIWYYAĬNYOŻWWTKDE. Do ułożonych wcześniej wyrazów: CHOROBA, KONIEC, TOKSYNA, dodałem jeszcze WODA i WAŻ. Dlaczego Jack napisał datę 4 lipca 1994? Co stało się tamtego dnia? Chyba powinienem pogrzebać w Internecie albo w jakichś rejestrach.

Głośny śmiech dobiegający od sąsiedniego stolika wyrwał mnie z moich myśli. Dostrzegłem dezaprobateę na twarzy Simona, przypuszczalnie na ogół nie zniżał się do przebywania w takich miejscach.

- Czy nadal jesteś zaangażowany w prace badawcze?
- Wolałem, żeby zaczął mówić o sobie. Co prawda i tak pewnie nie zainteresowałby się moimi sprawami, ale tym razem szczególnie mi na tym zależało.

- Nie czytujesz gazet?

- Nie, jeśli nie muszę - powiedziałem, pociągając łyk coli.

- Prowadzimy kilka projektów jednocześnie: leczenie osteoporozy, nadwagi, badania nad rakiem. Dlatego nie mogę marnować tutaj czasu, Adam... Praca nad wynalezieniem szczepionki lub lekarstwa to ściganie się z czasem. Pośpiech dyktuje konkurencja i kurcząca się pieniądza.

Przypomniała mi się fotografia z ośmiomiejscowym rowerem i słowa Rosie. Trzej strażacy z tej fotografii zmarli na raka.

- Czy rzeczywiście macie szansę wynaleźć coś, co wyleczy raka? - zapytałem.

- Wyleczy? - Spojrzał na mnie jak na niedorozwinięte dziecko. - Nie, ale pomoże, owszem. Szczepionka może być skuteczna na pewne typy raka. Problem polega na tym, że jest wiele odmian nowotworów i wiele różnych przyczyn. Nie można winić tylko genów. Wpływ ma też środowisko: syntetyczne chemikalia, trucizny naturalne, procesy przemysłowe, lekarstwa i wirusy, nie wspominając o promieniach słonecznych. Za dwadzieścia do trzydziestu procent zachorowań odpowiada środowisko pracy.

Teraz Simon naprawdę mnie zainteresował. Czy ci strażacy, o których mówiła mi Rosie, mogli być w pracy poddani działaniu czegoś takiego? Czy z tego powodu zachorowali na raka? Czy był to po prostu pech i wypadek?

- Jaka jest zachorowalność na raka?
- Jedna osoba na trzy.

Dużo! Z ośmiu ludzi na tym rowerze choroba dopadła trzech. Minimalnie więcej niż statystycznie, ale tylko minimalnie.

- Adamie, na prace badawcze są przeznaczane wielkie pieniądze. Powinieneś być skończyć studia. Nic ci nigdy nie udowodniono w sprawie śmierci Alison.

Cały zeszytniałem. Zastanawiałem się, kiedy przypomni o moich porażkach. To było jednym z głównych powodów, dla których odciąłem się od rodziny. Powtarzałem sobie, że śmierć Alison to wypadek. Moim problemem było to, że nic nie pamiętałem. Pierwsza świadomość pojawiła się dopiero w trakcie policyjnego przesłuchania.

- Nie powinieneś być dopuścić, żeby to zrujnowało twoją karierę - dodał Simon.

- Nie dopuściłem - odparłem ostro.

- Ty malarstwo nazywasz karierą? - wykrztusił z ledwie ukrywaną pogardą.

Zadrzałem. Jego ton przypomniiał mi ojca karcącego mamę, gdy stawała za sztalugami. A ona nic nie chciała tym udowodnić, po prostu malowanie sprawiało jej największą przyjemność. Stary nie miał serca dla dziedzin, które uważał za nieprzydatne. Podobnie było z Simonem, chociaż ożenił się z historykiem sztuki.

- Skąd wiedziałeś? - zapytałem, gdy uświadomiłem sobie, że ani jemu, ani ojcu nie wspomniałem o moim zajęciu.

- Harriet widziała coś na twój temat w jednym z tych czasopism o sztuce - skrzywił się Simon. - Są z tego jakieś pieniądze?

- Wiążemy koniec z końcem.

- My?

- Jestem żonaty.

Simon podniósł brwi. Na szczęście jednak zbliżający się posiłek oszczędził mi jego krytycznego komentarza.

Po odejściu kelnera zadałem pytanie, które nurtowało mnie od jego telefonu.

- Jak mnie znalazłeś?

- Twój numer był w notesie ojca - powiedział o ułamek sekundy za szybko.

- To niemożliwe, ojciec nie miał mojego telefonu.

- Więc musiałeś mi go dać przy jakiejś okazji - rzucił zniecierpliwiony.

-

- Jeszcze mniej prawdopodobne. Niby przy jakiej okazji?

- Czy to ma znaczenie?! - parsknął zdesperowany. - No dobra, sekretarka znalazła cię na moje polecenie. Musiała jakoś namierzyć cię w książce telefonicznej czy w Internecie. Harriet mówiła, że w tym artykule na twój temat, było coś o Portsmouth, więc sekretarka miała jakiś punkt zaczepienia. Pomyślałem, że powinieneś dowiedzieć się o ojcu, chociaż wasze stosunki nie należały do idealnych.

Dałem sobie spokój. Numer mieliśmy zastrzeżony, więc po co kłamał, do tego tak bezczelnie? Może uważa mnie za przygłupa? A może to ja mam paranoję? Przez śmierć Jacka i to, co po niej nastąpiło, zrobiłem się podejrziwy.

Patrzyłem przed siebie, tak jak się patrzy w swoje myśli - niewidzącymi oczyma. Nagle doznałem szoku. Po drugiej stronie sali napotkałem oczy tego młodego motocyklisty, którego widziałem wczoraj na nabrzeżu. Tym razem nie mogłem się mylić. Patrzył prosto na mnie i nie było to przyjazne spojrzenie. Z trudnością wytrzymałem posyłane mi pioruny. On nawet nie mrugnął. Nie odwrócił wzroku. Ubrany był w ten sam czerwono-czarny skórzany komplet co wczoraj. Miałem rację za pierwszym razem - w tej jego chudej, nieogolonej twarzy było coś znajomego. Tylko co? Dlaczego tak bardzo się mną interesował? Dlaczego nie podszedł? I dlaczego mnie śledził? Czy miał coś wspólnego ze śmiercią Jacka? Był tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Odsunąłem krzesło. Simon spojrzał pytająco.

- Idę do łazienki - powiedziałem, ale w tej samej chwili ludzie przy stoliku obok zdecydowali się na wyjście i wstając, zablokowali mi przejście. Gdy odsłoniли salę, krzesło motocyklisty było już puste. Nie dostrzegłem go też przy innym stoliku ani przy barze, ani w toalecie, gdzie po chwili wszedłem.

- Muszę już lecieć - rzuciłem gwałtownie, gdy wróciłem do stolika. Pomyślałem, że może dogonię go na zewnątrz.

Simon wzruszył ramionami. Wyglądało na to, że stracił zainteresowanie moją osobą. Pewnie zorientował się, że nie będę grał w jego gry.

- Zadzwoń do ciebie jutro i dam ci znać, jak on się czuje - powiedział.

Teraz była moja kolej na wzruszenie ramionami. Wszedłem i rozejrzałem się na wszystkie strony. Nie było ani motocykla, ani tego faceta. Cholera!

Jechałem wzdłuż Chicheley Street, w kierunku rzeki, a głowę miałem pełną pytań. Przystawało padać, kiedy minąłem Waterloo. Za mną migotały światła London Eye, a huk ulicy mieszał się ze zgrzytem pociągów jadących przez most z Waterloo w stronę Charing Cross. Skręciłem w lewo, w stronę mostu Westminster. Tamiza była po mojej prawej ręce. Dobiegał mnie dźwięk syreny na barce, czyjś śmiech, flet ulicznego grajka...

Widok Tamizy przypomniiał mi o pocztówce Jacka. Zatrzymałem motor i wyjąłem ją z kieszeni. Na kartce był jeden z najslawniejszych obrazów Turnera, zarazem jeden z moich ulubionych. Okręt wojenny „Temeraire” w trakcie swej ostatniej podróży, wleczony przez holownik w górę

Tamizy. Walczył tak dzielnie w bitwie pod Trafalgarem, a tu jest nagi, pozbawiony żagli, poniżony przez pyrkający pomarańczowym dymem holownik. Wkrótce zostanie rozebrany, umrze. Czy Jack, wysyłając tę konkretną pocztówkę, chciał coś mi dać do zrozumienia?

Wróciłem myślami do motocyklisty. Czy to on włamał się do domu Jacka? Czy ta... jak jej tam... Sharon, gospodyni Jody Piers, widziała go w dniu pogrzebu? Jody nie oddzwoniła do mnie, więc pewnie nie. Poczuję w sercu ukłucie rozczarowania, ale powiedziałem sobie, że bym się nie wygłupiał. Spotkałem ją raz w życiu, nic o niej nie wiedziałem, do tego byłem żonaty...

Może powinienem powiedzieć o tym motocykliście policji? A może porozmawiać o obawach Jacka ze Steve'm Langtonem? Pytania za pytaniami, a ja - zamiast gapić się w mętne wody Tamizy i odbite w nich światła Parlamentu - powinienem być w Portsmouth i szukać odpowiedzi.

Rzuciłem parę funtów do czapki grajka, w zamian otrzymując skinienie głowy i łaskawe spojrzenie psa, po czym opuściłem Londyn.

ROZDZIAŁ 4

Gdy wróciłem do domu, na sekretarce znalazłem wiadomość od Rosie. Prosiła, żebym oddzwonił tak szybko, jak to możliwe. Spojrzałem na zegarek i zawałem się - było stanowczo za późno na telefony, tym bardziej na sprawy „nie na telefon”. Zastanawiałem się, czy może odkryła coś więcej na temat tej tajemniczej Dory Wilday i rzekomego romansu Jacka. Spróbowałem utworzyć jej nazwisko z liter na pocztówce, jednak nawet gdy wykorzystałem wszystkie, nie tylko podkreślone, wciąż brakowało „w”.

Kiedy rano jechałem do Rosie, częściej niż zwykle zerkałem w lusterka. Jednak młody motocyklista zniknął. Postanowiłem nie pozwolić mu uciec następnym razem.

Oparłem motor na podnóżku i spojrzałem w okna sąsiadów Rosie, ale za firankami nie dostrzegłem śladów życia. Albo wszyscy już wyszli, albo jeszcze nie wstali. Przeszedłem przez niewysoki płotek i zadzwoniłem do drzwi Rosie.

Jej twarz była smutna i zmęczona. Bez słowa, tylko ruchem ręki zaprosiła mnie do salonu.

- Wczoraj po południu dzwonił ze szpitala - powiedziała, kiedy usiedliśmy. - Jack miał raka.

Poczułem się, jakby ktoś wylał na mnie wiadro lodowatej wody. Przypomniałem sobie słowa Simona - szanse zachorowania na raka były jak jeden do trzech. Tymczasem spośród ośmiu strażaków ze zdjęcia zachorowało czterech. A to już coś więcej niż błąd statystyczny.

- Jack miał umówioną wizytę ze specjalistą. - Oczy Rosie zaszkliły się. - Zadzwoiła do mnie jego sekretarka z pytaniem, dlaczego nie przyszedł.

Zatkało mnie. Dlaczego nic mi o tym nie powiedział? A przede wszystkim dlaczego nie powiedział swojej żonie? To mogło częściowo wyjaśniać jego kartkę. No ale już nie to, dlaczego sądził, że jest śledzony.

- Jaki to był rodzaj nowotworu? - zapytałem, łudząc się, że Jack miał raka mózgu, który wywołał u niego halucynacje i manię prześladowczą.

- Chłoniak nieziarnicy. Zadzwoiłam do naszej lekarki rodzinnej, a ona mi opowiedziała, że Jack przyszedł do niej pół roku temu z niewielką grudką na szyi. Skierowała go do specjalisty, który zrobił biopsję, rentgena, tomografię... Jack zapłacił z własnej kieszeni. Pewnie dlatego był taki zamknięty w sobie i nerwowy. Nie chciał, żebym wiedziała i żebym się martwiła. Boże, jakie to było głupie! Przez co on musiał przechodzić?! Taka jestem wściekła, że nie miał do mnie zaufania! A ta cała Dora Wilday to musiała być jakaś specjalistka ze szpitala.

- Czy pytałaś? - zdziwiłem się.

- Nie.

Rozpłakała się. Podszedłem do Rosie i wziąłem ją w ramiona. Poczułem przyływ złości na Jacka, że trzy-

mał przed nią w tajemnicy coś tak ważnego. No i przede mną też.

- Dlaczego mi nie powiedział? - Rosie spojrzała na mnie oczami rozmazanymi przez łzy.

Tylko uśmiechnąłem się smutno, choć moje podejrzenia stawały się coraz bardziej oczywiste. Simon mówił, że często za raka odpowiadają warunki pracy. Czy o to chodziło? Czy Jack i jego koledzy byli wystawieni na działanie jakichś czynników, które mogły spowodować rozwój nowotworu? Poczułem dreszcz przechodzący przez moje ciało. Wiedziałem, że jestem na właściwym tropie.

Godzinę później byłem już w domu.

- Udało ci się coś z tym szyfrem? - zapytałem kotkę. Boudicca spojrzała na mnie z wyrzutem. Chyba podpatrzyła tę minę i ten wzrok u Faye.

Wyjąłem z kieszeni kartkę, którą dała mi Rosie - z telefonem do lekarki Jacka. Zapytałem ją, czy zna Dorę Wilday. Nie знаła. Pytałem o to samo na onkologii i w recepcji kliniki, z tym samym rezultatem. A skoro już i tak wydzwaniałem po doktorach, wystukałem jeszcze numer do szpitala St. Thomas. Ojciec wciąż nie odzyskał przytomności, ale jego stan był stabilny.

Znów usiadłem do ostatniej pocztówki od Jacka. Zdołałem stworzyć dwadzieścia jeden kolejnych słów, z których żadne nic mi nie mówiło. Gapiłem się na kartki porzucane po kuchni. Faye byłaby wściekła. A skoro już przypomniałem sobie o żonie, zadzwoniłem i do niej.

- Jesteś w pubie? - zapytałem, słysząc hałasy w tle.

- Raczej w kawiarni, z klientami.

-

- Stewart jest z tobą? - Nie byłem zazdrosny, choć może powinienem być. Sprytny i wyrafinowany przystojniaczek kontra trzeciorzędny pacykarz...

- Tak. - Głos Faye zdradzał ostrożność i rozdrażnienie. Wyraźnie mnie ostrzegała, że stąпам po grząskim gruncie. - A coś się stało?

- Nic ważnego, chciałem tylko sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku.

- U mnie OK. Wszystko przygotowane do wystawy? Chyba nie pijesz, prawda? Wszystko dobrze?

- Robisz ze mnie alkoholika - rzuciłem.

- Nie bądź taki niedotykałski.

Nabrałem powietrza i wyrzuciłem na jednym wydechu:

- Nie całkiem, nie piję, wszystko gra.

Rozłączyłem się, zanim zdążyła cokolwiek dodać.

Czułem poirytowanie. Wmawiałem sobie jednak, że to z powodu tej łamigłówki Jacka.

- Dlaczego wstawił imię Rosie w cudzysłów? - zapytałem Boudicę, która miaucząc, właśnie przymierzała się do moich kolan.

Tym razem w kocich oczach dostrzegłem co innego. „Bo ona tak się nazywa, idioto!” - zdawały się mówić.

Nazywa... Oczywiście - nazywa się, czyli ma imię! Imiona - to właśnie powinienem składać z podkreślonych liter. Złapałem kawałek kartki i zacząłem pisać: „Dawid, Nick, Ada, Sid, Harry, Tina, Cindy”... Czy któreś z nich miało związek z Jackiem albo ze strażakami z Czerwonego Patrolu? Nigdy nie słyszałem, aby Jack je wymieniał. Nie, puďte, bez sensu!

Wysilałem umysł, chodząc po pokoju w tę i z powrotem. Nakarmiłem kota, zrobiłem kawę, ale nic nowego nie przyszło mi do głowy. Czułem się jak przebity balon. Ciągłe w punkcie wyjścia.

Włączyłem radio. Mówili o zwycięzcy konkursu książkowego Booker Prize. Książki! A i Ż! Zamarłem, spoglądając jeszcze raz na podkreślone litery.

Ale ze mnie kretyn! Nazywa się, czyli ma nazwę! Teraz litery ułożyły mi się w głowie zupełnie same: „Wydawnictwo Książkowe HYBRYDY”. Widziałem na podłodze u Jacka ich Nowy Testament i Psalmy ze spisem fragmentów do codziennego czytania na każdy dzień roku. Pamiętam dobrze, jak przekartkowałem go, wstawiając na półkę.

Pół godziny później stałem pod drzwiami Rosie.

- Wybacz, że zawracam ci głowę, ale zdaje się, że zgubiłem pióro, kiedy wczoraj porządkowałem gabinet Jacka. Mogę go poszukać?

- Tak, oczywiście.

Zgubione pióro - trudno o głupszy pretekst. Ale chyba się nie zorientowała. Była zbyt zmęczona i zbyt wytrącona z równowagi.

Podekscytowany biegłem po schodach, mając nadzieję, że nie zechce przyjść na górę za mną. Sięgnąłem po niewielką brązową książkę. Na pierwszej stronie była dedykacja: „Dla Jacka Bartholomew od Wydawnictwa Książkowego HYBRYDY. Grudzień 1969”.

Szkoda, że nie 1994, ale widocznie tamta data musiała się wiązać z czymś innym. Przewertowałem szybko kilka stron delikatnego bibułkowego papieru, aż dotarłem do spisu

czytań. Jest! 4 lipca - czyli Psalm 10, wersy od 1 do 18.

- Wszystko w porządku Adam? - usłyszałem głos Rosie.

- Tak, tak, OK.

Psalm 10... Wstrzymałem oddech, widząc, że Jack podkreślił jakiś fragment w wersji siódmym i ósmym.

- Znalazłeś? - Teraz oprócz jej głosu usłyszałem również kroki.

Obróciłem się na pięcie, szybko wsuwając książkę do kieszeni.

- Nie. Musiałem zgubić je gdzie indziej. Albo w swoim bałaganie, albo w galerii.

Czułem się nieswojo, jak złodziej. Jednak musiałem jak najszybciej rozwiązać tę szaradę i odłożyć książkę, zanim wróci Sarah. Dlatego zamiast do domu pojechałem na nabrzeże, bo tam było bliżej. Usiadłem w „Blue Oasis” i zamówiłem kawę. Przez okno widziałem poduszkiwiec płynący na wyspę Wight. Poruszał się po samych szczytach fal i zostawiał za sobą biały kilwater. Nad wodą zamigotały światła, choć słońce jeszcze całkiem nie zaszło.

Nie zapomniałem ostrożnie przyjrzeć się pozostałym gościom. W rogu zauważyłem tylko dwoje starszych ludzi, motocyklisty nie było.

Z kieszeni kurtki wyjąłem mały notatnik, który zwykle służył mi do szkicowania, i ołówek. Otworzyłem Biblię.

Z bijącym sercem przepisałem do notatnika słowa, które Jack podkreślił.

„Jego usta pełne są kłamstw. On sieje śmierć wśród niewinnych” - przeczytałem.

Jeszcze raz podniosłem wzrok, żeby się upewnić, czy nikt mnie nie obserwuje. Przepisałem te zdania do notesu, schowałem go do kieszeni i dopiero wtedy zacząłem się zastanawiać, o co mogło w tym chodzić.

Czyje usta pełne były kłamstw? Kto siał śmierć? A jeśli tak, to kiedy? W 1994 roku? Kim byli ci niewinni? Pomyślałem o trzech strażakach zmarłych na raka i o czwartym, Jacku. Czy to oni byli tymi niewinnymi ofiarami czegoś, co wydarzyło się w 1994? Czegoś, co spowodowało rozwój nowotworu. Jack zmarł, próbując odkryć winnego.

Chryste, czyja naprawę chciałem brnąć dalej?! Mogłem skończyć podobnie jak Jack, no bo inaczej po co by za mną jeździł tamten motocyklista?

- Nie sądziłam, że jest pan taki religijny - usłyszałem nagle.

Podniosłem gwałtownie głowę i z bardzo głupią miną spojrzałem na stojącą nade mną Jody Piers, sąsiadkę Rosie.

- O, to pani! Co pani tu robi?

- A nie widać? - Wskazała na swoje nogi odziane w lycrowe legginsy i buty do biegania. Miała też na sobie kurtkę przeciwdeszczową, a włosy mokre i posklejane. Zauważyłem dyndającą słuchawkę od odtwarzacza, kiedy sięgnęła ręką, żeby go wyłączyć.

- Kawiarnia to chyba kiepskie miejsce na jogging. - Uśmiechnąłem się.

- A niech tam! Przynajmniej mam wymówkę, żeby nie biegać. - Parsknęła śmiechem.

Śmiech też miała pociągający. Taki świeży i lekko szelmowski. No i wydawała się cieszyć na mój widok.

- Rozpoznałam pana motocykl i jestem. A pan z nosem w Biblii... - Usiadła ciężko na krześle obok. Wyciągnęła nogi, aż otarły się o moje, ale nie cofnęła ich. Zdziwiło mnie przyjemne uczucie gdzieś w dołku. Po czym niemiło przywołało do rzeczywistości lekkie poczucie winy. Odchrząknąłem.

- Może kawy?

- Tak, poproszę, ale za pączka to dziękuję, bo dostanę kolki, biegnąc z powrotem do domu.

Schowałem Biblię do kieszeni i podszedłem do baru. Chwilę potem wróciłem z kawą.

- Cieszę się, że pana spotkałam. A może mówmy sobie po imieniu, dobrze? Właściwie to chciałam do ciebie zadzwonić.

- Czyżby twoja gospodyni coś sobie przypomiała? - zapytałam z nadzieją w głosie.

- Nie była pewna, ale zdaje się, że widziała granatową furgonetkę zaparkowaną przed domem. Może to nic takiego.

- Pewnie nie zapamiętała rejestracji albo chociaż marki?

Rzuciła mi zaskoczone spojrzenie.

- Dlaczego tak cię to interesuje? Czyżby włamanie było nieprzypadkowe? - Mówiła lekko, jakby trochę drażniąc się ze mną. Ale zaraz spoważniała, widząc wyraz mojej twarzy. - Widzę, że coś jest na rzeczy.

Właściwie nie powinienem jej nic zdradzać, ale coś mi mówiło, że mogę jej zaufać. Tylko że to, co miałem do powiedzenia, było fantastycznie nieprawdopodobne. Pomyśli, że zwariowałem. A może jednak lepiej nie brnąć w tę rozmowę? Przecież jej nie znałem. Choć ona

najwyraźniej znała Jacka i była w dobrych stosunkach z Rosie... Przeważało jednak to, że musiałem się komuś zwierzyć, a na pewno nie mogła to być moja żona Faye. Nie powiedziałem jej o Alison, ale wtedy to był odruch. Teraz już rozumiałem, że nie tylko nie mam zaufania do swojej żony, ale też nigdy go nie miałem ani nie chciałem mieć. Smutne, tak się jednak poukładało.

- Co o tym sądzisz? - zapytałem, kładąc na chromowanym stoliku pocztówkę od Jacka.

- Że to obraz Turnera - podniosła kartkę i odwróciła. Obserwowałem zmiany wyrazu jej twarzy z delikatnego rozbawienia do zaciekawienia. - Od twojego przyjaciela? I brzmi jak ostatnia wiadomość.

- Tak właśnie było. Wysłał ją w dniu, w którym zginął.

Dostrzegłem olbrzymie zaskoczenie na jej twarzy.

- Wiedział, że umrze? - zdziwiła się Jody.

- Brzmi to nieprawdopodobnie, ale tak.

Obróciła pocztówkę w smukłych dłoniach, marszcząc brwi. Wreszcie podniosła wzrok i oświadczyła:

- To jest zakodowana wiadomość.

- Tak, a to udało mi się z niej odszyfrować.

Podsunałem jej notatnik. Poczułem przy tym delikatny zapach jej potu, który podziałał na mnie jak afrodyzjak. Jakby wyczuwając moje zainteresowanie, odsunęła kurtkę i teraz widziałem jej niewielkie piersi pod obcisłym lycrowym kostiumem do joggingu.

- Co to znaczy? - zapytała.

Opowiedziałem jej wszystko.

- Jack prawdopodobnie szukał związków pomiędzy przypadkami zachorowań na raka a czymś, co zdarzyło się

w 1994 roku. Moim zdaniem był to pożar lub wypadek związany z jakąś substancją chemiczną - zakończyłem.

Byłem przygotowany, że uzna to za brednie i zaproponuje jakieś śmiesznie proste wyjaśnienie, które do tej pory nie przyszło mi do głowy. Zamiast tego zobaczyłem bruzdy zmarszczek na jej czole i głębokie, poważne spojrzenie.

W ciszy, jaka nastąpiła, słychać było syczenie i bulgotanie ekspresu do kawy oraz cichą świąteczną melodię płynącą z radia. Drzwi otworzyły się, a następnie zamknęły, wpuszczając powiew chłodnego grudniowego powietrza. To starsi państwo wyszli.

- A więc uważasz, że jego śmierć w tym pożarze była skutkiem morderstwa? - odezwała się Jody.

Skinąłem głową.

- Ale nie pytaj mnie, jak to się stało.

- To może być niebezpieczne, Adamie. - Spodobało mi się, jak wymówiła moje imię. - Idź z tym na policję, nie rób głupstw.

Może miała rację, też czułem taką pokusę, zwłaszcza teraz, gdy wyraźnie bała się o mnie. Jednak w tej samej chwili żołądek wywrócił mi się do góry nogami na myśl o kolejnych odwiedzinach na komendzie.

- Dobrze. - Westchnąłem. - Porozmawiam ze Stevem Langtonem. To mój przyjaciel, znał też Jacka. Jest tutaj inspektorem.

Dostrzegłem ulgę na jej twarzy.

- Jestem pewna, że to najwłaściwsze, co możesz zrobić. - Zerknęła na zegarek - Muszę lecieć. Mam robotę do skończenia i gonią mnie terminy. Piszę pracę o faunie i florze morskiej w zatoce Portsmouth.

Już w drzwiach zawahała się.

- Dasz mi znać, co powiedzieli na policji?

Chciałem zapytać dlaczego, ale chyba już znałem odpowiedź. Czułem, że mniej jej chodzi o śmierć Jacka, a bardziej o mnie.

- Jasne - zgodziłem się chętnie, bo oznaczało to szansę na kolejne spotkanie.

Zwykle piękne dziewczyny nie interesują się mną tak bardzo, ale zignorowałem przecucie, choć krzyczało mi w głowie jak wszystkie dzwony Notre Dame.

- Wiesz, gdzie mieszkam? Numer 42. Masz tu mój telefon. - Nabazgrała kilka cyfr w moim notatniku. - Pewnie spotkamy się na twojej wystawie w przyszłym tygodniu.

Usłyszawszy to, musiałem wyglądać na zszokowanego albo przerażonego, bo zaśmiała się i wyjaśniła:

- Pracuję w porcie, więc widziałam plakaty o twojej wystawie.

- Och, rozumiem! A więc, jeśli odważysz się wyjść w mroźny, zimowy wieczór, a w telewizji nie będzie nic ciekawego, to zapraszam na prywatną premierę w sobotę wieczorem.

- Wspaniale! - włożyła słuchawkę do ucha. - Do zobaczenia!

Nagle zdałem sobie sprawę, że nie mogę się doczekać swojej wystawy. Obserwowałem Jody biegnącą z wdziękiem bulwarem w kierunku wesołego miasteczka. Wsiadłem na motocykl i z nową odwagą pojechałem prosto na policję.

ROZDZIAŁ 5

Piętnaście lat temu był to inny komisariat w innym mieście, ale one, podobnie jak szpitale, zawsze pachną tak samo - środkami odkażającymi i strachem. Gdy tylko wszedłem na korytarz, poczułem pot ciekący mi po czole. Czekając na Langtona, miałem wrażenie, że przestrzeń wokół mnie kurczy się i zacieśnia w tempie wolno płynących minut. Niedługo nie będę mógł zaczerpnąć powietrza. Może Steve'a nie było? Może po prostu powinienem odwrócić się i wyjść? Jednak zostałem, choć coraz silniejszymi falami zaczęły napływać wspomnienia i znów byłem w ponurym pokoju przesłuchań w Oxfordzie ze strasznie pocącym się, całym czerwonym inspektorem i sierżantem z twarzą dziecka. „Co zrobiłeś?” „Jesteś pewny, że to się właśnie stało?” „Pokłóciłeś się z Alison, prawda?” „Mamy świadków...” „Ja jej nie popchnąłem... ja tego nie zrobiłem... ja tego nie zrobiłem...” Dalej tylko ciemność.

- Chodź, Adam - pewny, przyjazny głos Steve'a katapultował mnie z powrotem do rzeczywistości.

Gdy zamknęły się za nami kraty, brzmiało to jak trzaskanie drzwi do celi. Stawiałem stopę za stopą, z trudem

nadażając za jego zdecydowanym, atletycznym krokiem. Weszliśmy po schodach na pierwsze piętro, gdzie Langton wprowadził mnie do nowoczesnego gabinetu. Odechnąłem z ulgą, bo obawiałem się, że będzie wyglądał jak sala przesłuchań, tylko może bardziej zagracona.

- Coś do picia? - zaproponował Steve, ale odmówiłem.

- Nie zabiorę ci dużo czasu... - zacząłem, on jednak zamachał ręką, jakby się bronił przed moim oficjalnym tonem.

- Potrzebny mi odpoczynek, to wszystko i tak do niczego nie prowadzi. - Wskazał stertę papierów na swoim biurku.

Siadając, spojrzałem na nie i dostrzegłem parę makabrycznych zdjęć pobitej kobiety. Były tak okropne, że szybko odwróciłem głowę. Zza zamkniętych drzwi dobiegały pospieszne kroki, czyjś śmiech, nieustannie dzwoniący telefon. Czy Steve nie uzna, że zwariowałem?

Jednak opowiedziałem mu o pocztówce, o zakodowanej wiadomości, o mojej ostatniej rozmowie z Jackiem, o brakujących przedmiotach i o moich teoriach na temat prywatnego śledztwa mojego przyjaciela. Sądziłem, że w świetle lampy na biurku zobaczę zaraz jakąś zmianę na twarzy Langtona, zdziwienie czy niedowierzanie, ale on cały czas gapił się na mnie obojętnie.

- Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, Steve, ale coś musiało się zdarzyć podczas tego pożaru w 1994 roku.

- Wielu ludzi umiera na raka - powiedział cicho.

- Też sobie to powtarzam, ale jeśli spojrzysz na to w świetle tego, co się wydarzyło...

-

- Chcesz, żebym się w tym rozejrzał?

- Tak.

Langton westchnął.

- Adam, roboty mam po dziurki w nosie. Wiesz, jak to jest przed świętami. Więcej kradzieży, więcej bójek, więcej problemów w domach, więcej wszystkiego, cholera, ale mniej gliniarzy z powodu grypy i przeziębień.

- Więc nic nie zrobisz?

- Pogadam z funkcjonariuszami, którzy robili oględziny domu po włamaniu.

Mogłem się domyślić, że na nic więcej nie warto było liczyć.

- Masz coś nowego w sprawie pożaru, który zabił Jacka? - zapytałem bez większej nadziei.

- Nie, było ledwie po czwartej nad ranem, kiedy to się stało. Ten stary klub laburzystów jest, jak wiesz, za ośrodkiem pomocy społecznej, trochę na uboczu. Ciemno i mało kto tam chodzi.

- Może ktoś z pracowników ośrodka coś widział? Pytałeś ich?

- Nie i nie mogę tego zrobić, bo nie mam z kim pracować - wyjaśnił niechętnie i szybko dodał: - Wywieśliśmy na tablicy apel, prosząc wszystkich, którzy coś widzieli, o informacje, ale jak dotąd nic. Również apele w mediach nic nie dały. To przypuszczalnie byli gówniarze.

- A jeśli nie? I jeśli Jack był planowaną ofiarą? - zapytałem oschle.

- To nic nie zmienia. Skąd zabójca by wiedział, że Jack wejdzie pierwszy do budynku? Czyżbyś sugerował, że zabił go jeden z jego kolegów?

-

Steve patrzył na mnie, jakby był przekonany, że powinni mnie odwieźć do domu wariatów.

- A może ktoś się dostał do budynku straży? - zasu-
gerowałem.

- Wiem, Adam, że ze śmiercią bliskich nam osób jest się strasznie trudno pogodzić. Często po omacku szukamy winnych. Ale pamiętaj, to było jego ryzyko zawodowe.

Wiedziałem, że go nie przekonam, ale podjąłem ostatnią próbę.

- A co powiesz o tej zaszyfrowanej wiadomości?

- Sprawdzę doniesienia z pożarów z 1994 roku - powiedział zmęczonym głosem.

Wygrałem chociaż małe ustępstwo, ale i tak czekałem już tylko na jutrzejszy dzień, kiedy wreszcie Czerwony Patrol będzie na zmianie.

Niespokojną noc spędziłem, międląc w głowie tę wiadomość od Jacka. Wstałem bardzo wcześnie. Znałem z widzenia strażaka, który otworzył mi drzwi. Był to wysoki i chuderlawy mężczyzna, który ze swoją długą szyją i odstającymi uszami przypominał trochę żyrafę. Przedstawił się jako Pete Motcombe i zaprowadził mnie na górę do kuchni, gdzie przy dużym okrągłym stole można było odpocząć, jeśli nikt nie wzywał straży. Gdy spojrzałem na poważne twarze kolegów Jacka, zrozumiałem, co Steve Langton miał na myśli. Poczułem wstyd za to, że w ogóle pomyślałem o którymś z nich jak o zabójcy mojego przyjaciela.

- Czy to prawda, że włamano się do jego domu w dniu pogrzebu? - zapytał Motcombe.

- Tak.

Od stołu padło kilka niecenzuralnych słów.

- Dużo zginęło?

Spojrzałem na chudzielca.

- Nie, ale nie mogę znaleźć notatek Jacka ani jego dyskietek. Czy mógł je zostawić tu, w pracy?

- Nie było ich w jego szafce - pokręcił głową Pete.

- To mnie miało spotkać, a nie jego - odezwał się nagle ktoś od stołu.

Obaj spojrzeliśmy w jego stronę. Miał niespełna trzydzieści lat, krótko przystrzyżone włosy i niebieskie, błyszczące oczy. Teraz również bardzo smutne.

- Ja wtedy jechałem w aparacie do oddychania, powinienem był wchodzić w ogień pierwszy.

- Ian, nie możesz się winić - powiedział inny strażak.

- Nie możesz siebie tym obciążać. To mógł być każdy z nas.

- Ale nie powinienem był mu pozwolić.

- Ian, to była jego praca, był świadom zagrożeń tak jak ty i każdy z nas.

- Ale ja się z nim wtedy zamieniłem. On miał tamtego dnia siedzieć przy pompie.

Usłyszeliśmy delikatny kobiecy głos należący do Sally - jedynej dziewczyny w zespole.

- Przecież Jack sam poprosił cię o tę zamianę. - Nerwowo rozczesywała krótkie blond włosy. - Nie mogłeś wiedzieć, co się wydarzy.

- Kiedy zamieniliście się z Jackiem? - zapytałem Iana. I dlaczego Steve mi tego nie powiedział? Czy wiedział? Czy to w ogóle było ważne? Coś mi mówiło, że tak, ale o tym nie wspomniałem Ianowi ani słowem.

- Wtedy rano, kiedy przyszedł na zmianę. To Jack...

-

Nie dokończył, bo na dole rozdzwonił się alarm i nagle w kuchni zostaliśmy tylko ja i Motcombe, który wyjaśnił, że ma dyżur na miejscu.

- Ian jest naprawdę rozbity. Nie powinien pracować - dodał. - Kazałem mu iść do lekarza i wziąć zwolnienie, ale on upiera się, żeby tu być. Czemu pytałeś o jego zamianę z Jackiem?

Nie chciałem podać prawdziwego powodu. Nie chciałem martwić tych ludzi, którzy i tak cierpieli z powodu straty kolegi.

- Chyba po prostu bardzo trudno jest mi się pogodzić ze śmiercią Jacka, dlatego tu jestem - odparłem. W tym momencie przełączyłem się na moją oficjalną wersję i zacząłem opowiadać, że chcę namalować obraz w hołdzie przyjacielowi.

Ze zdziwieniem zdałem sobie sprawę, że właściwie mógłbym to zrobić. I to nawet chętnie.

- Jack miał trzy pasje w życiu - ciągnąłem - rodzinę, żeglarstwo i swoją pracę. Na ogół, zanim wezmę się do malowania, muszę się jak najwięcej dowiedzieć na temat czasu i miejsca jakiegoś wydarzenia. Jeszcze nie wiem, co namaluję, na razie zbieram wrażenia, obserwuję, gromadzę w głowie. Nigdy nie wiadomo, co się przyda, może to być artykuł w gazecie, jakaś fotografia.

- To świetny pomysł. Ja tam się nie znam na sztuce, no ale obraz dla Jacka, pewnie... - Motcombe pokijał głową.

- Pomyślałem, że zacznę od 1994 roku, wtedy się poznaliśmy. - Dziwne, ale do tej pory nie zauważyłem tego zbiegu okoliczności. Nie przypominałem też sobie, żeby Jack mówił coś o jakimś niedawnym niebezpiecznym

wypadku. Ale może rok był świadomym błędem, który miał tylko zwrócić moją uwagę na dzień i miesiąc. - Czy może mi pan powiedzieć, ilu strażaków liczyły zmiany w tamtych czasach? Może pamięta pan jakieś nazwiska? Chciałbym z nimi porozmawiać.

- Przykro mi, ale cały lipiec 1994 byłem na urlopie. Ilu ludzi na zmianie? Nie pamiętam. A koledzy... Wie pan, jak to jest, jedni przychodzą, inni odchodzą. Akurat z naszych z tamtego czasu to już mało kto żyje. Jest jedynie Brian, ale w Devon na rekonwalescencji.

Znów byłem w kropce. Przynajmniej dopóki pozostali nie wrócą, o ile mają lepszą pamięć niż Motcombe.

- Des Brookfield - przypomniał sobie jeszcze. - Pracuje w centrali w Southampton.

O tym wiedziałem.

- Może mógłbym przejrzeć raporty pożarowe z tamtego roku? To by mi dało jakiś pogląd na rodzaj akcji, w jakich Jack brał udział.

- Raporty są przechowywane w biurze głównym.

Nie pozostało mi więc nic innego, jak za jednym zamachem porozmawiać z Brookfieldem i przejrzeć raporty. Wiedziałem, że podążałem tym samym śladem, co Jack. Może odnalazł raporty i zrobił notatki na swoim komputerze? Notatki, które ktoś chciał bardzo zniszczyć.

- A czy Jack kiedykolwiek wspominał o takiej kobiecie... Dora, Dora... - udałem, że wypadło mi z głowy jej nazwisko. - Dora Wilday?

Motcombe spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Nie, a dlaczego pan pyta?

- Znajoma Jacka, ale Rosie nie zna jej adresu. Chciała się z nią skontaktować i powiedzieć, że Jack nie żyje.

-

Lałem wodę, ale Motcombe tego nie zauważył.

- Nie przypominam sobie, ale popytam innych, jeśli pan chce.

- Dziękuję, tylko niech pan nie wspomina Rosie o niczym. I tak ma dość na głowie.

Dałem mu wizytówkę, a pół godziny później stałem przy pustym biurku w recepcji centrali pożarnictwa. Mieściła się w budynku z połowy ubiegłego wieku wyglądającym trochę jak stara biblioteka. Po paru dzwonekach pojawiła się pięćdziesięciokilkuletnia kobieta o siwych włosach i okrągłej figurze. Poprosiłem o spotkanie z Brookfieldem i zaraz zostałem poproszony do jego gabinetu.

- Adam! - Des szedł w moją stronę wielkimi krokami. Na jego śniadej twarzy widniał szeroki sztuczny uśmiech, a prawe ramię było sztywno wyciągnięte do uścisku. Odwzajemniłem go, starając się nie stracić dłoni w jego łapie silnej jak imadło. - Adam, co cię sprowadza?

Wskazał mi fotel, a ja opowiedziałem mu tę samą bajeczkę o obrazie, którą poczęstowałem Motcombe'a. Brookfield też był entuzjastycznie nastawiony do mojego pomysłu, a kiedy wspomniałem, że chcę się skoncentrować na roku 1994, powiedział nawet:

- Tak, pracowaliśmy wtedy razem, może mógłbym ci jakoś pomóc?

- Ilu ludzi wówczas liczyła zmiana? - zapytałem z nadzieją.

Des zmrużył oczy.

- Zwykle czterem, ale o ile dobrze pamiętam, kilku nam wtedy brakowało do pełnej obsady. Uzupełnialiśmy zmiany, pożyczając strażaków z innych brygad. Ja wów-

czas byłem podoficerem, a Stewart Hallington prowadzącym. Jednak on wyjechał do Nowej Zelandii. Oprócz Jacka był jeszcze Colin Woodhole, który dziś ma własną, dobrze prosperującą firmę przeciwpożarową w Turcji. Dave Caton mieszka we Francji, Sam Frensham ma hotel w Cotswolds, pracują jeszcze tylko Brian Clackton i Sandy Ditton. Byli jeszcze Vic Rushmere, Scott Burnham, Duggie Leith i Tony Penfold. Niestety zmarli, rak.

- Vic Rushmere miał raka? - Pamiętałem dobrze, że nie było go na zdjęciu z rowerem i Rosie też o nim nie wspomniała.

- Tak. Znałeś go? - Brookfield wyglądał na zaskoczonoego. Powinienem bardziej uważać na to, co mówię.

- Nie.

- On pierwszy umarł, jeśli dobrze pamiętam. To straszna choroba. Wyjątkowo nieszczęśliwie dotknęła Czerwony Patrol.

Delikatnie powiedziane! Pięciu na dwunastu to zdecydowanie o jednego za dużo, jeśli wierzyć w statystykę Simona.

- Masz ich adresy?

- Nie mam - Des potrząsnął głową - i wątpię, żeby ktokolwiek ci je podał. Ochrona danych osobowych. Ale powieś kartkę na tablicy ogłoszeń, Czerwony Patrol na pewno pomoże ci z tym obrazem.

- A Sandy Ditton? Mówiłeś, że pracuje w straży.

- Mówiłem tylko, że jeszcze pracuje, ale nie w straży. Znajdziesz go w muzeum marynistycznym w dokach.

- Słuchaj - przeszedłem do drugiej sprawy - a gdzie mógłbym przejrzeć raporty pożarowe z 1994 roku?

- Musisz mieć pozwolenie od samego szefa.

-

- Ale to chyba tylko formalność? - Próbowałem nie okazywać rozczarowania. Miałem nadzieję dostać raporty od ręki, ale już wiedziałem, że to nierealne.

- Chyba tak, ale to potrwa kilka dni. Zobaczą, co da się zrobić.

- Pewnie sam też pamiętasz największe pożary z tamtego roku? Albo jakieś charakterystyczne?

- W 1994? Chyba nic szczególnego. Jak zwykle, czyli pożary samochodów, śmietników, fałszywe alarmy, ludzie zablokowani w windach albo płonące patelnie. Pamiętam jedynie wielki pożar fabryki, ale to było w 1992.

- A nie masz jakiegoś dziennika? - Nie chciałem wyjść na tonącego, który chwyta się brzytwy, jednak chyba tak to zabrzmiało, bo Brookfield aż się roześmiał.

- Wybacz, Adam, ale jakoś nie przyszło mi do głowy, żeby po pracy zapisywać: „Wtorek, zdjąłem z drzewa dwa koty i ugasiłem kosz na śmieci”. Bo tak by to z grubsza wyglądało. Nie mam też albumu z wycinkami z gazet, choć faktycznie, niektórzy strażacy takie prowadzą.

Właśnie, może Jack też miał taki album! Jeśli tak, to czy on też zginął?

- Nigdy nie lubiłem oglądać się w przeszłość. Zawsze patrzę przed siebie. Choć czekaj - przypomniał sobie Des - Sandy prowadzi dziennik. On ma łeb jak sklep. Zawsze pamięta daty i wydarzenia. Ale wybacz - spojrzął znacząco na zegarek - zaraz mam spotkanie. Daj mi parę dni, a zobaczą, co da się zrobić w sprawie tych raportów. Jak mogę się z tobą skontaktować?

Jeszcze raz sięgnąłem po wizytownik.

ROZDZIAŁ 6

Carol Rushmere była potężną, wysoką kobietą w wieku lat pięćdziesięciu kilku, o obfitej talii i biodrach, pulchnych ramionach i zaokrąglonej twarzy. Jej nienagannie ułożone tlenione blond włosy żywcem przynosiły patrzącego w lata sześćdziesiąte. Wielkie niebieskie oczy uśmiechały się ostrożnie, gdy proponowała herbatę.

Grzecznie nie odmówiłem i podążyłem za nią w głąb wąskiego holu, do małej, nowoczesnej kuchni, która wychodziła na wyłożony wymyślnymi płytami tylny ogród ledwie mieszczący szopę i sznurek na bieliznę. Z kuchni widać było rząd małych domków z lat siedemdziesiątych.

- A więc jest pan jednym z przyjaciół Jacka Bartholomew. Biedna Rosie. Bardzo mi przykro z powodu jego śmierci. - Włączyła czajnik i zdjęła dwa kubki z drewnianej suszarki. - Nie wiem, doprawdy, jak mogę panu pomóc w sprawie tego obrazu.

- Jack był moim najlepszym przyjacielem i czuję potrzebę namalowania czegoś w hołdzie dla niego.

- Rozumiem - powiedziała, nic oczywiście nie rozumiejąc, ale powoli ustępowała. - Może ciasteczko?

-

- Nie, nie, dziękuję. - Wziąłem kubek z herbatą i znów podążyłem za jej kołyszącymi się biodrami do dużego, przestronnego salonu. Ciągnął się przez całą długość domu, a z okna było widać ruchliwe skrzyżowanie. Nieopodal, na terenie starego szpitala, trwała budowa nowego osiedla. Światła reflektorów olbrzymich ciężarówek wywożących tony ziemi omiały pokój, gdy skręcały w prawo na dwupasmówkę. Na lewo od wielkiego panoramicznego okna stała plastikowa choinka migocząca kolorowymi światełkami, pod nią parę zapakowanych prezentów.

- Prawie nie znałam Jacka. Przyszedł do grupy na krótko przed śmiercią Vica.

Przestawiła krzesło na prawo ode mnie, w pobliże kominika. Małe elektryczne płomienie jarzyły się za czarną powierzchnią sztucznego węgla. Kartki świąteczne wisiały nad kominkiem na długim sznurku ciągnącym się od rogu pokoju do kredensu.

- Pani Rushmere, kiedy zmarł pani mąż? - Zapytałem, jak umiałem najdelikatniej.

- 24 maja 1996 roku, ledwie skończył czterdzieści sześć lat.

Był więc w tym samym wieku co Jack...

Zapadła cisza, na tyle długa, że dało się słyszeć tykanie mosiężnego zegara podróznego stojącego na kominiku. Podążyłem za spojrzeniem pani Rushmere na srebrną ramkę za zegarem. Zobaczyłem zdjęcie mężczyzny o ostrej, kościstej twarzy, którą rozjaśniał i zmiękczał szeroki uśmiech i błyszczące oczy.

- Zdaje się, że zmarł na raka, prawda? - Pociągnąłem łyk herbaty.

- Tak, to był rak skóry. Bardzo szybko poszły przerzuty do wątroby, a potem do płuc.

W jej twarzy zobaczyłem, że odpłynęła we wspomnienia tych ciężkich, wyczerpujących dni, kiedy opiekowała się mężem. Jej dłonie były nieustannie w ruchu. Dotykała włosów, głaskała policzki, delikatnie pocierała nos. Nie bardzo wiedziałem, jak wyciągnąć z niej więcej, ale po chwili okazało się, że nie musiałem.

- Zaczęło się od takiego pęcherzyka, o tu. - Wskazała palcem tylną część prawego ucha. - Ciągłe się powiększała, a gdy urósł do wielkości dużego pieprzyka, Vic po raz pierwszy poszedł do lekarza. Potem nowotwór rozprzestrzeniał się już bardzo szybko. Dostał chemioterapię i naświetlania, ale za późno. Myślę, że przerzuty do wątroby były już w chwili pierwszej diagnozy.

- Kiedy to było?

- W październiku 1995.

Znowu zapadła ta nieznośna cisza. Zastanawiałem się, jak sformułować następne pytanie, aby nie wzbudzić podejrzeń co do prawdziwego powodu mojej wizyty.

- Czy kiedykolwiek - nabrałem powietrza - mąż opowiadał pani o wyjątkowo niebezpiecznych pożarach, w których brał udział, albo o takich, które go potem bardzo zastanawiały?

- O kilku może. Domy z piecami na butan, który eksplodował. Takie jak ten, który zabił Jacka. Albo pożary w warsztatach, gdzie używano butli acetylenowo-tlenowych, firmy składującej jakieś chemikalia...

- Kiedy to było? - Poczulem iskierkę nadziei, szybko jednak zgaszoną jej kolejnymi słowami.

-

- Zdarzały się ciągle. Przywykłam do machania mu na pożegnanie i zastanawiania się przy tym, czy to ostatni raz go widzę. Chyba dlatego nigdy nie przyszło mi do głowy, że może umrzeć na raka.

- Czy pani mąż prowadził jakiś dziennik?

- Nie, ale miał album z wycinkami.

- Wspaniale! Ma go pani? Chciałbym spojrzeć, jeśli mogę. To by było dla mnie inspirujące, może nasunie mi się jakiś pomysł.

- Oczywiście, o ile tylko przypomnę sobie, gdzie go wetknęłam.

- Z pewnością by go pani nie wyrzuciła? - Usłyszałem obawę we własnym głosie.

- Gdzieś tu jest. Poszukam w końcu tygodnia i dam panu znać, jeśli pan chce.

Tak, chciałem, ale wolałbym nie czekać do końca tygodnia. Cóż jednak mogłem zrobić? Znow sięgnąłem po wizytówkę. W tym tempie będę się wkrótce musiał udać do drukarni.

Już na progu przystanąłem.

- Czy mąż kiedykolwiek wspomniał o swoich podejrzeniach co do przyczyn jego nowotworu?

- Pewnie za dużo słońca w dzieciństwie, kiedy całymi dniami biegał po plaży. - Wzruszyła ramionami. - Kto może wiedzieć, jakie są tego przyczyny?

„No właśnie, kto może wiedzieć” - myślałem, wsiadając na motocykl. Rozmowa z Carol Rushmere otworzyła nowe źródło informacji. Wyrzucałem sobie teraz, że nie wpadłem na to wcześniej.

Bibliotekarka powiedziała mi, że do sekcji mikrofilmów trzeba się wcześniej zapisywać, ale zobaczywszy,

że zwalnia się jedno miejsce, poprosiłem ją jeszcze raz. Udało się, zaprowadziła mnie do stolika i wkrótce już wędrowałem w czasie po lokalnych gazetach, czytając o pożarach i wypadkach z 1994. Zacząłem od 4 lipca, jednak moje podniecenie trwało krótko. Żadnego doniesienia o pożarze tego dnia, co nie znaczyło, że żadnego pożaru nie było. Chociaż gdy zacząłem sprawdzać resztę miesiąca, przekonałem się, że to syzyfowa praca. Gazety pisały o wszystkim, od płomienia na patelni do fali podpaleń samochodów na parkingach. Raporty na ogół nie podawały, który zespół brał udział w akcji.

I tylko dwa większe pożary, które sobie zanotowałem. Jeden w kwietniu 1994 w hotelu na samym nabrzeżu, jeszcze zanim poznałem Jacka, i drugi w warsztacie przy Elm Grove w listopadzie. Wiedziałem, że Czerwony Patrol brał w nich udział, bo gazeta wymieniła nazwisko Brookfielda jako zastępcy kierującego akcją. Ale to było bez sensu, strata czasu.

Drażyłem i zadreślałem pamięć, próbując sobie przypomnieć jakiegokolwiek pożary z 1994, a zwłaszcza te z lipca - takie, które mogłyby mieć jakiś związek z rakiem. Wtedy każdy wolny dzień spędzaliśmy z Jackiem pod żaglami. Pamiętam, że miesiąc był potwornie upalny. Gazety to potwierdzały - były doniesienia o bezchmurnym niebie całymi dniami, niezwykle wysokich temperaturach i ostrzeżenia o wysokim stężeniu smogu w powietrzu.

Dałem za wygraną. To przypominało szukanie igły w stogu siana. Może album Vica Rushmerea będzie zawierał jakiś ślad?

Do domu wróciłem, czując się jak przebity balon. A ledwie wszedłem, zadzwoniła komórka. To był Simon.

- Lepiej przyjedź. Mówią, że to już długo nie potrwa. Serce mi podskoczyło. To był koniec.

Nabazgrałem parę słów do Faye - właśnie dziś miała wrócić, nakarmiłem kota i znów pojechałem do Londynu.

- Spóźniłeś się. Umarł pół godziny temu.

Siedzieliśmy w tym samym sterylnym pomieszczeniu intensywnej terapii, co przedtem. Obcesowy ton i pogardliwe spojrzenie - Simon stał się nawet nie podobny do ojca, ale identyczny.

Powoli do mnie docierało. Nie żyje. Ramka na szpitalną kartę informacyjną była pusta. Już nie musiałem udawać czy przepraszać.

- Chcesz go zobaczyć? - zapytał Simon.

Czy chciałem? Tyle razy w swoim życiu gorąco życzyłem ojcu śmierci, a teraz, kiedy już nie żył, wydawało się to nierealne. Nie mogłem w to uwierzyć i nie wiedziałem, co mam czuć. Dlatego musiałem go zobaczyć, żeby mieć dowód, żeby wreszcie się odnaleźć w swoich uczuciach.

Simon powiedział, że poczeka na mnie przed szpitalem. Odsunąłem zasłony wokół łóżka i gapiłem się na bezbarwne ciało. Szara, wyniszczona twarz pozbawiona była zupełnie osobowości. Pomyślałem sobie, że przy takiej twarzy nie muszę się już wstydzić, nawet jeśli faktycznie go zawiodłem. Może i byłem trzydziestosześcioletnim nieudacznikiem, ale on był martwy. Jednak w ciągu kilku sekund trudno się otrząsnąć z tylu lat psychicznego uzależnienia. Potrzeba więcej niż widoku mojego zmarłego ojca, aby

wymazać z pamięci wyraz jego oczu, gdy zjawił się na komendzie policji po śmierci Alison. Widziałem wtedy zwątpienie i odrazę, widziałem też pogardę, kiedy odwiedził mnie w klinice.

Próbowałem się przekonywać, że były też szczęśliwsze wspomnienia, na przykład kiedy wziął mnie na mecz krykieta Anglia kontra Australia na stadionie Oval. Na przykład? Nie, to nie był przykład, to była jedyna taka chwila. Żywił mnie, ubierał i płacił za wykształcenie. Nie mogłem go kochać, ale mogło mi być przykro za to, jak wyszło. Bo nie chciałem, żeby tak wyszło.

Wyszedłem przed szpital do Simona.

- Pogodziliście się? - palnął sarkastycznie, zaciągając się papierosem. Ha, papieros u gościa prowadzącego badania nad rakiem?!

Nic nie odpowiedziałem. Mój umysł próbował poradzić sobie z zaskakującym uczuciem smutku. Ruszyliśmy w stronę parkingu.

- Musimy coś ustalić w kwestii pogrzebu. - On mówił, ja milczałem. - Harriet może się tym zająć. Skontaktuje się ze starymi kolegami ojca, z „The Times” i „The Daily Telegraph”, chociaż te gazety i tak zamieszczają jego nekrolog.

Tak, nasz ojciec był znanym naukowcem. Próbowałem pójść w jego ślady, jednak moja kariera w dziedzinie fizyki zakończyła się przedwcześnie i gwałtownie w chwili śmierci Alison.

Wróciłem do teraźniejszości.

- Musimy znaleźć testament - mówił Simon. - Ojciec trzymał go w gabinecie. Możemy to sprawdzić natychmiast.

- Simon, ciągle powtarzasz „my”.

- Był przecież również twoim ojcem. Nie możesz go winić za to, co się tobie przydarzyło.

Nie mogę? Ciągłe naciski na osiągnięcie sukcesu, ciągle porównywanie moich dokonań i dokonań mojego brata. I to nieustanne gderanie, że nie sięgam do wymaganego poziomu. Jednak dziś stracone lata nie miały znaczenia.

Simon z zamachem otworzył drzwi swojego range rovera i zdeptał niedopałek.

- Musiało się to stać akurat teraz, kiedy jestem w samym środku negocjacji z Amerykanami w sprawie pokąźnego dofinansowania! Adam, nie mogę sobie teraz pozwolić na inne rzeczy. Nie mam chwili do stracenia. Bardzo by mi pomogło, gdybyś zrobił chociaż cokolwiek.

Przyjrzałem mu się. Wyglądało na to, że mówił prawdę. Z pewnym ociąganiem, zakładając rękawice i kask, w końcu się zgodziłem.

- OK, jedźmy do domu.

Dotarłem tam przed Simonem i udało mi się zaparkować motor niedaleko, a raczej wcisnąć go w wąską przestrzeń między samochodami. Wiedziałem, że mój brat będzie miał z tym kłopot. Przygazowałem trochę przed wyłączeniem silnika, a potem kopnąłem nóżkę.

Słyszając za sobą przejeżdżające samochody, spojrzełem w górę, na czteropiętrową kamienicę. Była zszarzała i bardziej zaniedbana niż ta, którą zapamiętałem. Bielona kamienna fasada od frontu na parterze zarosła miejskim brudem i domagała się odmalowania. Okna były do wymiany, farba łuszczyła się też na barierkach podjazdu, podobnie jak na balustradzie balkonu.

Zamknąłem kask w schowku. Nie chciałem wchodzić do tego domu, ale nie miałem wyjścia. Dopadły mnie inne wspomnienia: przemęczona twarz i chuda postać mamy, jej smutne, udręczone oczy. Zapach słabiotkich perfum i delikatny uśmiech zawsze pozostawały w cieniu ostatnich lat jej życia. I ten brak zrozumienia u ojca, jego całkowity brak tolerancji dla choroby. Poczułem panikę gdzieś w krtani, lecz zanim mnie dopadła, Simon już kroczył w moją stronę.

W środku czuć było starością i zaniedbaniem. Ale mój brat szedł, nie zwracając na nic uwagi, tylko mruzczał, że musi się napić. Wszedłem do kuchni - nic się tu nie zmieniło. Popękany emaliowany zlew, stare dębowe szafki z matowymi szybkami, sosnowy stół na środku i cztery krzesła. Na suszarce pod ściereczką do naczyń w czerwono-białe paski stały naczynia.

Podszedłem do drzwi balkonowych i wyjrzałem na wąski pasek ogrodu, ale było zbyt ciemno, by cokolwiek dostrzec, może oprócz wysokich drzew falujących na rozgniewanym wietrze.

- Whisky? - wrócił Simon, wymachując butelką.

- Nie, dziękuję.

- No to, za starego. - Wychylił jednym haustem szklaneczkę i od razu nalał sobie następną. Podniósł prawie pełną butelkę i jeszcze raz zaproponował: - Moglibyśmy ją skończyć.

Gabinet ojca pachniał starym tytoniem i kurzem. Ciężkie dębowe meble, półki wypełnione zakurzonymi książkami, gazety o wypłowiałych brzegach oraz ciemne welwetowe zasłony przyprawiały mnie o uczucie klaustrofobii. W uszach dźwięczał mi oschły głos:

„Rozczarowujesz mnie Adamie. Pomyśleć tylko, że MÓJ syn cierpi na załamanie nerwowe. Z pewnością nic takiego nie zdarzyło się do tej pory w MOJEJ rodzinie”.

Tak, bo on, profesor Lawrence Greene, był bardzo wymagający i nigdy nie pozwolił sobie na ulgowe traktowanie młodszego syna, nawet gdy jako dziewięcioletek straciłem matkę, a potem Alison. Porady psychologiczne i psychoterapie były dla mięczaków.

Osobiste dokumenty ojca znajdowały się w zniszczonej, szarej, metalowej szafce w głębi pokoju przy oknie. Były tam również raporty psychiatry dotyczące moich postępów w rehabilitacji. Chętnie bym je zabrał, ale nie chciałem tego robić przy bracie.

Simon usiadł przy biurku i zaczął przeszukiwać szuflady.

- No, jest wreszcie! Obawiałem się, że może zostawił go u notariusza. - Wyjął dokument z wąskiej szarej koperty.

Nie musiałem być jasnowidzem, by domyślić się, co zawierał testament. Wyraz twarzy Simona mówił wszystko.

- W porządku - powiedziałem od razu. - Nie musisz mówić. Nic mi nie zostawił.

- Przykro mi, Adam.

- No jasne, bardzo ci przykro. Czy mam pytać, kto dziedziczy?

Wzruszył ramionami.

- Dobra, no to do widzenia, Simon.

- A ty dokąd?

- Do domu, a gdzie?

- Nie zostaniesz i...

-

- Pomóc ci? Chyba kpisz!
- I po co ta wściekłość?
- Nie jestem wściekły.

Nie byłem. Nie chciałem pieniędzy ojca, ale i nie widziałem potrzeby, żeby cokolwiek dla niego robić. Poza tym miałem inne, ważniejsze sprawy. Musiałem znaleźć informacje na temat tego pożaru w 1994 roku. Nadzieje pokładałem w albumie Vica Rushmerea i zastanawiałem się, czy jeszcze czegoś nie przeoczyłem.

- Daj znać kiedy pogrzeb. - Rzuciłem przez ramię, wychodząc.

Zanim dotarło do mnie, co właściwie się stało, jechałem już przez skrzyżowanie w Hindhead. Właśnie wtedy zauważyłem za sobą ten motocykl. Starłem się trzymać odległość, ale widziałem, że jedzie za mną. Gdy zwalniałem, on też zwalniał. Próbowałem zobaczyć coś więcej w lusterkach, niestety było ciemno i padał deszcz. Czy to ten sam motocykl, który widziałem na promenadzie? Czy był to ten sam facet, którego widziałem w restauracji, kiedy siedziałem z Simonem?

Poczułem przyspieszające tętno. Co robić? W tym miejscu trudno byłoby zawrócić. Może wyprzedzi mnie, jeśli zwolnię? A może się zatrzyma? Nie było gdzie zjechać. Wiedziałem, że niedaleko, tam gdzie zaczyna się dwupasmówka, jest opuszczony budynek - dawna kawiarenka. Mógłbym tam zjechać i zobaczyć, co robi mój ogon. Jeśli to ten nieogolony facet, to zaraz mi wyjaśni, o co mu chodzi i dlaczego za mną łązi...

Ledwie budynek wyłonił się przede mną, przyspieszyłem, cały czas szukając wzrokiem miejsca, gdzie mógłbym zjechać. Nagle gdzieś z boku wyskoczył samochód.

Chryste! Odbiłem motorem w prawo, na drugą stronę drogi. Ledwie utrzymałem równowagę. Serce waliło mi jak młot, myślałem, że za chwilę rozerwie żebra. W moją stronę jechała furgonetka błyskająca długimi światłami i rycząca klaksonem. Gwałtownie odbiłem z powrotem na swój pas - centymetry od zderzenia. Dyszałem z przerażenia, w głowie miałem łomot. Zatrzymałem się przy tym starym budynku i wyłączyłem silnik.

Zerwałem kask, w twarz chlusnęły mi strugi deszczu. Z trudem łapałem powietrze i czekałem, aż serce się uspokoi. W końcu dotarł do mnie huk przejeżdżających samochodów i przypomniałem sobie, po co tu w ogóle jestem. Odwróciłem się - wokół nie było nikogo, nikt się nie zatrzymał, motocyklista zniknął.

Gdy wróciłem do domu, Faye siedziała w salonie. Poszedłem prosto do kuchni i nalałem sobie dużą szklankę whisky, której połowę pochłonałem jednym haustem. Co było do przewidzenia, Faye podeszła do mnie i spojrzała znacząco na szklankę. Pomyślałem, że jeśli powie choć słowo na temat mojego picia, to nie wiem, czy się powstrzymam, by nie rzucić tą szklanką. Otworzyła usta, ale wyraz mojej twarzy sprawił, że zaraz je zamknęła. Oparła się o kuchenkę.

- Mogę podgrzać ci pizzę, jeśli jesteś głodny. Ja jadłam lunch na spotkaniu z klientami.

Jedzenie było ostatnią rzeczą, o której myślałem. Mogłem zginąć. Prawie zginąłem w wypadku. Skąd u licha wziął się ten mercedes? Musiał wyjechać z przecznicy. Czyżby czekał tam na mnie? Niemożliwe, to śmieszne!

- Adam, czy ty mnie słyszysz?

- Nie jestem głodny - wymamrotałem, opróżniając resztę szklanki.

Poczułem ciepło spływające w dół i rozchodzące się wokół serca. Uspokoilo mi nerwy, ale nie pędzący umysł. Zaczynałem przytomnieć. Chciałem przemyśleć to zdarzenie racjonalnie, na chłodno. Przede wszystkim miałem zadanie do wykonania. Przypuszczałem, że nie będzie to łatwe, ale nie mogłem tego dłużej odkładać. Musiałem powiedzieć Faye o moim ojcu. Jeśli nie zrobiłbym tego teraz, mogłaby się dowiedzieć od Simona. Nie mogłem być pewny, że nie będzie jej w domu, gdy mój brat albo Harriet zadzwonią w sprawie pogrzebu.

Znowu sobie nalałem. Faye aż cmoknęła.

- Zanim powiesz cokolwiek o tym - machnąłem szklanką - jest coś, co musisz wiedzieć... - Dalsze słowa ugrzęzły mi w gardle, ale nie dlatego, że byłem tak wstrząśnięty. Po prostu nie wiedziałem, jak zacząć mówić o czymś, co powinienem był jej powiedzieć dziesięć lat wcześniej, kiedy się poznaliśmy.

Moje milczenie tylko zwiększyło jej zaniepokojenie.

- Coś idzie źle z wystawą? - usłyszałem zdenerwowanie w jej głosie.

- Nie chodzi o wystawę. Właśnie wróciłem z Londynu...

- Przecież nigdy nie jeździsz do Londynu. Wiem, że nienawidzisz tego miasta.

Teraz patrzyła na mnie wzrokiem, w którym widziałem mieszanek strachu i złości.

- Nie miałem wyboru, musiałem pojechać, bo zmarł mój ojciec.

- Przecież nie masz ojca!

-

- Mam. Właściwie miałem. I mam brata, Simona. Mój ojciec odszedł dziś po południu.

Zatkało ją. Wypiłem resztę whisky.

- Nie powiedziałem ci o nich, bo odciąłem się od mojej rodziny piętnaście lat temu.

Wstrzymałem oddech, czekając, aż zapyta dlaczego. Nie miałem odwagi opowiedzieć jej o Alison i o moim załamaniu nerwowym. Prędej czy później i tak się dowie. Mężowie nie powinni mieć tajemnic przed żonami, a na pewno nie przed takimi, jak moja. To nie fair, a już na pewno nie, jeśli ludzie się kochają...

- Czemu mi nie powiedziałeś? Czemu kłamałeś?

- Nie kłamałem. Po prostu nie chciałem o tym mówić. Chciałem się od nich całkiem odciąć.

- Czego jeszcze mi nie powiedziałeś?!

„Mnóstwo i jeszcze więcej” - przemknęło mi przez głowę, ale zatrzymałem to dla siebie. Moje rewelacje musiały szokować Faye, tak przynajmniej myślałem.

- Mój ojciec zostawił wszystko Simonowi - dodałem, widząc, jak zmagą się z tą ostatnią wiadomością. - Pójdę na pogrzeb i tyle, nic więcej.

- Ile zostawił?

- A jakie to ma znaczenie?

- Oczywiście, że ma znaczenie. Jesteś jego synem.

- Nie wiem.

- W której dzielnicy Londynu mieszkał?

- Belgravia.

- O rany! Przecież tamte domy są warte niewyobrażalne pieniądze!

- Dom jest w fatalnym stanie.

-

- Nie możesz pozwolić bratu zabrać ci wszystkiego, to nie fair. Powinieneś być powiedział mi o swojej rodzinie wcześniej. Masz takie samo prawo do spadku po ojcu jak on. Pomyśl tylko, co moglibyśmy mieć za te pieniądze!

Czułem, jak rośnie we mnie złość.

- Nie chcę o tym mówić!

- Adam, musisz o tym mówić! Za takie pieniądze moglibyśmy kupić przyzwoite mieszkanie w Londynie.

- Nie chcę mieszkania w Londynie.

- Powiedziałeś, że po tej wystawie rozważysz taką ewentualność. Życie przynosi taką okazję, a ty chcesz pozwolić jej przefrunąć przed nosem! - zawołała z rozdrażnieniem.

- Nie mieszkam w Londynie! - wrzasnąłem.

- No właśnie! A ja? Co ze mną? Czy ja nie mam nic do powiedzenia? To ja muszę tam pracować i jeździć w tę i z powrotem. Ty możesz malować wszędzie.

- Właśnie, Faye, że nie mogę. Nie mogę malować nawet tu.

Moja złość opadła tak szybko, jak przyszła. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak bardzo nienawidziłem rodzinnego domu. I jak bardzo cierpiałem, gdy byłem choćby pięć mil z dala od morza. Zanim poznałem Faye, mieszkałem przy samym morzu, w Old Portsmouth.

- Więc czym są te wszystkie obrazy, które wystawiamy na Festiwalu Morza? Śmieciami? - zapytała.

- Są mierne. - Odsunąłem się od niej. Brakowało mi miejsca. Próbowałem dalej wyjaśniać: - Kochanie, zrozum, ja muszę żyć blisko morza, muszę nim oddychać, czuć jego zapach, smak. Muszę je widzieć codziennie.

-

O każdej porze roku, znać każdy jego nastrój. - Patrzyła jak na wariata. - Ten dom jest do niczego.

- Więc się wyprowadź.

- Nie do Londynu.

- Moglibyśmy mieć dom i w Londynie, i tutaj, ale nie uda się to bez spadku po twoim ojcu. Czy ty masz pojęcie o cenach domów w dzisiejszych czasach?! Nie za dużo zarobiłeś przez ostatnie lata.

- Chryste, Faye! Ty to wiesz, jak kopnąć leżącego!

- Adam! Musiałam to powiedzieć. To moja praca daje nam tu utrzymanie i pozwala ci malować...

Prawie to powiedziała, ale ugryzła się w język w ostatniej chwili. Ja jednak i tak usłyszałem te słowa, które zawisły w powietrzu: „...zamiast poszukać sobie porządnej pracy”. Odwróciłem się.

- Co z tobą, Adam? Stałeś się taki egoistyczny!

Wzruszyłem ramionami i poszedłem do pracowni.

Wziąłem do ręki pocztówkę Jacka. Westchnąłem - Turner był geniuszem: twórczy i nowatorski, z wyobraźnią. Miał wszystko to, czego brakowało mnie. Czy jego „Ostatni rejs Temeraire” miał mi coś podpowiedzieć, przekazać jakąś informację? Okręt wojenny podczas swej ostatniej podróży. Jack czuł, że to jego koniec?

Przyjrzałem się dokładnie obrazowi. Zmierzch i cudowny zachód słońca, błyski na wodzie. Pomyślałem o Jacku, Alison i o moim ojcu. Ich dni minęły. Potem pomyślałem o tym, jak o mało co nie zginąłem na drodze z Londynu. Wiedziałem, że to nie był przypadek. Ktokolwiek prowadził tego mercedesa, chciał mnie rozjechać. Nie udało mu się, ale bez wątpienia spróbuje ponownie.

ROZDZIAŁ 7

W sobotę wieczorem stałem i gapiałem się na swoje obrazy w starym magazynie zamienionym na galerię sztuki. Zastanawiałem się, czy inni też widzą, jakie to wszystko miałkie. Ale może inni nie spędzili ostatnich dni na wpatrywaniu się w „Ostatni rejs Temeraire”.

Pomieszczenie było zatłoczone i duszne. Od czasu do czasu skinąłem do kogoś głową, z kimś innym porozmawiałem, ale działałem jak robot. Jeśli nie myślałem o Jacku albo o tamtym mercedesie, to moją uwagę zaprzątał bliski pogrzeb ojca. Miałem wyrzuty sumienia, że zostawiłem Simona samego - choć gdybym postąpił inaczej, przeklinałbym się za swoją uległość. No i powinienem był wyciągnąć dotyczące mnie dokumenty z szafki ojca. Wywabić jakoś Simona z pokoju czy jak?... Teraz musiałem czekać aż do pogrzebu, a on miał dość czasu na przeglądanie starych spraw. Nie chciałem, żeby dotarł do tych wszystkich raportów z sesji z psychiatrą.

I tak miałem dość jego pewnych siebie min.

Rozglądałem się wokół z lampką wina w dłoni. Goście wyglądali na zadowolonych, parę osób mi pogratulowało. Miałem

nadzieję, że Jody jeszcze przyjdzie, myślałem o niej, ale i tak ciągle natrafiałem wzrokiem na Faye. Miała na sobie elegancką, krótką, granatową sukienkę. Jej proste, jasne włosy lśniły po trzech godzinach spędzonych u fryzjera, a srebrna biżuteria podkreślała nienagannie jasną karnację. Napotkała moje spojrzenie, podniosła szklankę i uśmiechnęła się do mnie. Nikt by nie pomyślał, że cały dzień trwało między nami zacięte milczenie. Rozmawialiśmy, tylko gdy było to niezbędne.

Jej gest przypomniał mi moją pierwszą wystawę w 1996 roku. Poznałem Faye przez agencję marketingową wynajętą do promocji tamtej galerii sztuki i skupionych wokół niej obiecujących artystów. Moje obrazy stanowiły tylko część wystawy, ale Faye właśnie je wybrała do promocji w czasopiśmie i gazetach. Stwierdziła, że moja ciemna skóra i szczupła sylwetka dobrze wyjdą na zdjęciach. Określiła mnie mianem młodego i chmurnego artysty. Owszem, miałem ciemną skórę i byłem szczupły, ale moje milczenie było skutkiem wyłącznie nieśmiałości i braku obycia. Nic jej wówczas nie powiedziałem o niedawnym złamaniu nerwowym, bo czułem, że zwieje aż na kontynent, a była mi potrzebna. Nie chodziło o jej umiejętności zawodowe, pociągała mnie jej pewność siebie. Karmiłem się jej siłą. Wzmacniała moje ego, a wówczas ono bardzo tego wymagało. Czułem, może trochę głupio, że dzięki przyjaźni Jacka i miłości Faye zamknę ostatecznie swoją przeszłość.

Odwzajemniłem uśmiech, choć nie było to łatwe. Nigdy nie miałem umiejętności aktorskich jak moja żona. Rozmawiała z przysadzystym burmistrzem, emanując pewnością

siebie i serdecznością. Jeszcze przed wernisażem dzwoniła do jednego ze swoich londyńskich przyjaciół prawników w sprawie naszych szans na spadek. Jeśli jakieś istniały, wiedziałem, że ona je wykorzysta. Jednak ja sam nie chciałem ani grosza z pieniędzy ojca. Nie chciałem również, żeby Faye przyszła na pogrzeb, ale teraz nic nie byłoby w stanie jej powstrzymać.

- Wspaniała wystawa, Adamie - jakiś głos wyrwał mnie z zadumy. Przede mną stał Nigel Steep, dyrektor portu handlowego. Okrągły mężczyzna ubrany w granatowy blezer i spodnie khaki z kantem, który przyprawiał o łezkę w oku.

- Cieszę się, że ci się podobają.

- Z pewnością kupimy parę do naszej recepcji.

Zaśmiałem się.

- Zdaje się, że macie dość obrazów mojego autorstwa. - Już wcześniej namalowałem im na zlecenie kilka scen portowych.

- Od przybytku głowa nie boli - zachichotał Nigel. - To dobra inwestycja.

- To lepiej się pospieszcie, zanim porwie je przyjaciel Faye z Londynu - powiedziałem, wskazując głową żonę i wysokiego, smukłego jak wąż mężczyznę ubranego od stóp do głów na czarno, z wyjątkiem muszki w żółte groszki. Potem pokazałem Steepowi Martina, dyrektora galerii, który rozmawiał właśnie z kelnerami. Okrągły Nigel ruszył w jego stronę.

Zacząłem krążyć między ludźmi, zamieniając od czasu do czasu parę słów lub pozdrawiając kogoś, ale była to dla mnie tortura. Faye chwilami na mnie spoglądała, marszcząc czoło, jakby chciała mnie przywołać do porządku.

W pewnej chwili otworzyły się drzwi. Miałem nadzieję, że to Jody, ale zamiast niej wszedł niewielki człowiek z przywędłymi brązowymi włosami i dwa krzepkie typy w eleganckich garniturach. Jego oczy omiotły wnętrze, ale Faye, która VIP-a zwietrzyłaby na milę, znalazła się przy nim w okamgnieniu. O burmistrzu nie zapomniała, oczywiście - został w pośpiechu wmanewrowany w rozmowę z kobietą o fryzurze Margaret Thatcher. Lakier użyty do jej utrzymania był z pewnością odpowiedzialny za całą dziurę ozonową. Faye rzuciła mi przez ramię wzywające spojrzenie, a ja z ociąganiem, jak krnąbrny uczeń podreptałem w kierunku przybyłych.

- Kochanie pozwól, że ci przedstawię: pan William Bransbury, minister środowiska, energii i odpadów.

- Dziękuję za odwiedziny - powiedziałem oficjalnie, dostając raczej pletwę niż uścisk dłoni.

- Nie ma za co, dziękuję za zaproszenie. Warto wspierać lokalne talenty. Jak słyszę, jest pan znany z zainteresowań marynistycznych.

Głos ministra był wysoki i nosowy, a zachowanie dość nerwowe. Orzechowe oczy cały czas omiatały salę. Może nie lubi takich spędów, co chyba - jak pomyślałem - u polityka jest poważną wadą. Spodziewałbym się kogoś bardziej pewnego siebie. Możliwe, że to telewizja tak ich zmienia.

- Może drinka, panie ministrze? - Faye skinęła na jedną z kelnerek.

Bransbury wziął szklankę białego wina.

- Będą państwo uprzejmi mnie oprowadzić?

- Oczywiście - powiedziałem, żeby zadowolić Faye.

-

Znalazłem się w centrum najpierw niewielkiej, ale szybko rosnącej grupy gości. Podeszliśmy do obrazów przedstawiających dwusetną rocznicę bitwy pod Trafalgarem. Prywatne żagłówki zacumowane jedna przy drugiej, przystrojone setkami kolorowych flag trzepoczących na wietrze wśród want i fałów. Elegancja i majestat wysokich, smukłych jachtów, uwijające się łodzie, okręty marynarki wojennej, statki z całego świata. I ta mała turystyczna łupinka podskakująca na lazurowych falach między pro-mem z wyspy Wight a jakimś poduszkwocem.

Nagle stanął mi przed oczami obraz Turnera. „Teme-raire” był bardzo waleczny pod Trafalgarem. Dlaczego Jack wybrał właśnie tę pocztówkę? „Jesteś wybitnym artystą...” Czy istniał jakiś związek między dziełem Turnera a moją wystawą? Nagle mnie olśniło. Flagowy statek Nelsona, HMS „Victory”, był zacumowany w muzealnej części portu. Pożar, o który chodziło Jackowi, musiał mieć miejsce w porcie. Prawie wykrzyknąłem z podnie-cenia. Do diabła, miałem rację! Musiałem mieć. Chcia-łem natychmiast wybiec, żeby to sprawdzić. Ledwie uda-ło mi się okiełznać moją niecierpliwość.

- Nad czym pan teraz pracuje? - zapytał Bransbury.

- Pragnę namalować coś w hołdzie mojemu najlep-szemu przyjacielowi Jackowi - odparłem z wysiłkiem. - Był strażakiem. Zginął w pożarze, który ktoś celowo wywołał.

- Czytałem o tej tragedii w gazetach. Biedny czło-wiek.

Kto mógłby mi coś powiedzieć o jakimś pożarze w porcie? Moje oczy powędrowały w kierunku drzwi – stała w nich Jody. Serce mi drgnęło, a myśli o ucieczce

natychmiast zniknęły. Rozejrzałem się wokół ze strachem, że Faye zauważy nagłą zmianę w moim zachowaniu. Jednak ona była nadal zajęta rozmową z przyjacielem w muszce w żółte groszki.

Kiedy Jody mnie zauważyła, jej twarz zaraz pojaśniała, a po moim ciele rozlała się fala ciepła. Poczulem takie pożądanie, jakiego nie pamiętałem od czasów Alison. Jody zmierzała w moim kierunku. Teraz musiałem się tylko pozbyć tego polityka.

- Cześć!

- Witaj! - Odwzajemniłem uśmiech.

Jody miała na sobie brązowe sportowe spodnie i obcisły zielony kardigan z kaszmiru, który podkreślał kolor jej oczu. Uśmiechały się do mnie figlarnie, powodując przyspieszenie tętna. Na jej gładkiej, smukłej szyi wisiał medalion z brązu, a w uszach miała niewielkie bursztynowe kolczyki. Nastroszone kasztanowe włosy, dyskretna szminka, delikatne kreski podkreślały migdałowe oczy. Odchrząknąłem i pamiętając o manierach, przedstawiłem ją politykowi.

- Znam pana ministra - stwierdziła krótko. - Znam również stanowisko pana ministra w kwestii rozwoju zatoki Langstone.

Bransbury poczuł się nieswojo, ale na ratunek przyszła mu Faye.

- Już dość długo trwa obleżenie pana ministra - po wiedziała ze śmiechem, rzucając mi złowrogie spojrzenie.

Następnie jej wzrok powędrował na przybyłą. Do strzegłem lekkie zwężenie źrenic i uniesienie nienagannie

uregulowanych brwi. Zauważywszy to, Jody nie ustąpiła. Przeciwnie, spoglądała na Faye z nieukrywanym zainteresowaniem.

Przedstawiłem je sobie. Moja żona rzuciła tylko chłodne „witam”, obróciła się na pięcie i odpłynęła, zabierając ze sobą Bransbury ego.

- Przepraszam, jeśli Faye była trochę obcesowa - zacząłem.

- Nieważne - uśmiechnęła się Jody. - Nie przyszłam tu dla niej.

- A jakie jest stanowisko ministra w sprawie zatoki?

- On popiera rozwój, a ja, tak jak wielu ludzi, jestem przeciwko. Niestety pieniądze są silniejsze. Jednak to w dalszym ciągu nic pewnego, a lobby ekologiczne też jest bardzo silne. Tak czy siak, nie przyszłam tu rozmawiać o nim ani o polityce. Czy masz zamiar mnie oprowadzić?

- Z przyjemnością, ale ostrzegam, właśnie zanudziłem na śmierć ministra i jego ludzi.

- Wyglądają wspaniale. To znaczy obrazy, a nie ludzie ministra.

Tym razem oprowadzanie było samą przyjemnością, a nie obowiązkiem. Urzekł mnie sposób, w jaki Jody się poruszała. Niewymuszony, spokojny jak u zadowolonej kotki. Moje obrazy przestały mi się wydawać takie wtórne i nijakie, byłem też rozmowniejszy niż zwykle. A może to tylko wpływ wina?

Napłynęła kolejna fala gości i sala wypełniła się po brzegi, a ja ze zdziwieniem odkryłem, że nie obchodzi mnie to w najmniejszym stopniu.

- Czy byłeś na policji w sprawie śmierci Jacka? - zapytała, gdy skończyliśmy z obrazami i nie było nikogo w pobliżu.

- Tak, dobrze mi to zrobiło.

- Nie uwierzyli ci?

- Steve trochę mi naobiecował, że pogrzebie w raportach, ale nie liczę na wiele.

- Więc co teraz?

- Sprawdzę parę tropów. Myślę, że wiem, gdzie mógł mieć miejsce ten pożar... - zacząłem i zamarłem.

Nie dalej niż dwa metry ode mnie stał ten młody motocyklista. Jego oczy przewiercały mnie na wylot. I nagle mnie olśniło. Jak mogłem tego nie dostrzec wcześniej?! Musiałem być głupi i ślepy. Fakt, wtedy mógł mieć najwyżej sześć lat i jeździć na trzykołowym rowerku, ale teraz wiedziałem bez cienia wątpliwości - to był Ben Lydeway, brat Alison.

Gdy to odkryłem, cała sala jakby zniknęła. Byliśmy tylko my dwaj. Wiedziałem, po co przyszedł. Chciał zemsty za śmierć siostry. Obarczał mnie winą. Powiniennem podejść i porozmawiać z nim, ale nie mogłem się ruszyć.

Za chwilę zobaczyłem, jak podchodzi do jednego z obrazów - tego z jachtami z całego świata zacumowanymi przy Gunwharf Quays. Jego dłoń znikła w kieszeni. Nim zobaczyłem słoik, usłyszałem wrzask, potem kolejne. Ben chlustał czymś wprost na płótno.

Wmurowało mnie w podłogę. Ludzie rozpierchli się jak ptaki przed kotem. Były krzyki i bieganina, i rosnący tłok przy drzwiach. On oblewał farbą płótno za płótnem, a ja nadal nie mogłem się ruszyć. W końcu dwóch wielkich

mężczyzn dopadło go i obezwładniło, a słoik upadł na podłogę. Jednak głowę Ben cały czas trzymał podniesioną i nie spuszczał mnie z oczu.

Dał się wyprowadzić, nie stawiając oporu. Rzucił mi jeszcze ostatnie spojrzenie spod drzwi. Wszystko to musiało trwać sekundy, ale dla mnie minęły godziny. Nogi miałem jak z waty, a żołądek podskoczył mi do gardła. Dłonie mi spotniały, a serce tłukło się tak, że nie mogłem złapać oddechu. Goście otoczyli mnie ze wszystkich stron - widziałem wzburzone twarze, poruszające się usta, ale nic nie słyszałem.

Wtedy dotarł do mnie głos Jody:

- Myślę, że potrzeba ci trochę świeżego powietrza.

Poprowadziła mnie przez pomieszczenia kuchenne i wyjście ewakuacyjne na tył budynku, gdzie usiadłem, a raczej upadłem na skrzynki po owocach. Jody poszła z powrotem po szklanę wody.

- Gdzie Faye? - zapytałem, kiedy wróciła z plastikowym kubkiem. Wypiłem lodowatą wodę jednym długim haustem.

- Zajmuje się dziennikarzami i ministrem. Kim jest ten młody człowiek?

- Nie mam pojęcia - skłamałem.

Czy kiedykolwiek będę jeszcze w stanie mówić o Alison? Wiedziałem, że jej śmierć była wypadkiem, ale ciągle powracało pytanie o to, gdzie wtedy byłem, co robiłem i dlaczego nic nie pamiętam. Przez tę niepewność, traumatyczne przeżycia i wmówiony mi przez ojca wstyd z powodu załamania nerwowego nie umiałem wykrztusić słowa o Alison. Sekcja zwłok nie wykazała wtedy żadnych siniaków na jej ramionach i górnej części ciała.

Tylko że była napakowana kokainą. Mnie oczywiście też zbadali, ale test niczego nie wykazał. Rzeczywiście nigdy nie brałem, za bardzo się bałem utraty kontroli. Wynik dochodzenia stwierdzał więc jednoznacznie, że przyczyną śmierci był wypadek, ale i tak czułem się odpowiedzialny. Jakkolwiek na to nie spojrzeć, przyczyną była kłótnia, która tego dnia miała miejsce między nami.

Czy Ben zostanie aresztowany? Może właśnie dlatego zdecydował się na taki gest, może chciał, aby śledztwo zostało rozpoczęte na nowo?

- To pewnie jakiś fanatyczny zielony. - Moje myśli przerwał głos Jody. - Wiedział, że na wernisazu będzie minister, więc uznał to za najłatwiejszy sposób dostania się na pierwsze strony gazet.

- Tak, pewnie o to chodzi. - Podniosłem się. - Przykro mi, że to akurat musiało wydarzyć się dzisiaj.

- To nie ty powinieneś przeproszać.

Kiedy wróciliśmy do sali, Faye podniosła wzrok. Dostrzegłem jej chmurną i piękną twarz, zanim podpłynęła do mnie z cierpkim uśmiechem.

- A więc tu jesteś, Adamie.

- Na mnie już czas - rzuciła Jody.

- Muszę pomówić z Martinem - powiedziałem nagle.

Zostawiłem Faye z gośćmi i poszedłem obejrzeć zniszczone płótna. Ben oblał trzy obrazy ciemnoczerwoną farbą. Aż mnie odrzuciło - wyglądała jak zakrzepła krew. Jakiś czas rozmawiałem z Martinem, ale nic z tego nie pamiętam, bo moje myśli wędrowały całe lata wstecz.

- Czy będziesz w stanie uratować płótna? - zapytała Faye, gdy taksówka wiozła nas do domu.

- Martin uważa, że tak. - Mało mnie to jednak w tamtej chwili obchodziło. Wiedziałem tylko, że dopóki będzie je pokrywała ta ohydna farba, nie odważę się ich nawet dotknąć.

- Wiesz, kto to jest?

- A skąd mam wiedzieć? - znowu skłamałem.

- O co mogło mu chodzić? - zastanawiała się. - Pewnie to zazdrość, choć policja sądzi, że to był gest skierowany przeciwko ministrowi, jakiś protest ekologiczny. A skąd znasz tę kobietę?

- Jody? - Miałem nadzieję, że mój głos nie zdradzi rosnącego tętna. - To sąsiadka Rosie.

- Była tam, gdy popędziłeś Rosie na pomoc po włamaniu?

- Nie. - Zignorowałem szyderczy ton żony.

- A skąd się wzięła na wernisażu?

- Ja ją zaprosiłem, do cholery, Faye! - palnąłem wzburzony.

- I co się tak rzucasz?

Taksówka podjechała pod dom. Weszliśmy do holu.

- Będziesz musiał pójść na komendę policji i złożyć wyjaśnienia.

- Po co? - zapytałem przestraszony.

- Ponieważ ten facet zniszczył twoje obrazy. To się fachowo nazywa rozmyślne spowodowanie szkód w złym zamiarze czy coś takiego - wyjaśniła.

- Nie mam zamiaru go skarżyć.

- Ależ Adamie...!

-

- Nie mam zamiaru i koniec z tym - stwierdziłem, jakby to rzeczywiście mógł być koniec.

- Nic nie rozumiem. Wyjaśnij mi, dlaczego nie - zażądała zirytowana Faye.

Powiniennem być powiedzieć jej o Alison, ale nie powiedziałem.

- Wniesienie oskarżenia nie uratuje moich obrazów. Co się stało, to się nie odstanie. Trzeba o tym zapomnieć.

- Uciekasz od wszystkiego, Adam, prawda?

Gdyby tylko wiedziała o Jacku!

- Daj spokój, Faye! To nie ma sensu.

- Jesteś żalony! - krzyknęła i wybiegła z pokoju.

Wypuściłem długo wstrzymywany oddech. Powiniennem być jej powiedzieć. To była dobra chwila, ale ja dopuściłem, żeby minęła. Nie umiałem wydobyć z siebie słowa. Wkrótce będę musiał. Wkrótce Ben powie wszystko policji i będę zmuszony do wyjaśnienia, co wtedy zaszło między mną a Alison. Będę również musiał to wyjaśnić swojej żonie. Nie sądzę, żeby się z tego powodu ucieszyła.

Wiedziałem, że tego wieczoru łatwo nie zasnę. Leżałem jednak spokojnie, nie chcąc obudzić Faye. Wgąbiałem się w ciemność, bezskutecznie próbując przypomnieć sobie cokolwiek więcej na temat okoliczności śmierci Alison. Jak zawsze wspomnienia mi się wymykały. Po jakimś czasie dałem za wygraną. Ze złością odepchnąłem przeszłość i wróciłem do terażniejszości, do Jacka.

Rytmiczny, spokojny oddech Faye zgrywał się z dzwonieniem deszczu o szyby. Spróbowałem zebrać w głowie

wszystkie fakty. Wiedziałem, że jeśli Jack celowo wybrał obraz Turnera jako sposób zaszyfrowania informacji, to przypadki nowotworu były spowodowane pożarem jakiejś substancji, prawdopodobnie przewożonej na pokładzie statku. Wypadek miał przypuszczalnie miejsce 4 lipca 1994 roku. Nie pamiętałem, by Jack wspominał cokolwiek o gaszeniu pożaru na pokładzie jakiegoś transportowca, ale on niewiele mówił o pracy podczas naszych żeglarskich wypraw. Koniecznie musiałem się dowiedzieć, o jaki statek chodziło i o jaką substancję. Miałem nadzieję, że coś mi powiedzą raporty z centrali straży pożarnej. Do poniedziałku musiałem uzbroić się w cierpliwość.

Naciągnąłem kołdrę. Faye poruszyła się przez sen. Raporty w poniedziałek, a jutro będę wiedział, czy Ben powiedział policji o Alison.

ROZDZIAŁ 8

Z policji zadzwonili następnego dnia o dziesiątej rano. Byłem grzeczny, ale stanowczy. Trwałem przy swojej decyzji, chociaż naciskali. Kilka minut później zatelefonował Steve Langton.

- Adam, możesz mi wyjaśnić, dlaczego nie chcesz go pozwać? - rzucił poirytowany.

- Steve, nie warto. To tylko obrazy. Można je wyczyścić.

Zapadła chwila ciszy. Policzyłem do pięciu, zanim odezwał się ponownie.

- To przestępstwo, on może to powtórzyć.

- Jeśli go oskarżę, to i tak zaraz wyjdzie, więc jak zechce to powtórzyć, i tak nic go nie powstrzyma, prawda?

- Może przez jakiś czas nie wróci? - odparł z powątpiewaniem Langton. - Ja go nie mogę zatrzymać, mam cele pełne świątecznych pijaczków i kibiców.

- To go wypuść.

Miałem nadzieję, że wróci. Najwyższy czas, żebyśmy porozmawiali.

- Nazywa się Ben Harrow - dodał Steve.

Harrow? A dlaczego nie Lydeway? Czy po śmierci ojca Alison jej matka ponownie wyszła za mąż? Może Ben przyjął nazwisko ojczyma? A może po prostu je zmienił? To, jak się nazywał, nie miało najmniejszego znaczenia. I tak wiedziałem, że to był młodszy brat Alison. A więc chyba nie powiedział policji o siostrze. A może Steve mnie sprawdzał?

- Znasz go? - zapytał.

- Nie - odparłem i w pewnym sensie taka była prawda. - Czy on powiedział, dlaczego to zrobił?

- Nie. Martin mówi, że chłopak nie zniszczył budynku, ale i tak chce wystąpić o odszkodowanie za twoje płótna, bo były mu przecież powierzone. A do tego będzie potrzebował numeru sprawy, więc musisz złożyć pozew. Mamy winowajcę, mnóstwo świadków, więc o co ci chodzi?

- Niech Martin złoży pozew - opierałem się. Usłyszałem, jak Steve westchnął. - Czy on mówił, gdzie mieszka?

- Zatrzymał się w hotelu White Sails. Sprawdziliśmy to. Zameldował się tydzień temu pod nazwiskiem Ben Harrow. Jak wynika z prawa jazdy i paszportu, to jego prawdziwe dane. Szukaliśmy go w archiwach, nie ma kryminalnej przeszłości i nie pobiera zasiłku.

- Może masz coś nowego w sprawie Jacka? - zmieniłem temat.

- Wysłałem dzielnicowego, żeby popytał sąsiadów. Nikt nic nie widział i nic nie słyszał. W poniedziałek złożę wniosek o udostępnienie raportów z pożarów.

- Ja już to zrobiłem poprzez Brookfielda.

- Adam...

-

- Steve, ja muszę wiedzieć, dlaczego Jack zginął. - Po drugiej stronie zapadła cisza. - Czy ty wiedziałeś, że Jack zamienił się tego dnia z kolegą?

- Adam, zostaw to. Lepiej maluj, to twoja działka.

Może i tak było, ale ja nie chciałem się z tym zgodzić.

Powstrzymałem się jednak przed wypytywaniem Steve'a o pożar w 1994 roku w porcie. Czerwony Patrol ma dzisiaj noc, może wstąpię i sam pogadam z Ianem.

Poczekalem, aż Faye pojedzie na zakupy i udałem się do hotelu White Sails. Byłem gotów na furie i nienawiść Bena. Próbowałem poćwiczyć swoją mowę, ale nie wychodziło. Co mogłem powiedzieć z wyjątkiem tego, że przykro mi z powodu śmierci jego siostry?

Zaparkowałem przed hotelem. Front budynku wychodził na skalny ogród i morze. Zdejmując kask, wszedłem po czterech schodkach do niezbyt ładnej recepcji. Za kontuarem stała kobieta około trzydziestki. Akurat przerwałem jej w połowie ziewnięcia.

Zapytałem o Bena.

- Pokój czternaście, pierwsze piętro.

Wchodząc po schodach, czułem się coraz bardziej zdenerwowany. Serce mi waliło. Jego demonstracja w galerii była oczywistym dowodem, że chciał się ze mną spotkać. To samo znaczyło jego milczenie na komendzie. Nie chciał gadać z nimi, bo chciał gadać ze mną.

Drzwi były uchylone, przedpokój częściowo zablokowany wózkiem pokojowej. Zapukałem i czekałem. Nic. Spróbowałem ponownie. Znow nic. Parę pokoi dalej otworzyły się drzwi i wyszła siwowłosa kobieta z miniaturowym białym pudelkiem na rękach. Rzuciła mi krótkie spojrzeenie.

- Ben, to ja, Adam Greene - powiedziałem cicho.

Kobieta cmoknęła, jakby usłyszała coś wulgarnego. Przechodząc obok mnie, szczebiotała po cichu do swego pieska.

- Ben?

Nadal nie było żadnej odpowiedzi. Pchnąłem drzwi, spodziewając się zobaczyć pokojówkę, ale w środku nie było nikogo. Szybko przeszedłem przez pokój i zajrzałem do łazienki. Gdziekolwiek był Ben Lydeaway, to nie tu. Już miałem wychodzić, kiedy moją uwagę zwróciła fotografia w srebrnej ramce stojąca na nocnym stoliku. Przyciągnęła mnie jak magnes. Podniosłem ją i gapiłem się w zielone, roześmiane oczy Alison. Poczułem szarpnięcie w sercu. Przez te wszystkie lata jej twarz zdążyła się już zatrzeć, widziałem ją jak za mgłą. Teraz patrzyłem na nią po raz pierwszy po wielu latach. Na piękną, młodą kobietę, a nie bezkształtne ciało roztrzaskane o beton.

Zeszytywniałem, przyłapawszy się na tym wspomnieniu. A więc widziałem ją wówczas leżącą na ziemi! Wcześniej tego nie pamiętałem. Więc jeśli widziałem Alison martwą, to nie mogłem być na górze i jej zepchnąć. A może szybko zbiegłem? Nie. Z pewnością byłem na chodniku, kiedy spadła.

Odstawiłem fotografię na miejsce. Gdy wychodziłem, recepcjonistka rozmawiała przez telefon, więc tylko skinąłem głową. Miałem zamiar jeszcze tu wrócić.

Możliwe, że Ben wyszedł tylko na spacer, aby pozbyć się smrodu celi. To było coś, co sam dobrze znałem. Przeciąłem promenadę i przespacerowałem się nad brzeg morza. Po lewej widziałem molo i kilku przemokniętych wędkarzy skulonych w swoich sztormiakach i wełnianych czapkach.

Wpatrywali się w wodę koloru stali. Było mokro, zimno i pusto, tylko sklepy przyciągały ciepłem i kolorowymi światłami.

Zadzwoiła moja komórka. Odebrałem automatycznie, nie patrząc na wyświetlacz.

- Pomyślałam, że zapytam, jak się masz po wczorajszym.

Poczułem się tak, jakby słońce nagle wyjrzało zza szarości chmur. Na brzmienie głosu Jody moje serce drgnęło, a jednocześnie poczułem wyrzut sumienia, że Faye nigdy nie robiła i pewnie nigdy nie będzie robiła na mnie takiego wrażenia. Tylko Alison miała ten dar. I teraz Jody.

- Trzymam się.

Musiła usłyszeć wahanie w moim głosie.

- Mam nadzieję, że nie przerwałam ci malowania.

- Nie, nie, jestem nad morzem, potrzebowałem trochę świeżego powietrza. - Nawet jej nie mogłem powiedzieć prawdy.

- Przykro mi z powodu twoich obrazów - odezwała się miękkim głosem.

- To tylko obrazy. Nie są aż takie ważne.

- Czy policja go oskarży? - zapytała po chwili ciszy.

- Na pewno nie ja. Jody, to nic nie da.

- Wybacz, że tak uciekłam, nie chciałam przeszkadzać twojej żonie.

- To nic, nic się nie stało.

- Miałeś mi powiedzieć o postępach w twoim dochodzeniu.

Powiedziałem jej o moim pomysle dotyczącym „Ostatniego rejsu Temeraire”.

- Wszystko to sprawdzę, jak będę miał raporty.

- Ja też mogę popytać, jeśli chcesz. Wiesz przecież, że obracam się w porcie. Może ktoś będzie pamiętał pożar z 1994.

- To było dawno temu. - Nie pokładałem wielkich nadziei w tym, że ktoś będzie cokolwiek pamiętał. Przekonałem się już, że nikt niczego nie pamięta. - Jody, wydaje mi się, że nie powinnaś. To zbyt niebezpieczne.

- Obiecuję, że będę ostrożna.

Po rozmowie z nią wróciłem do domu w trochę lepszym nastroju, ale jednocześnie zatroskany, że i ona może stać się celem. Na sekretarce zobaczyłem wiadomość od Carol Rushmere. Znalazła album męża i powiedziała, że mogę go odebrać następnego dnia. Szkoda, wolałbym pojechać do niej natychmiast.

Faye wróciła z zakupami, a ja uciekłem do pracowni. Gapiłem się na ściany, płótna i grałem w gry komputerowe. Zawołała mnie na kolację i w milczeniu usiedliśmy za stołem. Ledwie zaczęliśmy jeść, posiłek przerwał nam dzwonek u drzwi.

- Kto to może być, u licha? - rzuciła zirytowana Faye, wstając, ale ja byłem szybszy.

Na progu stało dwóch mężczyzn, jeden wysoki i kościsty w wieku lat pięćdziesięciu paru, drugi niższy i grubszy, na oko trzydziestolatek.

- Pan Greene? Adam Greene? - zapytał młodszy.

- Tak? - odpowiedziałem nieufnie.

- Inspektor Staples i sierżant Wilcox. - Starszy zamachał legitymacją. - Możemy wejść?

Oczywiście nie mogłem odmówić, choć bardzo bym chciał. Poczulem na krzyżu dreszcz strachu. Pomyślałem, że przyszli, bo nie chciałem oskarżyć Bena. Jednak czy

wystaliby dwóch tajniaków zamiast dzielnicowego? Wątpliwe. W takim razie czego chcieli? A może Ben powiedział im jednak, że to ja wypchnąłem Alison z okna?

- Jeśli panowie w sprawie tego zdarzenia w galerii zeszłego wieczoru - zacząłem - to już powiedziałem, że nie mam zamiaru składać doniesienia.

- Adamie, kto to przyszedł? Stygnie ci kolacja! - dobiegł nas głos Faye.

- To policja - odpowiedziałem. - Proszę, niech panowie wejdą - zaprosiłem ich do salonu, widząc, że moja żona pojawiła się w holu.

- Czego oni chcą?

Wzruszyłem ramionami. Wzdychając i marszcząc czoło, wróciła do kuchni. Słyszałem, jak wstawiała kolację do kuchni. Sam podążyłem z policjantami do salonu.

Sierżant usiadł na sofie przy oknie, a inspektor pozostał tam, gdzie się zatrzymał, przy kominku. Widziałem, jak jego ostre, szare oczy rozglądały się po pokoju. Przycupnąłem na krzesło dokładnie naprzeciwko niego. Robiłem, co mogłem, aby wyglądać na rozluźnionego, jednak nie miałem wątpliwości, że nie potrafię ich oszukać. Gdy weszła Faye, tajniacy jeszcze raz się przedstawili.

- Właśnie jedliśmy kolację - powiedziała sucho. - Czy te sprawy nie mogą poczekać?

- Obawiam się, że nie, pani Greene. Jest parę rzeczy, o które chcielibyśmy zapytać pani męża, ale oczywiście możemy udać się na komisariat, jeśli tak będzie wygodniej.

Chryste! Ben im powiedział! Przyszli mnie aresztować! Starałem się nie okazywać strachu, ale tacy faceci strach wyczuwają na milę. Gdyby Steve Langton był tutaj!

Wmawiałem sobie, że to tylko ich rutynowe działania i że zaraz się to wszystko skończy, ale jakoś nie byłem przekonujący.

- Mogę odpowiedzieć na panów pytania tutaj - odparłem szybko.

Faye rzuciła mi spojrzenie i usiadła obok za małym szklanym stolikiem.

Sierżant wyjął z kieszeni marynarki notes i zaczął:

- Jak sądzę, zna pan człowieka o nazwisku Ben Harrow?

Serce zgniótł mi strach, a w głowie czułem pulsowanie krwi. Wytrzymałem jednak spojrzenie policjanta.

- Nie, nie znam nikogo o nazwisku Ben Harrow - odpowiedziałem - ale jeśli spyta pan, czy go kiedyś w życiu spotkałem, to muszę odpowiedzieć, że tak. Oboje go spotkaliśmy - spojrzałem na Faye - wczoraj w galerii.

- I od tamtej pory nie widział go pan?

- Nie. - Stężałem w napięciu.

- A nie odwiedził go pan dzisiaj?

Czułem na sobie oczy żony, ale nie śmiałem na nią spojrzeć. Oczywiście wiedzieli, że byłem w hotelu. Widziała mnie recepcjonistka i ta babcia, właścicielka pudła. Ale dlaczego zawiadomiły policję? Czyżby Ben zgłosił kradzież czegoś z pokoju?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Faye zapytała:

- O co właściwie chodzi, panie sierżancie?

- Zignorował pytanie i obserwował mnie uważnie.

Nie miałem wyjścia.

- Tak, złożyłem mu wizytę, ale go nie zastałem.

- Adam, po co, u licha, to zrobiłeś?! - krzyknęła Faye.

-

- Chciałem się dowiedzieć, dlaczego zniszczył moje płótna - odparłem najspokojniej, jak tylko potrafiłem.

- Która to była godzina? - zapytał sierżant.

- Około dziesiątej trzydzieści. Poszedłem na górę do jego pokoju i zapukałem. Nie było odpowiedzi.

- Nie wszedł pan do środka?

- Dlaczego zadaje mi pan te wszystkie pytania? Przecież to on zniszczył moje obrazy, a nie odwrotnie. To nie ja jestem przestępcą - wyrzuciłem szybko, a mój umysł w tym czasie intensywnie pracował. Czy powinienem powiedzieć im, że faktycznie wszedłem do środka i dotykałem zdjęcia Alison? Dlaczego ich to interesowało?

- A więc miał pan do niego urazę?

- Trudno to nazwać urazą. Po prostu byłem zły za moje obrazy, ale to przecież nie koniec świata.

- A więc nie szukał pan odwetu? - pytanie zostało zadane niby od niechcenia, ale oczy tajniaka były twarde jak skała.

- Nie. - Teraz nie wiedziałem już, co myśleć. - Poszedłem z nim porozmawiać.

W ciszy, która nastąpiła, słyszałem bicie własnego serca. Wydawało mi się tak głośne, że z pewnością słyszeli je też policjanci.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie - zauważył obojętnie sierżant. - Czy wszedł pan do pokoju?

Znów byłem pod ścianą.

- Tak, wszedłem. Zawołałem pod łazienką, a gdy nie było odpowiedzi, zajrzałem do środka. Łazienka była pusta. Wszedłem.

- Czy dotykał pan czegokolwiek?

-

Cholera, po co te pytania? Co stało się z Benem? Coś musiało się stać, najwyraźniej wzięli odciski palców.

- Dotykałem, oczywiście, drzwi i zdaje się, że podniosłem fotografię. - Postarałem się, aby mój głos zabrzmiał spokojnie.

- Dlaczego pan to zrobił?

Czułem wwiercające się we mnie oczy żony.

- Wydało mi się, że rozpoznałem kobietę na tym zdjęciu.

- Czy tak było w istocie?

Ratunek niespodziewanie przyszedł ze strony Faye.

- Panie inspektorze, chyba czas, aby nam pan wyjaśnił, co właściwie się stało - powiedziała zdecydowanym i chłodnym głosem.

Spojrzał na nas z dłońmi splecionymi za swoimi wąskimi plecami.

- Ben Harrow został znaleziony martwy w swojej hotelowej sypialni dziś o czternastej - oznajmił starszy z policjantów. - Biegli sądzą, że zgon nastąpił między dziesiątą a południem. Uważamy, że ta śmierć nie była naturalna.

Jego słowa wyssały ze mnie oddech. Ben nie żyje? Jak? Dlaczego? Kto?

Faye zerwała się.

- Nie sądzicie chyba, że mój mąż ma cokolwiek wspólnego ze śmiercią tego człowieka? To niedorzeczne, przecież on nie mógłby nikogo skrzywdzić.

Miałem sucho w ustach, w głowie łomot. Czy to miało coś wspólnego ze śmiercią Jacka? Ale co?

- Jeśli byłby pan łaskaw udać się z nami na komendę, chcielibyśmy zadać panu jeszcze parę pytań.

- Aresztujecie mnie? - Wydawało mi się, że pokój wiruje.

- Chcemy zadać jeszcze parę pytań, pobrać odciski palców i próbki DNA. Mamy nadzieję, że możemy liczyć na pańską współpracę, panie Greene.

Sposób, w jaki to powiedział, nie pozostawiał mi żadnego wyboru.

- Zadzwoń do Grahama Johnsona. On jest prawnikiem. Nic nie mów, dopóki nie przyjedzie - poradziła mi żona.

- Faye, dziś jest niedziela.

- No i co z tego? To jego zawód. Panie inspektorze, robicie wielki błąd.

Spojrzałem na policjanta. Nawet jeśli istotnie popełniał błąd, wyraz jego twarzy zdawał się mówić coś innego.

ROZDZIAŁ 9

Graham Johnson pojawił się na komendzie krótko po mnie. Od Wilcoxsa dowiedzieliśmy się, że hotelowy pokój Bena został splądrowany, co według sierżanta miałem zrobić w odwecie za dewastację moich obrazów. To również miał być mój motyw zabicia Bena. Natomiast Johnson trzymał się mojej wersji, co podniosło mnie na duchu - gdyby nie była dla niego wiarygodna, pewnie zaczęłyby coś kombinować.

W miarę jak wieczór mijał, przesłuchanie stawało się coraz intensywniejsze. Musiałem wkładać coraz więcej wysiłku, żeby się skoncentrować, nie błędzić myślami w przeszłości - po wspomnieniach z tamtego komisariatu i tamtego przesłuchania. Siedziałem wyprostowany, dłonie trzymałem splecione na kolanach, a paznokcie wrzynały mi się w ciało. Gdyby policjanci to zauważyli, prawdopodobnie uznaliby, że kłamię.

Johnson pozostawał chłodny jak lód. Sprawiało mi niejaką przyjemność widzieć plamy potu pod pachami siedzącego naprzeciwko mnie Wilcoxsa.

Przyniesiono kawę, ale nie mogłem nic pić. Zdradziłyby mnie dygocące ręce. W rogu pokoju monotennie przesuwiała

się taśma magnetofonu rejestrująca każde wypowiedziane słowo. Czy Steve Langton wiedział, co się dzieje? Możliwe, że wiedział, ale został odsunięty jako mój znajomy.

- Dlaczego pan tam wszedł? - Inspektor Staples odchylił się na krześle i oglądał swoje paznokcie, jakby rozważał, czy już pora na manicure.

- Straciłem już rachubę, ile razy powtarzałem to samo zdanie. Ponieważ chciałem z nim porozmawiać. Chciałem się dowiedzieć, dlaczego zniszczył moje obrazy.

Policjant pochylił się do przodu z groźnym wyrazem twarzy. Cokolwiek chciał powiedzieć, ugrzęzło mu to w gardle, przerwane pukaniem do drzwi. Pojawił się mundurowy i wyszeptał coś do ucha inspektora. Ten zmarszczył brwi, odsunął krzesło i powiedział w stronę magnetofonu:

- Przesłuchanie przerwane o 23.15. Może jeszcze kawy?

Potrząsnąłem głową.

Obaj detektywi wyszli. W pokoju został tylko policjant w mundurze i Johnson, który wyciągnął swoje długie ciało na twardym krześle.

- Jak pan myśli, co teraz będzie? - zapytałem wyczerpany.

- Albo będą musieli pana puścić, albo oskarżyć. Jeśli pana oskarżą lub uznają, że mają poważne podstawy, by pana zatrzymać, może to trwać do piętnastu godzin. Potem mogą pana jeszcze przetrzymywać przez dwanaście godzin, ale tylko na wyraźny rozkaz komisarza.

Czyli czekała mnie cela. Wydawało mi się, że nie zniosę tego po raz kolejny.

- W tym czasie muszą albo zmusić pana do przyznania się - ciągnął prawnik - albo zdobyć więcej dowodów.

Podniosłem głowę.

- Nie zabiłem go. A jeśli nie ja, to kto i dlaczego?

- Ktokolwiek to zrobił, wybrał idealny moment.

Poruszyły mnie słowa Johnsona. Wiedziałem, że mówiąc „idealny moment”, miał na myśli śmierć Bena po wydarzeniu w galerii. Jednak ja interpretowałem to inaczej. A jeśli to miało jakiś związek z Jackiem? Ale jaki związek? Przecież co mógł mieć wspólnego Ben z moim przyjacielem albo innymi strażakami zmarłymi na raka. Żadnego związku z wyjątkiem... mnie.

Poczułem zimno. Tak, prowadziłem prywatne śledztwo w sprawie śmierci Jacka i z tego powodu ktoś próbował mnie zabić. Nie wyszło, więc spróbował zrobić mnie w śmierć Bena. Tylko kto mógłby posunąć się aż tak daleko? To szaleństwo. Gdybym powiedział to Johnsonowi, też doszedłby do takiego wniosku. Jednak policja pomyślałaby, że to paranoja. A gdyby jeszcze wpadł im w ręce raport mojego psychiatry sporządzony po śmierci Alison, mieliby prawdopodobnie dość dowodów, by mnie zatrzymać.

Jednak instynktownie wiedziałem, że mam rację. Biedny, głupi Ben! Krew gotowała mi się w żyłach. Teraz miałem na sumieniu również jego śmierć, a więc kolejny powód, by kontynuować, co zacząłem. Jedynie docierając do prawdy, mogłem nadać śmierci Bena jakieś znaczenie. Jednak czy mi na to pozwolą? Policja musiałaby mnie wypuścić, a nie wyglądało mi to na prawdopodobne.

I tu się myliłem.

Sierżant wrócił po półgodzinie, a wchodząc, zostawił drzwi otwarte.

- Dziękuję panu za współpracę - powiedział bez wyrazu. - Odezwiemy się do pana w razie konieczności uzyskania dodatkowych informacji. Może zechce pan złożyć oświadczenie jeszcze tu i teraz, zanim pan wyjdzie.

- Jestem wolny? - zapytałem, nie dowierzając. Nawet Johnson wyglądał na zaskoczonego.

- Tak, może pan iść.

Złożyłem oświadczenie, odrzuciłem policyjną propozycję odwiezienia mnie do domu i wsiadłem do samochodu prawnika.

- Nie wyglądało to wszystko za dobrze – przyznał otwarcie Johnson, jadąc przez opustoszałe ulice Portsmouth.

Patrzyłem się przez szybę w noc ogarniętą gęstą mgłą i analizowałem ostatnie wydarzenia. Dlaczego mnie puścili? Czyżby zdobyli nowe dowody oczyszczające moją osobę? A może śmierć Bena uznali jednak za naturalną. Nawet jeśli tak, nadal byłem przekonany, że ktoś go zamordował.

Wiedziałem, że policja w końcu odkryje, że Ben Harrow był bratem Alison. Czy wtedy wrócą do śledztwa? Możliwe, ale w tej chwili nie miałem co się nad tym zastanawiać. Moim zadaniem było ustalić, kto zabił Jacka. Niestety dziś straciłem okazję porozmawiania z Ianem, ale jutro znowu będzie na nocnej zmianie. Pomówię też z Sandy m Dittonem w muzeum marynistycznym.

Gdy przekręciłem klucz w zamku i wszedłem do holu, Faye już na mnie czekała. Dostrzegłem ulgę na jej twarzy,

ale nie biegła z otwartymi ramionami. Poszliśmy do kuchni, gdzie pokrótce jej wszystko opowiedziałem, ale byłem zbyt zmęczony, żeby wdawać się w szczegóły.

- Wiedziałaś, że robią wielki błąd. Któż mógłby po sądzić cię o morderstwo, Adam? Przecież to nonsens.

Czyżby? Chociaż nie chciałem być oskarżony o morderstwo, ton głosu Faye dał mi do myślenia. Zbyt wyraźnie przypominał język Simona. Może mi nie wybaczyła, że nie wniosłem oskarżenia przeciwko Benowi?

- Skąd znasz Grahama Johnsona? - zapytałem trochę później, wchodząc pod prysznic, aby zmyć z siebie smród pokoju przesłuchań.

- Był klientem, kiedy pracowałam dla agencji reklamowej w Portsmouth - odchrzyknęła. - Jest bardzo dobry.

- Dobrze, że tam był.

Wyszedłem spod prysznic i wycierałem się ręcznikiem, idąc przez sypialnię. Faye leżała w łóżku.

- Czy nie masz nic przeciwko, że pojedę jutro do pracy? - zapytała. - Mamy mnóstwo roboty.

- Nie musisz mnie niańczyć, kochanie. Potrafię sam o siebie dbać.

- Czasami zastanawiam się, czy na pewno - odparła chłodno, ale ja wytrzymałem jej natargowe spojrzenie. Pierwsza odwróciła wzrok.

Ciekawe, czy wróciłaby do pracy, gdybym nadal siedział zamknięty w areszcie.

- Muszę zostać w Londynie cały tydzień - dodała, gdy kładłem się do łóżka. - Zawiadomisz mnie, kiedy będzie pogrzeb twojego ojca, prawda? - Jej głos był bardzo stanowczy.

Nie widziałem żadnego sposobu, aby ją powstrzymać przed pójściem na ten pogrzeb i co dziwne, nic mnie to już nie obchodziło.

Leżałem na plecach i gapiłem się w sufit. Byłem zadowolony, że przez tydzień Faye nie będzie się kręciła w pobliżu. To dawało mi pole manewru, a poza tym nie chciałem jej narażać. Nie miałem wątpliwości, że kimkolwiek byli ci, których się obawiałem, spróbują ponownie. Jeśli zabili całkiem obcego faceta, aby mnie odstraszyć, to tym bardziej nie było żadnej gwarancji, że nie spróbują skrzywdzić Faye albo Jody.

Ta ostatnia myśl prawie wyrwała mnie z łóżka. Musiałem natychmiast powstrzymać Jody od rozpytywania w tej sprawie. Chciałem zadzwonić od razu, ale była trzecia nad ranem. Jeszcze tylko czwarta i wstaję, potem szósta i mogę do niej zadzwonić. Patrzyłem i patrzyłem na budzik, ale on nie chciał przez to iść szybciej - nawet jakby zwolnił.

Faye potrząsnęła mną, aby powiedzieć, że wychodzi. Nie wiedziałem, o której usnąłem, wydawało mi się, że najwyżej kilka minut temu. Zadzwoniłem do Jody, gdy tylko pora wydała mi się przyzwoita. Dochodziła ósma. Nikt nie odbierał. Zostawiłem wiadomość, błagając, aby nie pytała nikogo o ten pożar i zadzwoniła do mnie, jak tylko odślucha sekretarkę.

Wykąpałem się, ogoliłem i ubrałem. Próbowałem przywołać Boudiccę, ale nie przychodziła. Hałasowałem nawet jej miskami, jednak i to nie pomogło.

- Zostań więc na dworze - powiedziałem, zamykając drzwi.

Nie czułem zmęczenia. Czas uciekał. Dokąd mógł udać się Ben wczoraj przed śmiercią? Czy był sam? Dlaczego policja mnie uwolniła? Czy widziano kogoś innego wchodzącego do hotelu z Benem? Został zabity w swoim pokoju, a następnie ten pokój zdewastowano, tak by to wyglądało na moją zemstę. A może morderca szukał pamiętnika albo notatek na mój temat? Niewykluczone, że znalazł. To by wyjaśniało, dlaczego policja nie odkryła żadnego związku między mną a Alison. Tylko jeśli tak było, to dlaczego morderca schował obciążający mnie dowód?

Nie mogłem już łązić wkoło i czekać, aż coś się wydarzy. Zadzwoiłem do Brookfielda. A niech to! Ciągle był na kursie. Zostawiłem prośbę o pilny telefon. Bardzo potrzebowałem tych raportów pożarowych. Natychmiast!

W wiadomościach nie podali nic na temat śmierci Bena. Dziwne. Wiedziałem, że to, co miałem zamiar zrobić, było głupie, ale jakoś się tym nie martwiłem. Musiałem działać, nie dawać czasu moim tajemniczym nieznajomym.

Przed hotelem White Sails nie było ani policjantów strzegących wejścia, ani biało-niebieskiej taśmy oznaczającej miejsce zbrodni. Wyglądało, jakby nic się tam wczoraj nie zdarzyło. Pomyślałem, że pewnie policja już ma wszystkie potrzebne zdjęcia i dowody.

Przeszedłem przez ulicę i ruszyłem w stronę nabrzeża. Znalazłem kawiarenkę, z której miałem widok zarówno na wschód, jak i na zachód. Właścicielka pudła musiała

gdzieś z nim chodzić na spacer, a najlepszym miejscem była plaża wzdłuż morza.

Czekałem ponad godzinę, aż wreszcie zobaczyłem ją zbliżającą się od strony zamku Southsea. Wypadłem na zewnątrz, a potem już spacerowym krokiem, jakby nigdy nic szedłem jej naprzeciw. Trzymała swojego pieska na długiej rozwijanej smyczy, a on biegał od kamienia do kamienia, obwąchując je ze wszystkich stron. Zbliżyłem się do pudła.

- Hej, malutki! - zawołałem, kiedy podbiegł i zaczął obwąchiwać moje buty. Poglaskałem go i poklepałem. - Jak się wabi?

- Teaco - z wahaniem powiedziała starsza pani, przyglądając mi się uważnie.

- Cześć, Teaco, mały druhu. Pewnie czuje mojego kota. - Uśmiechnąłem się.

- Nienawidzi kotów.

- Jak to pies. Ale pewnie lubi pospacerować? - Spojrzałem wprost na staruszkę.

Poznała mnie, wyraz jej twarzy mówił to dobitnie.

- Wszystko w porządku, jestem z policji - powiedziałem, przekonująco machając jej przed oczami moim prawem jazdy. Schowałem je szybko, zanim zdążyła się zorientować, co to było. - Chciałem dwa słówka, jeśli można. Tylko dyskretnie, bardzo proszę.

Nigdy nie spodziewałem się po sobie, że jestem zdolny do takiego bezczelnego oszustwa.

- Pewnie byliście wczoraj w hotelu z powodu narkotyków. - Pokiwała głową ze zrozumieniem. - On wyglądał na narkomana.

Skinałem głowę. Biedny Ben!

- Próbuujemy utrzymać to w tajemnicy, na ile się da, żeby dopaść dilerów, którzy za tym stoją.

- Tak myślałam - powiedziała z triumfem. - Wspomniałam o panu tamtym policjantom, bo nie wiedziałam, kim pan jest.

- Oczywiście, słusznie pani postąpiła. Powiedziała im pani również o tym człowieku, którego pani widziała z tym chłopcem, Benem Harrowem, prawda?

To był blef, na który z premedytacją nigdy bym się nie odważył. A teraz jakoś samo wyszło. Zamarłem, wstrzymując oddech.

- Słyszałam, jak rozmawiali - potwierdziła.

Właśnie! Wypuścili mnie, bo jest inny podejrzany.

- O czym mówili?

- Zbyt cicho, żebym mogła usłyszeć. Rozmowa była króciutka.

Pewnie, że króciutka, bo chciał szybko zabić Bena i zniknąć!

- Czy widziała pani, jak ten mężczyzna wychodził?

- Nie bardzo, jedynie jego plecy. Widziałam z okna, jak wsiadał do granatowej furgonetki.

Ten sam kolor furgonetki, o którym wspomniała gospodyni Jody. W dniu pogrzebu Jacka i włamania!

- Jak wyglądał? Wysoki, niski, gruby, chudy?

- Dość wysoki, niewyraźnie widziałam.

Byłem rozczarowany, choć i tak nie spodziewałem się nawet tego.

- A może widziała go recepcjonistka? Z pewnością pani o tym rozmawiała.

- Tamci policjanci już mnie o to pytali - zirytowała się staruszka.

-

- Przepraszam panią, ale musimy wszystko sprawdzić dwa razy. Świadkowie nie zawsze od razu wszystko dobrze pamiętają. Czasami pozornie nieistotne szczegóły przypominają się dopiero po jakimś czasie.

- W kuchni na dole było jakieś zamieszanie. Ktoś zostawił odkręcony kran, zaczęło wszystko zalewać, więc recepcjonistka pobięła im pomóc.

Nieźle to zorganizowali. Podziękowałem, poszarpałem trochę psa i błagając w cichości ducha, by ta babcia nikomu nie wspomniała o naszej rozmowie, odszedłem. Dopiero idąc, podsumowałem fakty. A więc Ben został zabity przez wysokiego mężczyznę. Cholera, nic mi to nie dawało.

Zatrzymałem się przy kiosku i kupiłem gazetę. Na trzeciej stronie znalazłem krótki akapit dotyczący śmierci Bena. Otworzyłem szeroko oczy ze zdziwienia: „Policja nie traktuje sprawy jako podejrzaną”. Dlaczego nie? A co z tym wysokim mężczyzną? Dziennikarz wspominał o przedawkowaniu narkotyków. A więc właścicielka pudła miała rację, policjanci nie chcieli mi powiedzieć, jak zginął Ben, chociaż pytałem. Czyli nie było to śledztwo w sprawie morderstwa, tylko samobójstwa albo wypadku ze skutkiem śmiertelnym.

Już miałem zamknąć gazetę, kiedy moją uwagę zwrócił fragment na sąsiedniej stronie:

Jedna osoba zmarła wskutek pożaru w domu starców na wyspie Hayling. Pożar w domu opieki „Dora Widey” zauważyła obsługa w sobotę we wczesnych godzinach porannych. W akcji gaśniczej brały udział trzy jednostki

z Havant i Hayling Island. Strażakom udało się wypro-
wadzić dwudziestu jeden podopiecznych. Jeden, Sid
Bywocky, zmarł z powodu zezadzenia. Pożar wybuchł
przypuszczalnie w pokoju ofiary z powodu zwarcia insta-
lacji elektrycznej.

Dora Widey, a nie Dora Wilday!

Wyciągnąłem z kieszeni pocztówkę i przebiegłem
oczami po literach. No właśnie! Teraz mogłem ułożyć
zarówno Dora Widey, jak i Sid Bywocky. Czy Jack od-
wiedził tego starego człowieka? Ciarki przebiegły mi po
plecach. Nie miałem wątpliwości, że tak, ale nie wiedzia-
łem po co. Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać -
wycieczka na Hayling Island.

ROZDZIAŁ 10

Gdy jechałem przez most na wyspę Hayling, na wschód od Portsmouth morze było siwe i pomarszczone. Zastanawiałem się, czy powinienem zadzwonić do Rosie i powiedzieć, kim, a raczej czym była „Dora Wilday”. Uznałem jednak, że poczekam, aż sprawdzę trop Jacka.

Skręciłem na zwirowy podjazd wielkiego bielonego edwardiańskiego domu. Zdziwiłem się. Wszystko wyglądało jakby nigdy nic. Drzwi otworzyła mi młoda opiekunka przy kości, z masą włosów koloru marmolady i makijażem, jakby jej ktoś podbił oczy.

- Pożar był z tyłu, w nowym skrzydle - wyjaśniła, kiedy zapytałem ją o tamten wypadek. - Odgradziliśmy je. A przez to wszystko musieliśmy podwoić obsadę w pokojach. Powiem panu, że piątka staruszków, którą musieliśmy przemieścić, prawie się zbuntowała. To tylko do końca tygodnia, ale nie lubią najmniejszych zmian. Ale śmiercią pana Bywocky'ego niezbyt się zmartwili, nie przepadali za nim. Biedny człowiek!

- Właśnie o niego przyszedłem zapytać - wszedłem jej w słowo. - Mój przyjaciel niedawno kontaktował się

-

z waszym domem. Był strażakiem, nazywał się Jack Bartholomew i...

- Chodzi panu o tego, który niedawno zginął w pożarze?! - prawie wykrzyknęła.

- Znała go pani? - spytałem zdziwiony. Nie spodziewałem się natychmiastowej reakcji.

- Pamiętam go. Był taki miły i przychodził odwiedzać biednego pana Bywockego.

Serce zaczęło mi bić mocniej.

- Kiedy tu był ostatnio?

- Z miesiąc temu. Pan Bywocky kazał nam go więcej nie wpuszczać. Nie mogłam pojąć dlaczego, przecież nie miał żadnych innych gości. Poza jednym staruszkiem, który wyglądał jak włóczęga.

Co takiego Jack powiedział Bywockyemu, że ten nie chciał go więcej widzieć? I dlaczego staruszek wkrótce potem zginął w pożarze? Z pewnością to trochę za dużo jak na zbieg okoliczności. Musiałem być na właściwym tropie. Potrzebowałem informacji o Bywocky'm, i to natychmiast.

- Czy może mi pani coś o nim opowiedzieć?

- Był bardzo kapryśny. Mam nadzieję, że to nie brzmi niegrzecznie?

Zapewniłem ją, że nie, że doskonale rozumiem, jak trudni potrafią być starsi ludzie, i uśmiechnąłem się zachęcająco.

- Czy kiedykolwiek mówił coś o przeszłości? Czym się kiedyś zajmował?

- On w ogóle mało mówił - pokręciła głową - chyba że narzekał. Najlepiej niech pan porozmawia z przełożoną, może powie panu coś więcej.

-

Czyżby szczęście miało się do mnie uśmiechnąć? Miałem taką nadzieję.

Przeszliśmy kawałek korytarzem. Marmoladowłosa dziewczyna zapukała krótko i zaraz otworzyła drzwi.

- Pani Davey, ten pan chciałby porozmawiać o panu Bywockym.

Kobieta w średnim wieku z twarzą okrągłą jak księżyc popatrzyła gniewnie znad swojego biurka. Szybko podszedłem do przodu.

- Najmocniej przepraszam, że panią niepokoję. Musi być pani bardzo zajęta, ale moja przyjaciółka twierdzi, że jej nieżyjący mąż znał pana Bywockiego. Czy mogła by mi pani coś o nim opowiedzieć?

Jej twarz złagodniała.

- Myślałam, że jest pan dziennikarzem.

Kiwnęła głową na dziewczynę, że nie jest już potrzebna, a mnie wskazała krzesło naprzeciwko. Ubrana skromnie i praktycznie, w zwykłych półbutach wydała mi się sensowną kobietą. Miałem więc nadzieję, że i jej odpowiedzi będą sensowne.

- Musi być pani teraz ciężko - zacząłem. - Jak wybuchł ten pożar?

- Najwyraźniej przez jego elektryczny koc. Ludzie prowadzący dochodzenie zabrali to, co zostało do zbadania. Ale wszystko wskazuje na to, że nie wyłączył go przed snem i zrobiło się zwarcie.

Nie przyszłoby mi do głowy, że ktoś mógłby tu potrzebować elektrycznego koca. Było duszno i gorąco, w swojej skórzaney kurtce zaczynałem się pocić.

- Właściciele oczywiście szukają kozła ofiarnego - ciągnęła - jak zawsze. Równie dobrze mogłabym od razu

zrezygnować, tylko że nie mam zamiaru dać im tej satysfakcji.

- Czy był u pani ktoś z jego krewnych?
- Nie miał nikogo.
- Ale kogoś przecież wskazał jako najbliższą osobę?
- Swojego prawnika, Petera Goodmana z Goodmans & Hopper w Portsmouth. Oczywiście już ich zawiadomiłam.
- A czy nie zostało nic, co należało do pana Bywockyego? Żadnych zdjęć, pamiętnika?
- Nie. Pokój jest doszczętnie zniszczony.

Temu, kto zabił Jacka i Bena, a bez wątplenia także starszka, było to na rękę. Mnie nie.

- Może mogłaby mi pani coś opowiedzieć o panu Bywockym, co pomogłoby pani Bartholomew. Jej mąż odwiedzał go tuż przed śmiercią. Chciałaby się dowiedzieć dlaczego.

Pani Davey zdjęła okulary w złotej oprawce.

- Nie jestem pewna, czy jest o czym mówić. Nie spoufalał się za bardzo.

- Ta młoda dziewczyna, która mnie wprowadziła, twierdzi, że pan Bywocky nie chciał się więcej widzieć z panem Bartholomew. Pokłócili się?

- Nie wiem. Ale pan Bywocky był bardzo zdenerwowany po wizycie pana Bartholomew.

- Czy wie pani, dlaczego chciał się widzieć z Bywockym? Trochę to dla nas zagadkowe.

- W takim razie prawdopodobnie pozostanie to zagadką.
- Pokręciła głową. - Nie mam pojęcia i wątpię, żeby pan Bywocky zwierzył się komukolwiek.

Kolejny cholerny ślepy zaułek!

- Czym zajmował się pan Bywocky? - zapytałem, nie spodziewając się nawet odpowiedzi.

- Pracował w marynarce handlowej. Starszy bosman czy nawet oficer.

To mnie zaciękało. Natychmiast przywołałem w pamięci obraz Turnera. Dobrze to połączyłem - pożar na pokładzie statku, nie w stoczni. A to prowadziło mnie do portu handlowego.

- Dla kogo pracował? - Mógłbym namierzyć pożar przez jego firmę. Jednak sądząc po minie pani Davey, najwyraźniej nie chciała mi powiedzieć. - Chciałbym się z nimi skontaktować - dodałem szybko. - Możliwe, że pan Bartholomew był spokrewniony z panem Bywockym.

Wiedziałem, że nie zabrzmiało to nazbyt przekonująco.

- Przykro mi, ale to poufne informacje.

„On nie żyje! - miałem ochotę wrzasnąć jej w twarz. - W czym to może zaszkodzić?!”

- To ważne - nalegałem. - Pan Bartholomew niedawno zginął, a jego zrozpaczona żona...

- Będzie pan musiał skontaktować się z jego prawnikiem.

Wiedziałem, że nic więcej od niej nie wyciągnę, zwłaszcza że na biurku pani Davey zadzwonił telefon. Szybko podała mi rękę i zajęła się swoimi sprawami.

Zmierzałem z powrotem do Portsmouth. Spróbowałem jeszcze raz skontaktować się z Brookfieldem, ale powiedziano mi, że nadal jest na swoim kursie. Mimo to zostawiłem mu kolejną wiadomość, żeby pilnie do mnie zadzwonił. Jody też jeszcze milczała, odzywała się tylko

sekretarka. Szlag by to! Gdzie ona była? Czułem się, jakbym siedział na bombie zegarowej. Ile czasu minie, zanim policja znowu mnie zgarnie? Albo zanim tamci mnie uciszą? Jak Jacka, Bena, a teraz starego biednego Bywockego? Lista ofiar rosła. Wypadki zaczynały się mnożyć. To nie było urojone zagrożenie. Jack to wiedział, a teraz ja również.

Zaszedłem do kancelarii adwokackiej i spytałem, czy mogę porozmawiać z panem Goodmanem, ale powiedziano mi, że muszę się umówić. Zdenerwowany zrobiłem to od razu i wyznaczono mi wizytę na następny dzień rano. Nie liczyłem, że przekaże mi informacje, których potrzebowałem. Zdecydowałem się go pominąć - zadzwoniłem do Nigela Steepa w porcie handlowym i od razu do niego pojechałem.

- Cieszę się, że znalazłeś dla mnie trochę czasu. - Podałem mu rękę.

Steep uśmiechnął się, błyskając złotym zębem.

- Żaden problem, Adam. Przykro mi z powodu twojej wystawy. Musisz być załamany.

- Mam nadzieję, że to nie były obrazy, które chciałeś kupić?

- Nie, całe szczęście. Można je oczyścić?

- Tak myślę. Zostawiłem to Martinowi. Przychodzę, bo potrzebna mi twoja pomoc.

- Pewnie. O co chodzi?

- Niedawno zginął mój przyjaciel, Jack Bartholomew. Był strażakiem.

- Czytałem o tym. Tragedia. Nie wiedziałem, że go znałeś. Przykro mi.

-

- W hołdzie dla niego chciałbym namalować płonący statek - uśmiechnąłem się smutno - a myślę, że brał udział w gaszeniu pożaru na pokładzie. Tutaj albo w stoczni w 1994. Przypominasz sobie?

Nigel pokręcił głową.

- To musiało być nie za moich czasów. Jestem tu dopiero pięć lat. Straż pożarna nie może ci pomóc?

- Sprawdzają w archiwum, ale pomyślałem, że po prostu spytam ciebie.

- Spróbuj w agencji morskiej i straży przybrzeżnej - podpowiedział Steep. - Będą wiedzieli. Albo w komisji wypadków morskich. Mają bazę danych.

To podniosło mnie na duchu.

- Czy przyplływają tu jakieś statki z niebezpiecznymi ładunkami?

- Niektóre. Najniebezpieczniejsze, jakie mieliśmy, to olej, ale w razie pożaru można się go szybko pozbyć, wyrzucając za burtę. Podobnie z innymi chemikaliami.

Ciekawe, co powiedziałyby na to Jody. Wybrałyby zatrucie wody czy powietrza?

- Jak wyglądałaby procedura w razie pożaru?

- Pilot konsultuje się z kapitanem portu i decyduje, czy zabrać z niego statek i, jeśli to możliwe, umieścić go przy urządzeniach marynarki, żeby ugasić ogień.

- Więc jeśli chciałbym namalować płonący kontenerowiec w porcie, to nie byłoby realistyczne?

Steep zawahał się.

- Możliwe, ale mało prawdopodobne. Pożar na morzu byłby lepszy. Z holownikiem albo łodzią marynarki lejącą na niego strumienie wody. Strażacy prawdopodobnie

walczyliby z pożarem z bezpiecznej odległości. Najpierw upewnili się, że załoga opuściła statek.

- I byliby o tym głośno?

- O tak!

Nic takiego nie znalazłem w lokalnej prasie. Musiało chodzić o coś innego. Ale byłem święcie przekonany, że mam rację.

Po wyjściu odszukałem numer Komisji Badania Wypadków Morskich i zadzwoniłem. Jakaś kobieta powiedziała, że sprawdzi to dla mnie i prześle szczegóły e-mailem. W agencji i w straży przybrzeżnej także obiecali sprawdzić i kazali dzwonić jutro.

Zjadłem spóźniony lunch przy Hard, gdzie kłębili się turyści przy stalowym krążowniku HMS „Warrior”, a potem poszedłem do muzeum morskiego. Miałem nadzieję, że Sandy Ditton będzie pamiętał ten pożar z 1994.

- Nie mogę powiedzieć, żebym pamiętał - stwierdził, kiedy opowiedziałem mu moją historyjkę o obrazie.

Wyszliśmy razem z muzeum. Silny, wilgotny wiatr karbował morze, niosąc smak soli i zapach błota. HMS „Victory”, okręt flagowy Nelsona, stał za naszymi plecami, a jego flagi trzepotały na trzech wysokich masztach.

Ditton wyjął z kieszeni marynarki paczkę papierosów i poczęstował mnie. Odmówiłem. Nawet zanim się jeszcze odezwał, coś mnie zdenerwowało w tym chudym, rudawym facecie grubo po pięćdziesiątce. Może ten jego pewny siebie sposób bycia.

Nie zapomniałem, że pracował z Jackiem w 1994 i może być następną ofiarą raka. Tak samo jak Brookfield.

Ale właśnie - gdyby Ditton pamiętał, gdyby to było takie proste, Jack z pewnością by z nim porozmawiał i dotarł do prawdy, zanim zginął. Zaczynałem myśleć, że być może wszyscy powiązani z wypadkiem, który spowodował raka, nie żyją. Bywocky mógł być ostatnim ogniwem, a raczej przedostatnim - bo ciągle jeszcze pozostawałem ja.

Nagle mnie oświeciło. Skoro Jack nie mógł sobie sam przypomnieć pożaru, który wywołał raka, tylko musiał wypytywać takich ludzi, jak Bywocky, to widocznie wcale nie chodziło o jakąś spektakularną akcję. A więc mało prawdopodobne, aby koledzy Jacka coś pamiętali. Strata czasu.

- 1994... - zastanowił się Ditton. - W tym roku Tony Blair został liderem Partii Pracy.

- Tak? - odpowiedziałem bez zainteresowania, mając ochotę jak najszybciej zwiąć.

- Nie, żeby była taka różnica między jego ludźmi a torysami. Partia Pracy zwinęła torysom kompromis sprzed nosa. Startowałem raz do parlamentu przeciwko Billowi Bransbury. Był wtedy konserwatystą. Nie wybrali mnie, z czego się teraz cieszę, widząc, w jakim stanie jest partia. A stary Bransbury przechrzczył się politycznie i dobrze to sobie wykalkulował. Tony nagroził go ministerstwem środowiska.

Przerwałem mu w pół słowa, próbując ocalić coś z tej rozmowy.

- Czy prowadził pan kiedyś dziennik albo zbierał wy-
cinki?

- Tylko z mojej kariery politycznej. Może pan rzucić okiem.

-

- Nie, dziękuję - powiedziałem chyba zbyt szybko, bo Ditton popatrzył na mnie z wyrzutem.

- Chyba będę już wracał - palcem wskazującym i kciukiem odłamał palący się czubek papierosa, a peta wsadził z powrotem do paczki.

- Gdyby się coś panu przypomniało, proszę do mnie zadzwonić. - Wręczyłem mu wizytówkę.

- Z przyjemnością.

Nie mogłem się pozbyć wrażenia, że rozmowa z Dittonem była stratą czasu. Jeśli nawet kiedyś coś wiedział, to nie pamiętał, bo nie miało to związku z jego niedoszłą karierą polityczną. W sumie nie było w nim nic odrażającego, ale miałem jakiś niesmak. Wyczułem coś fałszywego. Może to przez rozmiar jego ego. Kiedy wyszedł z muzeum, sprawiał wrażenie, jakby był jego właścicielem, a nie tylko pracownikiem. Ale to przecież nie przestępstwo.

Wszystkie tropy prowadziły donikąd. Gdzie, do diabła, był Brookfield z tymi raportami?!

Nagle ktoś mnie zawołał na ulicy. Obejrzałem się i zobaczyłem machającą Jody. Z ulgą ruszyłem w jej kierunku.

- Gdzie ty byłaś? Cały dzień próbuję się z tobą skontaktować.

Uśmiech na jej twarzy szybko zastąpił niepokój.

- Co się stało?

- Nie możemy tutaj rozmawiać.

- Spotkajmy się w kafejce na Action Stations za pięć minut. Tylko to zostawię.

Dopiero teraz zobaczyłem w jej ręce dużą plastikową torbę pełną pąkli i innych skorupiaków. Włosy Jody kleiły

jej się do głowy. Tonęła w wielkiej czerwonej żeglarskiej kurtce sięgającej drobnej dziewczynie prawie kolan.

- OK.

Czekałem niecierpliwie na antresoli kawiarni wpatrzony w drzwi. Przyszła parę minut później, już bez kurtki i torby.

- Nie dostałaś mojej wiadomości?

- Byłam w dokach, niedaleko „Mary Rose”*. Zbierałam próbki. Co się stało?

Gdy wszystko jej opowiedziałem, wyraźnie się zmar-twiła.

- Jody, nie chcę, żebyś nikogo wypytywała. Ścisłej mówiąc, nie chcę, żebyś miała cokolwiek więcej z tym do czynienia.

Westchnęła głęboko. W ciszy, która między nami zapadła, słyszałem odgłosy automatów do gry stojących przy wejściu, głos lektora i warkot symulatora lotów helikopterem Lynx. Na chwilę Jody utkwiała wzrok w moich oczach. Chciała coś powiedzieć, ale jakby się rozmyśliła.

- Chcę, żebyś obiecała, że nic nie będziesz robić. To nie jest twój problem.

- Twój też nie, Adam - powiedziała cicho.

- Jestem to winien Jackowi. - Nie dodałem, że znałem Bena. Nie wspomniałem też słowem o Alison.

- Jack nie żyje. Nie dowie się. Jeśli przestaniesz teraz, będziesz bezpieczny.

* „Mary Rose” - XVI-wieczna karaka, okręt flagowy floty Henryka VIII. W 1525 r. zatonął podczas bitwy w cieśninie Solent pomiędzy wyspą Wight a Anglią. W 1982 r. wrak został wydobyty i umieszczony w suchym doku w Portsmouth. [Przyp. red.]

Gapilem się na nią. Coś mnie niepokoiło w jej oczach, głosie. Nie potrafiłem powiedzieć co, nie potrafiłem tego określić. Coś więcej niż troska? Brzmiało prawie jak ostrzeżenie, ale dlaczego miałyby mnie ostrzegać? Odwróciła wzrok i odsunęła krzesło.

- Muszę iść.

- Jody...

- Tak?

- Nie mogę przestać. Muszę brnąć dalej.

- Myślałam, że to właśnie powiesz - uśmiechnęła się smutno.

Patrzyłem, jak odchodzi.

W drodze do Carol Rushmere nie mogłem przestać myśleć o wyrazie twarzy Jody i tonie jej głosu. Ani zapamiętać, co mówiła. Nie obiecała, że przestanie wypytywać. Niby dlaczego miałyby nadal mi pomagać? To nie była jej walka. To nie miało z nią nic wspólnego. Jack był tylko sąsiadem. Czyżby?

Przekolebałem się po progach zwalniających ułożonych w poprzek jezdni. Był zimny i mokry grudniowy wieczór. Próbowałem pozbyć się uczucia, że Jody Piers miała z tym wszystkim więcej wspólnego, niż chciała, żebym wiedział. Coś więcej wspólnego z Jackiem? Nie podobały mi się te myśli i próbowałem je odgonić. Jednak nie odpuszczały, wsiąkały we mnie jak deszcz.

Carol Rushmere wręczyła mi reklamówkę z trzema albumami. Potrzebowałem tylko tego z 1994 roku, ale nie powiedziałem jej o tym.

Gdy dotarłem do domu, Boudicca już na mnie czekała. Pożerała swój obiad, jakbym ją głodził przez tydzień.

Zabrałem reklamówkę do salonu, nalałem sobie dużą whisky i wyciągnąłem trzy tomy w miękkiej oprawie.

Otworzyłem ten, który dotyczył okresu od 1990 do 1995. Na pierwszej stronie wycinki z gazet o pożarach: „Kobieta uratowana z płonącej kuchni”, „Dom zniszczony w płomieniach” i inne. Zdjęcia strażaków porzebieranych w babskie ciuchy na bożonarodzeniowym przyjęciu dla emerytów. Data 1990. Rozpoznałem Jacka w damskiej peruce, pończochach z podwiązkami i makijażem klauna na twarzy. Króciutki uśmiech przeleciał przez kąciki moich ust.

Kolejne strony dokumentowały przebieg strażackiej kariery Vica Rushmerea: pożar w starej zajezdni autobusowej w Eastney, zanim ją wyburzono, wypadek samochodowy, pożar magazynu, opuszczonego warsztatu samochodowego... 1994 i dalsze akcje - wybuch w bloku, powódź w małej wiosce Finchdean, imprezy dobroczynne, ćwiczenia na morzu z symulowanym pożarem na pokładzie statku w porcie i robotnik uwolniony z zawalonego wykopu. Potem seria wycinków z nocy 5 listopada: pożar w hotelu na wybrzeżu, płonący dom... Poleciałem za daleko, byłem już na 1995 roku.

Przekartkowałem pozostałe strony, ale nie znalazłem nic ciekawego. Może to ten symulowany pożar statku? Rok się zgadzał, ale miesiąc nie. To było w kwietniu, nie w lipcu. Może data na pocztówce, 4 lipca, nie miała nic wspólnego z właściwą datą pożaru i Jack użył jej tylko po to, żeby zwrócić moją uwagę na cytat?

Czy było coś na pokładzie tego statku, co mogło być przyczyną raka? Niemożliwe, przecież podczas ćwiczeń

nie używa się niebezpiecznych substancji, zresztą brała w nich udział marynarka wojenna, a nie handlowa. Bywoc-
ky nie byłby z tym powiązany.

Rozparłem się na kanapie, westchnąłem i pociągnąłem łyk whisky. Czułem się zrezygnowany. Wparadowała Boudicca, rzuciła mi krótkie spojrzenie, ale widząc, że jestem za bardzo niespokojny, żeby się na mnie położyć, wybrała dywan przed kominkiem. Nie lubiła skórzanych foteli - nie miałem wątpliwości, że Faye właśnie dlatego je kupiła.

Wróciły słowa Jody: „Jeśli przestaniesz teraz, będziesz bezpieczny”. Ciągnięcie tego śledztwa było oczywistym szaleństwem. Być może dadzą mi spokój, jeśli teraz się wycofam. Ale nie dali spokoju biednemu Benowi Lyde-
wayowi. Nic nie byłem winien tym strażakom, pewnie, mogłem zrezygnować! Jednak nie mogłem zawieść przy-
jaciela.

Telefon zadzwonił, aż podskoczyłem. To był Simon.

- Kremacja jest w czwartek o 12.30. Czuwanie w domu, Harriet się tym zajmuje. Przyjeżdżasz?

- Tak, będę. - Odłożyłem słuchawkę i prawie natych-
miast telefon znowu zadzwonił. Tym razem Brookfield.
W końcu!

- Adam, przykro mi, ale raporty z akcji, o które ci chodziło, są niedostępne. Zabrali je do wprowadzania danych, komputeryzują system.

„Cholernie dobrze się składa” - pomyślałem, próbując ukryć rozczarowanie. Oczywiście Brookfield nie powiedział prawdy, ale czy to on kłamał, czy ktoś nad nim, kto pociągał za sznurki? Jeśli tak, to sprawa była grubsza, niż sądziłem.

Gapiłem się na album. Ktoś zadawał sobie sporo trudu, żeby utrzymać tajemnicę, która kosztowała już życie niejednego człowieka. Wiedziałem, że nie mogę się poddać. Nawet gdybym miał zginąć, musiałem kontynuować. Byłem zaskoczony, że ta myśl raczej mnie nakręciła, niż przeraziła.

- Twoje zdrowie, Jack - powiedziałem cicho, mieszając resztę drinka.

Prawie słyszałem, jak mi odpowiada: „I twoje, Adam”.

ROZDZIAŁ 11

Było prawie wpół do dziewiątej rano, kiedy dotarłem do straży pożarnej.

- Ian zachorował. Lekarz przepisał mu środki antydepresyjne i dał dwa tygodnie zwolnienia - poinformował mnie chuderlawy Motcombe.

- A mógłby pan dać mi jego adres? - zapytałem z nadzieją. - Chciałbym z nim porozmawiać o Jacku.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł. On jest całkiem rozbity.

- Może rozmowa by mu pomogła? - zasugerowałem. Motcombe nie wydawał się przekonany.

- Co chce pan wiedzieć? Może ja albo któryś z chłopaków moglibyśmy pomóc?

Nie miałem mu za złe, że chronił kolegę. Wiedziałem od Jacka, że strażaków łączyła silna więź solidarności.

- Dlaczego Jack zamienił się z Ianem?

- Bez szczególnego powodu. Czasami tak robimy. Dlaczego chce pan wiedzieć?

Ile mogłem mu zdradzić? Nie chodziło nawet o brak zaufania, po prostu pomyślałem, że im mniej ludzi wie o moim śledztwie, tym lepiej dla nich.

- Po prostu próbuję nadać śmierci Jacka jakiś sens. Tak mi się zdaje.

Strażak spojrzął na mnie współczująco.

- Wiem, że panu ciężko. Ale to niepotrzebne, panie Adamie. Po prostu tak bywa.

- Oczywiście. - Kiwnąłem głową i po chwili odezwałem się z większym przekonaniem: - Jest jeszcze jeden powód mojej wizyty. Chodzi o mój obraz. Zastanawiam się, czy mógłby pan mnie oprowadzić po jednostce, żebym poczuł atmosferę miejsca.

- Nie ma sprawy.

Skończyliśmy obchód w garażu. Szerokie drzwi prowadzące na tylny dziedziniec były otwarte. Kolejna załoga szykowała się do przejścia zmiany. Mój wzrok przyciągnęła tablica po prawej stronie.

- Co to takiego?

- Rozkład zmian.

Podszedłem, żeby mu się przyjrzeć. Z małych haczyków zwisały kolorowe tabliczki. Na każdej wygrawerowano nazwisko strażaka.

- Na tablicy widać, który patrol ma służbę - wyjaśnił Motcombe. - Kolory są takie, jak nazwa patrolu. Czerwone tabliczki dla Czerwonego Patrolu, zielone dla Zielonego i tak dalej... W tej chwili wiszą czerwone tabliczki, bo służbę ma Czerwony Patrol, ale za chwilę przejmie ją Zielony.

- A co to znaczy? - Wskazałem na skróty u góry każdej z czterech kolumn.

- WD to wóz z drabiną, WW wóz z wodą, DO to drabina obrotowa, JZS jednostka do zadań specjalnych. Tabliczkę strażaka wieszają pod przydziałem.

-

- To gdzie wisiałaby tabliczka Jacka w dniu, kiedy zginął?

- Tu. - Motcombe pokazał miejsce na tablicy. - Był na wozie z drabiną. Jechałby z tyłu, w aparacie tlenowym.

- I nadal by tu była, po tym jak się zamienili z Ianem?

- Na początku tak, bo wszystko się wiesz według grafiku. Jack miał prowadzić wóz, a Ian jechać z tyłu w aparacie. Jak dobrze pamiętam, zamienili się, kiedy Dave przeczytał grafik. Wtedy zamieniono też tabliczki.

A więc gdyby ktoś się tu wśliznął i jeśli wiedział, gdzie szukać, mógł łatwo zobaczyć, że Jack był na tyle wozu, w aparacie - więc pierwszy wejdzie w pożar.

Podziękowałem Motcombemu i pojechałem na spotkanie z prawnikiem Bywocky'ego. Nic mi nie powiedział. Wyszedłem z jego biura wściekły, a jego oschły głos tłukł mi się po głowie: „To poufne, panie Greene”. Powtarzał to po każdym moim pytaniu. Niech go szlag! Miałem nadzieję, że wszyscy klienci pozwą go kiedyś jednocześnie.

Zadzwoiłem do Steve'a Langtona. Przekazałem mu, co powiedział Brookfield. Raporty straży nie są dostępne.

- Cholera - odpowiedział. - Mnie też odprawili z kwitkiem.

A więc to nie Brookfield kłamał. Chyba że skłamał też policji.

- Miałem do ciebie zadzwonić - ciągnął Steve.

- Masz coś dla mnie o śledztwie? - Czułem, że puls mi przyspiesza.

- Spotkajmy się w kawiarni „Wayside” za dziesięć minut. Wiesz, gdzie to jest?

-

Wiedziałem. Tylko pół mili od kancelarii.

Przyjechałem przed Langtonem, zamówiłem kawę i usiadłem przy stoliku jak najdalej od okna. Zacząłem myśleć. Może Steve chce mi coś powiedzieć o śmierci Bena, co nie ma nic wspólnego ze śmiercią Jacka? Czyżby policja znalazła nowe dowody i znów zacząłem ich interesować? A może opowiedziała im o mnie ta babcia z pudłem?

„Jeśli tak - próbowałem myśleć logicznie - Steve nie prosiłby mnie o spotkanie. Chyba że chciałby mnie ostrzec. Zaraz się okaże”.

Zaskoczyło mnie, jak bardzo był zmęczony i zmartwiony. Czoło przecinała mu głęboka bruzda, której nie było jeszcze tydzień temu, ramiona też miał bardziej przygarbione niż zazwyczaj. Jakby nagle ciężar pracy zaczął go przytłaczać. A zawsze wydawało się, że to jego żywioł.

- Za dużo pracujesz - powiedziałem, kiedy usiadł z kawą.

- Powiedz to komisarzowi!

Gapił się na mnie z taką miną, że czułem się nieswojo. Jakby chciał przejrzeć moje myśli.

- Nie mam nic wspólnego ze śmiercią Bena - mruknąłem cicho.

- Wiem.

Odetchnąłem z ulgą. Uwierzył mi.

- Jak on zginął, Steve? Inspektor Staples nie chciał mi powiedzieć. Myślał, że wiem najlepiej.

- Nie powinienem ci tego mówić. Przedawkowanie narkotyków.

- Tak napisali w gazecie.

- Tak, ale nie napisali, że on nie był uzależniony.

-

Chwilę zajęło, zanim dotarło do mnie, co mówił.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś mu je podał?

- Skąd! Wcale ci tego nie powiedziałem.

- Tak, nie powiedziałaś. - Kiwnąłem głową. Zastanawiałem się jednak, dlaczego dał mi to do zrozumienia.

- Był naszprycowany heroiną, ale nic nie wskazuje na to, żeby kiedykolwiek wcześniej ją brał.

- Nie najprzyjemniejszy sposób, żeby ze sobą skończyć, zatem to musiało być...

- Mógł zaopatrzyć się na ulicy. Nie robił tego wcześniej, nie wiedział, ile wziąć...

- Tak, jasne, a ja jestem maharadzą Kaszmiru. Czy oprócz mnie widziano jeszcze kogoś z Benem? Dokąd chodził tego ranka? Z kim się spotkał? Ta babcia z pudłem mówiła, że słyszała, jak z kimś rozmawia...

- Byłeś u niej? Na miłość boską, Adam! - wykrzyknął Langton.

- Myślę, że go zamordowali, żeby mnie zrobić. Posłuchaj, wypytywałem o śmierć Jacka...

- Przestań! Nie masz pojęcia, w co się pakujesz!

Steve przyglądał mi się uważnie. W cisy parnej kafejki dobiegły mnie tony znajomej piosenki świątecznej. Po chwili Steve ciężko westchnął. Zanim zaczął mówić, poruszył się na krześle i palcami przeczesał włosy.

- Nadal uważasz, że to włamanie do Jacka było podejrzane?

- Tak, ale to nie koniec - powiedziałem z entuzjazmem. - Byłem u strażaków i...

Langton uniósł rękę, żeby mnie powstrzymać.

- Cokolwiek odkryłeś, Adam, zapomnij o tym.

- Nie mogę tego zrobić - odparłem stanowczo.

-

- Możliwe, że zmienisz zdanie po tym, co ci powiem. Szef wezwał mnie dzisiaj rano na dywanik. Chciał wiedzieć wszystko na twój temat i co nas łączy.

Ciarki przeszły mi po plecach. Zaczynałem rozumieć, dlaczego Steve tak wyglądał.

- Odsunął mnie od obydwu spraw. Dokładnie za dwadzieścia minut jadę na krótkie zastępstwo do Basingstoke.

- Powiedział dlaczego? - spytałem zaniepokojony.

- Nie. Ale to i tak jasne, że ktoś chce się mnie pozbyć na jakiś czas. Ktokolwiek to jest, nie chce, żebym się z tobą zadawał ani żeby którykolwiek z nas wścibiał nos i wypytywał o śmierć Jacka.

Wiedziałem. Oto potwierdzenie, którego potrzebo-
wałem.

- W takim razie to nie był wypadek.

- Adam - próbował mnie przekonać Langton - ani ty, ani ja nie chcemy o tym wiedzieć. Mam żonę i troje dzieci na utrzymaniu.

- A mnie to moja żona ma na utrzymaniu. Nie zostawię tego. Nie teraz.

- Musisz. Jeśli mnie odsuwają, to tylko może oznaczać jedno. Ktoś inny się tym zajmuje: wydział do walki z przestępczością zorganizowaną, specjalny, MI-5? Wybieraj.

- MI-5? Może jeszcze James Bond?

Mimo że oprócz nas nikogo nie było w kawiarni, a muzyka grała tak głośno, że rozmowa w niej tonęła, Steve nachylił się do mnie i ściszył głos.

- Bo czymkolwiek zajmował się Jack, to sięga wyżej.

- Masz na myśli skandal z kimś wysoko postawionym? - Dlaczego od razu przyszedł mi do głowy William Bransbury?

- Albo to, albo jakaś akcja na wysokim szczeblu powiązana z tajemnicą państwową. Może chodzić o terrorizm, międzynarodowe oszustwa, narkotyki...

- Ludzie nie żyją, Steve - westchnąłem cicho.

- A ty możesz być następny w kolejce, jak nie będziesz uważał - warknął.

- Chyba nie sugerujesz, że jedna z tych agencji rządowych mogłaby mnie zabić! - powiedziałem z niedowierzaniem.

- A dlaczego by nie? Już się to zdarzało. Mogło tak być z Jackiem. - Langton oparł się z powrotem o krzesło.

Zastanawiałem się przez chwilę.

- Czy możesz sprawdzić, kto się tym zajmuje?

- Nie, do cholery jasnej, nie mogę! - krzyknął Steve. - Jedź na wakacje, Adam. Pożegluj, zapomnij o tym - dodał ciszej.

Tego zrobić nie mogłem. Chyba zauważył determinację na mojej twarzy, bo skrzywił się i powiedział:

- Nie wiedziałem, że jesteś tak cholernie uparty.

- Ktoś musi za to zapłacić - odparłem chyba bardziej przerażony niż zdeterminowany.

- I to możesz być ty.

- Jedź do Basingstoke, Steve.

Zostałem sam.

Wróciłem do domu i poszedłem prosto do komputera. Czekając, aż się załaduje, rozglądałem się po mojej pracowni. Płótna, pędzle, szmaty, palety i wiaderka z farbami, wszystko leżało tu jak zawsze, ale nie było takie samo. Nic już nie było takie samo. A mimo to, mimo że byłem śmiertelnie przerażony, nie chciałem, by moje życie wyglądało jak jeszcze niespełna miesiąc temu. Z jednym wyjątkiem - chciałbym, aby Jack ciągle żył.

Obserwowałem, jak program antyspamowy przelatuje przez moją pocztę. Po tej akcji została jedna wiadomość z pięćdziesięciu pięciu, które przyszły. Ta, na którą czekałem. Niestety nie zawierała potrzebnych mi informacji. Komisja Badania Wypadków Morskich nie miała zgłoszonego żadnego pożaru statku w 1994 roku w Portsmouth czy okolicach ani nigdzie w cieśninie Solent. Poczuję straszne rozczarowanie. Tak bardzo byłem przekonany, że mam rację. Zadzwoiłem do agencji morskiej i straży przybrzeżnej. Powiedzieli to samo.

Ślepy zaułek. Jeśli więc to nie na statku, pożar musiał być gdzieś, gdzie Bywocky mieszkał, pracował albo przebywał. Może ten hotel?

Wyciągnąłem album Vica Rushmerea. Przeczytałem jeszcze raz raport z pożaru hotelu, ale nic ciekawego tam nie znalazłem. Zresztą co takiego mogło być w hotelu, co spowodowało raka?

„Może Sam Frensham mnie oświeci? - pomyślałem z cieniem nadziei. - Tylko skoro ani Jack, ani Des Brookfield, ani Sandy Ditton nie mogli sobie przypomnieć, to jaka szansa, że z nim będzie inaczej?”

Rosie powiedziała mi mniej więcej, gdzie znajduje się hotel Sama - zaraz za Stow on the Wold, w Cotswolds.

Resztę wyszukałem w Internecie i umówiłem się na popołudnie. Na motorze będę tam zaledwie w półtorej godziny.

Właśnie minęła trzecia, kiedy wjeżdżałem na zwirowy podjazd starej rezydencji. Wyglądała na tyle wiekowo, że mogłaby gościć jeszcze króla Karola I. Sam wprowadził mnie do biura zaraz za główną recepcją. Okazał się energicznym łysiejącym mężczyzną po pięćdziesiątce z błyszczącymi niebieskimi oczami. Od razu go polubiłem.

- Powiedział pan przez telefon, że chodzi o Jacka Bartholomew. - Wskazał mi krzesło przy nowoczesnym biurku, które mocno kontrastowało z resztą hotelu.

Zauważyłem, że na biurku stał komputer najnowszej klasy.

- Jack był dobrym człowiekiem, jednym z najlepszych. - Niebieskie oczy Frenshama na chwilę się zasmuciły. - Pamiętam, jak przychodził na służbę jako praktykant. Był trochę starszy niż inni, bo służył w marynarce. Dołączył przed trzydziestką. Zdaje się, że ja miałem wtedy prawie czterdzieści. Było między nami około dziesięć lat różnicy. Dobry strażak. Uwielbiał swoją pracę. Nigdy nie zależało mu na awansie, chociaż był wystarczająco dobry i inteligentny, żeby go dostać. Ale siedzenie za biurkiem to nie dla każdego. On był człowiekiem czynu, takim prawdziwym. - Uśmiechnął się do wspomnień. Potem potrząsnął głową. - Cholernie szkoda! Pewnie nie złapali tych małych drani, co włożyli butlę z gazem do budynku?

- To nie były dzieciaki i to nie był wypadek.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

- Myślę, że ktoś umieścił butlę z gazem w budynku specjalnie - ciągnąłem - żeby zabić Jacka.

Sam wlepił we mnie wzrok, jakbym zwariował.

- To długa historia. - Nie byłem pewien, czy go wtajemniczać, a jeśli już, to do jakiego stopnia. Podobała mi się jego bezpośredniość, jego nieudawane zmartwienie, miłe słowa o Jacku i gościnność niezwykła u hotelarza w tak ruchliwej porze roku.

- Jeśli jest cokolwiek, w czym mógłbym pomóc, proszę mówić - powiedział Frensham. - Jack był moim kumplem. Zatrzymali się tu kilka razy z Rosie.

Opowiedziałem mu tyle, na ile się odważyłem, pomijając ciężarówkę, która omal mnie nie przejechała, śmierć Bena i moje aresztowanie. Od czasu do czasu Sam patrzył z niedowierzaniem lub gniewem. Kilka razy opadł na oparcie krzesła i nerwowo przeczesał włosy.

W końcu westchnął.

- Więc wydaje się panu, że raka wywołało coś szkodliwego z pożaru, w którym braliśmy udział w 1994?

Przytaknąłem.

- OK, rozpracujmy to. - Wstał i zaczął chodzić po biurze. - Pięciu mężczyzn nie żyje, co oznaczałoby, że do pożaru wyjechały dwa wozy.

- Dwa?

- Powiedzmy, że wozem z wodą jechali oficer dowodzący, kierowca operator aparatów tlenowych i dwóch z maskami tlenowymi. Na przykład Vic i Scott. Drugi wóz, z drabiną, miałby kierowcę i prawdopodobnie trzech strażaków z aparatami. To by byli Duggie, Tony i Jack. Tylko ci z maskami weszliby w pożar, co daje pięciu. Operator aparatów tlenowych zostaje na zewnątrz, kierowcy obsługują pompy, a oficer dowodzący przeważnie biega w kółko jak opętany. - Uśmiechnął się na chwilę.

-

- W takim razie nikt więcej nie byłby narażony na niebezpieczeństwo?

- Nie... Chyba że w pierwszym wozie jechałby jeszcze jeden strażak z maską tlenową.

Sam wyraźnie się zamyślił. Zdjął fotografię ze ściany za biurkiem.

- Zostałem ja, Dave Caton, Sandy Ditton, Des Brookfield, Colin Woodhall, Brian Clackton i Stuart Hallington.

- I według Brookfielda jeszcze dwóch strażaków, którzy byli na zastępstwie.

- Brookfield wie o raku?

- Nie.

- I mówi pan, że nie dał panu obejrzeć raportów z pożarów?

- Nie, nie dał. A pan pamięta pożar na pokładzie statku w 1994?

- Niech pomyślę... Odszedłem z brygady w 1996, kupiłem mój pierwszy dom, który potem sprzedałem w 2000, żeby kupić ten. Najlepsze, co mogłem zrobić. Więc byłoby to dwa lata przed moim odejściem. Miałem wtedy czterdzieści cztery lata. Zrezygnowałem - wyjaśnił - chociaż mogłem zostać do emerytury, do pięćdziesiątego piątego roku, ale nie chciałem. Moja matka zmarła, zostawiając mi dom i trochę pieniędzy. Pomyśleliśmy z Helen, że zajmiemy się tym biznesem. Zawsze tego chciałem. Przepraszam, że truję, ale to mi pomaga odświeżyć pamięć. - Jeszcze raz przyjrzał się zdjęciu. - 1994? Zastanowiłem się na pogrzebie Jacka, ilu już z nas, ze starego zespołu, nie ma. Lucky Brian żyje. Jeszcze... - odwrócił się do mnie. - Nie, nie przypominam sobie żadnego

-

pożaru, gdzie mogły być chemikalia. Tym bardziej na pokładzie statku. Utkwiłoby mi to w pamięci.

Przeszyło mnie rozczarowanie. Czułem się, jakby Sam był moją ostatnią deską ratunku, a teraz wszystko przeciekało przez palce.

- Sandy Ditton powiedział, że w tym roku Tony Blair został liderem Partii Pracy - zauważyłem raczej gorzko i cynicznie.

- Ach tak! Sandy zawsze, w przeciwieństwie do mnie, interesował się polityką. Bardziej niż pożarnictwem. Startował raz do parlamentu. 1994... Tony Blair... Niech pan poczeka.

Błysk w jego oku podniósł mnie na duchu. Zadzwoił jednak telefon i musiałem pohamować swoją niecierpliwość.

W czasie gdy Frensham załatwiał sprawę bielizny pościelowej, podszedłem do fotografii. Były bardzo podobne do tych Jacka. Zrobiono je podczas ćwiczeń, na imprezach dobroczynnych, wizytach w szkołach. Było zdjęcie brygady z mężczyznami pozującymi na tle wozu strażackiego. Dlaczego brakowało jednej z fotografii Jacka? Czy mogła być wskazówką do dalszego śledztwa?

- Przepraszam. - Frensham skończył rozmawiać przez telefon. - Na czym to skończyliśmy? A tak, oczywiście. Był jeden pożar na pokładzie statku. Ale statek nie był na morzu, tylko zacumowany w porcie. Umknęło mi to, dopóki nie wspomniał pan o Tonym Blairze.

Nie miałem pojęcia, co to mogło zmienić, ale skoro Sam Frensham chciał mi pomóc... Czy w końcu zanosilo się na przełom? Szybko wróciłem na swoje miejsce.

- Ja obsługiwałem pompę - ciągnął z widoczną ulgą. - Jeśli to ten pożar, to były dwie pompy. Ja byłem na drugiej, z Jackiem i Tonym. Oni weszli w aparatach tlenowych, ale pierwsza pompa już prawie to zgasiała.

Oparłem się o biurko.

- Pamięta pan, co się paliło?

Frensham wykrzywił twarz w skupieniu, w końcu pokręcił głową.

- Nie, przykro mi, nie wchodziłem na pokład. Dzięki Bogu - dodał z ulgą. - Ani Jack, ani żaden z pozostałych nigdy o tym nie mówili. Zwykły pożar, szybko zgaszony. Ale pamiętam, że statek nie był załadowany. Myśli pan, że to mogło być to?

- Czy pamięta pan może nazwę statku albo datę? - spytałem bez większej nadziei. Byłem ciekawy, czy potwierdzi, że to się stało 4 lipca.

- Nie - potrząsnął głową Sam. - Przypomniałem sobie to tylko dlatego, że wspomniał pan o Blairze i polityce. Widziałem wtedy w porcie tego parlamentarzystę, Williama Bransburyego. No wie pan, posła z okręgu Portsmouth East, tego torysa, który przeszedł do Partii Pracy. Pamiętam, bo to był wtedy mój okręg i głosowałem na niego, a nie na Dittona. - Uśmiechnął się.

- Co Bransbury tam robił? - Wróciły do mnie słowa Steve'a. Ktoś go ochraniał?

- Nie wiem.

- To było w dzień?

- Tak, na pewno.

- Gorąco czy chłodno? Lato czy zima?

Sam zastanowił się przez moment.

- Lato.

-

A więc to mógł być 4 lipca.

- Przykro mi, nie mogę panu więcej pomóc - dodał.

- Pomógł mi pan już wystarczająco dużo. Da mi pan znać, jak sobie przypomni coś więcej?

Frensham uśmiechnął się przyjaźnie.

- Jeśli mogę w ten sposób przysłużyć się pamięci Jacka albo pomóc komuś z pozostałych chłopaków, jestem do pana dyspozycji. Da mi pan znać, jak idzie? Proszę przyjechać z żoną na kilka dni, na koszt firmy.

- To bardzo miłe z pana strony - powiedziałem, ścisnąc mu rękę.

Wolałbym jednak przyjechać do niego z Jody. Wyzwalała we mnie więcej niż pożądanie, ale tym razem ta tęsknota niosła jakiś niepokój. Coś mi nie pasowało po naszej ostatniej rozmowie w dokach. Ale nie umiałem powiedzieć co.

Jak tylko dotarłem do domu, poszukałem Bransburyego w Internecie. Urodzony w 1958, rówieśnik Simona. Uczył się w miejscowej szkole średniej, potem zrobił dyplom na Oxfordzie. Czy Simon go znał? Możliwe. Musieli studiować w tym samym czasie, choć może niekoniecznie w jednej grupie. Żonaty, dwoje dzieci, mieszka pod Portsmouth. Zainteresowania: piłka nożna, tenis i - niespodzianka - środowisko naturalne! Nie było nic na temat jego konsultacji, ale mogłem mu wysłać e-mail przez stronę Izby Gmin. Zdecydowałem, że najpierw zadzwonię i zapytam o jego biuro.

Za trzecim razem udało mi się połączyć z sekretarzem. Spytałem, czy mógłby sprawdzić wyjazdy pana Bransbury w 1994 połączone z wizytą w porcie promowym. Sekretarz zaraz zrobił się bardzo oficjalny i kazał

mi przedstawić prośbę na piśmie łącznie z wyjaśnieniem, w jakim celu potrzebna mi taka informacja. Wysłałem mu e-maila, zastanawiając się, czy kiedykolwiek otrzymam odpowiedź.

Musiały być jakieś zapiski poczynań parlamentarzystów, ale mimo że przeczesałem Internet, nie znalazłem nic. Jedynie jakieś migawki z wizyt, odkąd został ministrem w 2005, szczegółowe przemówienia, kilka zdjęć. Ale nic z okresu, kiedy był posłem. Wtedy przypomniało mi się, co powiedział Ditton. W 1994 Bransbury był konserwatystą. Znalazłem artykuły na temat jego przejścia na drugą stronę w 1997.

Jeśli będę potrzebował, może mi pomóc miejscowa komórka Partii Konserwatywnej. Ale był jeszcze ktoś, kogo mogłem spytać wcześniej.

Zadzwoiłem do Nigela Steepa. Miałem nadzieję, że jest jeszcze u siebie w biurze. Zastałem go, choć minęła już szósta.

- Chciałem cię prosić o dwie przysługi - powiedziałem. - Czy mógłbyś się dowiedzieć, jakie linie żeglugowe obsługiwały port w lecie 1994?

- Oczywiście. A ta druga?

- William Bransbury, minister, który odwiedzał port w lipcu 1994. Sprawdziłbyś dla mnie, kiedy dokładnie tam był i po co?

- To może nie być proste. Odezwę się jutro.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, po raz chyba tysięczny wziąłem do ręki pocztówkę od Jacka. Przypomniał mi się cytat z Wydawnictwa HYBRYDY:

Jego usta pełne są kłamstw. On sieje śmierć wśród niewinnych.

Czyli Jack odkrył, kim była osoba, która umieściła coś niebezpiecznego na łodzi. Czyżby Bransbury? Jeszcze raz przeczytałem pocztówkę:

Adam, chcę, żebyś zaopiekował się „Rosie”. Jesteś wybitnym artystą i najlepszym przyjacielem. Szczęśliwego Żeglowania!

Wszystkiego dobrego, Jack
4 lipca 1994

Nie mogłem ułożyć nazwiska Bransbury ego z podkreślonych liter na pocztówce. Brakowało „u”, drugiego „b” oraz „r”. Przypiąłem ją z powrotem na tablicę nad biurkiem i wyszedłem z pracowni. Od razu wiedziałem, że coś jest nie tak. Wytężyłem słuch, ale nie usłyszałem nic poza delikatnym szumem bojlera. Mimo ciszy wiedziałem, że ktoś jest w domu. W głowie natychmiast przemknęła mi rozmowa ze Steve'm. Wysłali go, żeby mnie ostrzegł, a ja zignorowałem ostrzeżenie! Ktoś podsłuchiwał naszą rozmowę? Langton nic nie wskórał, to teraz ostrzegą mnie trochę dobitniej. Inni ginęli przez tę tajemnicę. Teraz moja kolej.

Ciarki przeszły mi po plecach. Ścisnęło mnie w piersi i nie mogłem oddychać. Ręce zaczęły mi się trząść.

Tchórz we mnie mówił: „Uciekaj!”. Nie mogłem. Podkradłem się przez kuchnię do holu. Pusto. Coś za mną skrzypnęło. Ktoś tam był. Chciałem się obrócić, gdy... poczułem uderzenie w skroń.

Kiedy odzyskałem przytomność, było ciemno, choć oko wykol. Boudicca miauczała jak głupia i ocierała się o moje ramię. Spróbowałem się poruszyć, ale tępy ból przeszył mi głowę. Chyba znowu zemdlałem. Gdy ocknąłem się ponownie, głowa nadal bolała, ale już nie tak wściekle. Powoli, uważając przy każdym ruchu, podparłem się. Oswajając ból, zacząłem sobie uzmystawiać, gdzie byłem. W holu.

Zadzwonił telefon. Nie odebrałem. Ktokolwiek mnie napadł, dlaczego zostawił mnie przy życiu? Mogli mnie tak łatwo wykończyć, upozorować wypadek, na przykład pożar domu albo że wypięłem kilka głębszych i spadłem ze schodów.

Krzywiąc się z bólu i trzymając za głowę, dotarłem jakoś do kuchni, choć prawie po omacku. Tam włączyłem światło i spojrzałem na rękę, którą przed chwilą przytrzymałem swoją pulsującą czaszkę - była we krwi. Spłukałem dłoni pod kranem, nalałem sobie szklankę wody i łąpczywie wypięłem. Miałem zawroty głowy i mdłości. Wiedziałem, że powinienem pojechać do szpitala, ale nie chciałem. Poza tym w tym stanie nie dałbym rady wsiąść na motor.

Chwiejnym krokiem powlokłem się z powrotem do salonu, upadłem na kanapę i znowu odleciałem. Po odzyskaniu przytomności zdołałem dotrzeć do toalety na dole, zanim zrobiło mi się całkiem niedobrze. A potem już bez sił opadłem na kanapę w salonie. Jakby chcieliby mnie dorwać, to proszę bardzo. Nie wyobrażałem sobie nic gorszego od bólu głowy, jaki wwiercał mi się w mózg.

Otworzyłem oczy chyba nad ranem. Przez okno od strony zatoki wpadało lekkie światło. Podniosłem się na

łokciu. Z głową było lepiej i widziałem pojedynczo, nie podwójnie. Czuję, jakbym miał usta wypchane papierem ściernym, a ręka otarła się o zarośnięty podbródek. Kolejny dzień, a ja żywy i w jednym kawałku!

Wdrapałem się po schodach na górę i ostrożnie ogoliłem. Patrzyłem na wynędzniałą twarz w lustrze, z trudem rozpoznając samego siebie. Potem stałem pod prysznicem, aż poczułem ponownie, że jestem człowiekiem.

- Kto to był, Boudicca?

Kotka miauknęła na mnie, jakby chciała powiedzieć, że się nie przedstawił. Owinięta własnym ogonem położyła głowę na miękkiej kołdrze.

Kiedy z wysiłkiem przygotowałem sobie i zjadłem śniadanie, mózg zaczął mi już funkcjonować. Jednak mimo że go wycęzałem, nie mogłem znaleźć powodu, dla którego pozostawili mnie przy życiu. Może to zwyczajny fuks? Może mam grubszą czaszkę, niż zakładał napastnik?

Przeszedłem do pracowni. Już z daleka widziałem, że drzwi są otwarte. Ostrożnie pchnąłem je palcami. Serce waliło mi jak młotem. Oczekiwałem następnego ataku albo widoku intruza.

Drzwi powoli się otworzyły, wszedłem do środka. Nie było nikogo, tylko chaos. Dobrnąłem przez porozwalane i poniszczone rzeczy do biurka i wlepiłem wzrok w tablicę na notatki. Zdjęcie Jacka, pocztówka i cytat z Nowego Testamentu zniknęły. Ktoś zacierał ślady.

ROZDZIAŁ 12

Mimo bólu głowy udało mi się jakoś dotrzeć do Rosie. Nie widziałem, żeby ktoś mnie śledził, ale tego dnia w ogóle mało co widziałem. Jeśli Steve miał rację i chodziło o MI-5 albo wydział specjalny, i tak nie zauważyłbym swojego ogona - tak samo jak nie słyszałem ani nie widziałem, kiedy ktoś wszedł do domu. Byli na to za dobrze wyszkoleni. Wciąż myślałem o tym, czy chcieli mnie tylko postraszyć i czy spróbują ponownie, gdy się zorientują, że nadal żyję i kontynuuję swoje śledztwo? Chyba tak.

Kiedy Rosie otworzyła drzwi, wyglądała na tak zrozpaczoną, że jeszcze mocniej postanowiłem znaleźć tych sukisynów, którzy zabili Jacka. Objąłem ją mocno.

- Przyszła Sally - powiedziała.

W pierwszej chwili myślałem, że chodzi jej o córkę, ale spowolniony mózg przypomniał mi, że córka Rosie nazywała się Sarah, a nie Sally. Wszedłem do salonu. Na jednym z krzeseł siedziała koleżanka Jacka ze straży pożarnej. Ucieszyłem się na jej widok. Może ona będzie mogła mi pomóc.

- Przyszedłem spytać, czy masz telefon i adres Iana - zwróciłem się do Rosie.

- Nie mam. Przykro mi.

- Ale ja mam - zaoferowała się Sally. Podziękowałem uśmiechem, na to właśnie liczyłem. - Do czego ci on potrzebny? - spytała, kiedy wstukiwiałem numer do swojej komórki.

- Chcę z nim porozmawiać o Jacku.

Zamyśliła się na chwilę i wzruszyła ramionami.

- Może mu to pomoże.

- Wiesz, gdzie mieszka?

- Na St. James Road w Locks Heath, ale nie pytaj o numer. Wiem tylko, który to dom. Wyblakły żółty bungalow. Biedny Ian! Czuje się winny. - Rzuciła szybkie spojrzenie na Rosie.

- To nie była jego wina. Po prostu stało się.

Nie skomentowałem.

- Jaki Jack był tego dnia? - zapytałem Sally. - Nie zachowywał się inaczej niż zwykle?

- Wydawał się może bardziej cichy.

- Byłaś tam, jak zamienił się z Ianem?

- Nie. Robiłam kawę Brookfieldowi.

A więc tego dnia opuścił wyżyny centrali! Nic o tym nie wspomniał... Wtedy przyszło mi do głowy coś strasznego - on nie tylko widział tabliczki strażaków, ale doskonale wiedział, do czego służą. Mógł też kłamać o tych brakujących raportach z pożarów. Jeśli chciał wyreżyserować wypadek Jacka, zrobiłby to bez trudu! Ale nie, to było niedorzeczne. Nie mogłem w to uwierzyć. A jeśli tylko przekazywał informacje komuś, kto miał mniej skrupułów?

- Sam Des Brookfield pofatygował się do was? - rzuciłem jakby nigdy nic. - Czego chciał?

- Przyszedł zapytać o coś dowódcę, ale nie wiem o co.

Kiedy tylko wyszedłem od Rosie, od razu zadzwoniłem pod numer Iana. Odebrała jego żona.

- Wyszedł z samego rana na spacer i nie wrócił. Nie wiem, kiedy będzie - powiedziała, kiedy wyjaśniłem, kim jestem i jaką mam sprawę do męża. W jej głosie wyczułem napięcie, w tle płakało dziecko.

- Spróbuję jeszcze raz później.

Wróciłem do domu, przeczesując wzrokiem ulice. Wypatrywałem kogoś, kto szwenda się bez celu albo siedzi w zaparkowanym samochodzie. Nikogo. Otworzyłem drzwi, uważnie nasłuchując. Nic, tylko dreptanie Boudicci na schodach, kiedy szła mnie przywitać.

W tym samym momencie zadzwoniła komórka. Aż podskoczyłem. To był Nigel Steep.

- Nie wiadomo, co minister robił w porcie, Adam, ale mam nazwy linii żeglugowych.

Większość, które wyliczył, znałem. Były miejscowe i głównie importowały owoce. Tylko jedna nic mi nie mówiła - Greys Shipping, Londyn.

Odpaliłem laptop, podłączyłem się do Internetu i zacząłem jej szukać. Prywatna, zaczęła handel w latach sześćdziesiątych od kilku małych kabotażowców i barek zaopatrujących Portsmouth i wyspę Wight. Od tamtej pory rozwinęli się do małych masowców, a flota ich statków kontenerowych urosła do czterdziestu sześciu. Przewoziły zboże, nawozy, stal i minerały. Ale przecież z zewnątrz każdy kontener wygląda tak samo! Niektóre

mogły więc zawierać niebezpieczne ładunki, materiały wybuchowe czy broń.

Zadzwoiłem do Greys i sprzedałem im historyjkę, że Sid Bywocky był moim wujkiem. Zupełnie jak na filmach trafiłem od pierwszego strzału. Udało mi się umówić z kimś z kadr na piątek. Idealnie - jutro czwartek i pogrzeb ojca, więc zostanę w Londynie na noc, choć oczywiście nie w domu starego. Wspomnienia straszłyby mnie jak duchy. Postanowiłem też, że nic nie powiem Faye.

Zostawiłem stertę jedzenia dla kota, którą pewnie pokłnie przed wieczorem.

- Jak będziesz głodna, idź do sąsiadów - powiedziałem Boudicce, która patrzyła na mnie, zupełnie jakby rozumiała.

Wrzuciłem trochę ciuchów i przyborów toaletowych do mojej żeglarskiej torby, zabrałem laptop i wsiałem na motor. Jadąc na wyspę Hayling, co chwilę sprawdzałem, czy nikt mnie nie śledzi. Zdawało się, że nikt. Tak dotarłem do swojej łodzi zacumowanej na przystani na północnym krańcu wyspy.

Zadzwoiłem jeszcze raz do Iana, ale nadal nie wrócił do domu. Żona była bliska obłędu. Nic dziwnego, sam zaczynałem się martwić. Może ktoś go gdzieś zwabił, żeby zamknąć mu usta? Może zniknął, bo naprawdę był współwinny śmierci Jacka? Czy dlatego był taki zdruzgotany? Chodziło o coś więcej niż ból? Ktoś mu zapłacił, żeby się zamienił z Jackiem tej fatalnej środy, a teraz Ian zrozumiał, za co tak właściwie wziął pieniądze? Jeśli to prawda, nie dawałem jego biednej żonie szansy, że go jeszcze zobaczy.

Ledwie schowałem komórkę do kieszeni, zadzwonił Steve. Zaskoczył mnie.

- To wydział specjalny - rzucił krótko.

Przycisnąłem mocniej telefon.

- Wiesz dlaczego?

- Adam, już i tak nadstawiłem dla ciebie karku.

- Wiem i jestem wdzięczny.

- Lepiej, żebyś pozostał przy życiu.

- Chyba nie myślisz, że uciszyliby mnie na zawsze? -

Podrapałem się w głowę.

- Oczywiście, że nie. Ale skoro maczają w tym palce, to znaczy, że ścigają kogoś, kto się przed tym nie zawaha, jeśli uzna cię za zagrożenie.

- Dobra robota. W takim razie posłucham twojej rady, Steve.

- Dasz temu spokój? - Wyczułem wyraźną ulgę w jego głosie.

- Tak - skłamałem.

- Dzięki Bogu. Wyjedź na parę dni.

- Tak zrobię. Dzięki, Steve.

Rozłączyłem się.

Miałem już niejaki doświadczenie w żeglowaniu po zmroku, ale przeważnie w lecie, a nie w zimie. Jednak nie zamierzałem ryzykować i zostawać na przystani. Ci z wydziału specjalnego mogli namierzyć tę rozmowę i łatwo mnie znaleźć. Chciałem wierzyć Steve'owi, że w tej grze oni są tymi dobrymi, ale nie zamierzałem ryzykować. Zresztą ten, którego ścigali, też mógł znać moje ruchy.

Nie spytałem Langtona, skąd się dowiedział, że to wydział specjalny. Nie byłem pewien, czy powie mi prawdę.

Wyptywając powoli z przystani Northney, nie wierzyłem, że sam do tego doszedł. Ktoś mu powiedział. Tak samo jak kazali mu do mnie zadzwonić. Chcieli wiedzieć, gdzie jestem. Dzisiaj nie dam się złapać, ale jutro to zupełnie inna sprawa. Łatwo mnie znajdą, w Londynie na pogrzebie ojca.

Kremacja była krótka. Żadnych ciągnących się w nieskończoność przemówień ani upamiętniających kazań. Dzięki Simonowi. W trakcie ceremonii wracałem myślni do porannej rozmowy z żoną Iana. Nadal nie wrócił do domu. Zgłosiła zaginięcie na policji. Czy powiążą to ze śmiercią Jacka? Jeśli nawet, to tylko o tyle, że Ian był przybity wypadkiem kolegi.

Po pogrzebie pojechaliśmy do domu na Belgravii. Rozejrzałem się po wyblakniętym salonie, próbując powstrzymać ziewanie po nocy spędzonej na łodzi. Wybrałem boję na kanale Emsworth, przycumowałem do niej, ale i tak mogłem się zdrzemnąć na bardzo krótko. A wcześniej rano wróciłem do przystani, żeby wziąć prysznic i zabrać motor. Chyba wcześniej panikowałem, bo nie było widać, aby ktoś podejrzany tam węszył. Zdawało mi się też, że nikt mnie nie śledził na drodze do Londynu.

Przed pogrzebem sprawdziłem wiadomości w telefonie. Dzwoniła Jody. Była zaniepokojona, a na dźwięk jej głosu serce aż mi podskoczyło. Jednak pytania, które zostawiła na sekretarce, były zupełnie zwyczajne: jak się miewam i co robię. Kosztowało mnie dużo wysiłku, żeby

zaraz nie oddzwonić. Chciałem tego rozpaczliwie, ale powiedziałem sobie, że nie mogę jej narażać. Jeśli mogli namierzyć, skąd dzwonię, to może mogli też sprawdzić do kogo?

- Pan ma na imię Adam, prawda?

Odwróciłem się. Stał za mną wysoki, elegancko ubrany mężczyzna z siwą lwią grzywą zalizaną do tyłu, by odstąpić dystygowaną twarz. Skądś go znałem, ale nie wiedziałem skąd.

- Tim Davenham. Byłem na Oxfordzie z Simonem.

- Ach tak! - Uścisnęliśmy sobie mocno dłonie.

- Simon mówi, że jest pan artystą.

- Tak, istotnie.

- I to w każdej mierze udanym. Ojciec byłby z pana dumny.

Przyjrzałem się uważnie Davenhamowi, szukając ironii w jego spojrzeniu. Niby nic na nią nie wskazywało, ale czułem, że się ze mnie nabija. Może to przez mój kompleks niższości.

Po drugiej stronie zatłoczonego starego pokoju Faye rozmawiała z moim bratem. Śmiała się z czegoś, co powiedział, on również się uśmiechał.

„Ale z nich para, dobrani jak w korcu maku” - pomyślałem.

- Jest bardzo atrakcyjna. - Davenham podążył za moim spojrzeniem. - Simon zawsze miał dobre oko do kobiet.

Przeprosił i odszedł, zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć. Jak przypuszczałem, zaraz do nich dołączył.

Za żadne skarby nie mogłem sobie przypomnieć Davenhama z dawnych czasów Simona. Tylko jakieś mętne

wspomnienie inteligentnego przystojniaka, na którego dziewczyny leciały jak pszczoły do miodu. Z tego co pamiętam, Simon też nieźle sobie radził w tej kwestii.

Obserwowałem Faye, jakbym ją widział pierwszy raz w życiu. Ubrała się w swoją „małą czarną” przylegającą do jej zgrabnej szczupłej figury i odsłaniającą długie nogi w czarnych pończochach. Była uwodzicielska - jak się domyślałem - w nadziei na wyrwanie od Simona trochę kasy ze spadku ojca. Chyba ryba złapała haczyk. Inna sprawa, czy Faye wyciągnie ją z wody, ale szło jej nieźle.

Dopiero teraz dotarli do mnie docinki Davenhama, że Simon ma oko na moją atrakcyjną żonę. Chciał mi dawać, to pewne. Może miesiąc temu bym zareagował. Rok temu byłbym wkurzony albo nawet załamany, ale teraz? Miałem to gdzieś. Kiedy przestałem ją kochać?

- Chyba się polubili, nie? - Teraz stanęła za mną Harriet.

Miała bezkształtną figurę, a znoszona czarna sukienka jeszcze to podkreślała. Blond włosy zwisały beładnie po bokach poszarzałej, pokrytej zmarszczkami twarzy o smutnych oczach. Ostatni raz śmiała się chyba wieki temu. A ja kiedy ostatnio się śmiałem tak naprawdę? Pomyślałem o Alison. Umiała rozjaśnić świat. Nic nie było w stanie przygasić jej dzikiej natury i optymizmu. Zawsze chciała żyć pełnią życia. W Jody też wyczuwałem coś podobnego.

- Głupio mi z powodu testamentu, Adam. - Harriet przedarła się przez moje myśli. - Mówiłam Simonowi, że powinien się z tobą podzielić albo chociaż dopilnować, żeby ci niczego nie brakowało, ale... - Pociągnęła nerwowo ze szklanki.

- Nie martw się - powiedziałem lekceważąco. Chciałem tylko wejść dyskretnie do gabinetu ojca i zabrać swoje papiery. Żadnego innego spadku nie pragnąłem.

Davenham spojrział na mnie przez długość pokoju, Simon i Faye podążyli za jego wzrokiem. Odwróciłem głowę do Harriet.

- Nie spodziewałem się, że będzie tyle ludzi.

- To przez nekrologii w „The Daily Telegraph” i w „The Times” - odpowiedziała. - Dostałam mnóstwo telefonów od byłych kolegów i członków Królewskiego Towarzystwa Chemicznego. Wasz ojciec był całkiem sławny.

Tak, zdaje się, że był. W latach pięćdziesiątych Lawrence Greene zsyntetyzował związek chemiczny, który do dziś miał szerokie zastosowanie w przemyśle żywnościowym.

Ten dom, jak również domy w Kornwalii i w Walii, były kupione za wpływy właśnie z tego patentu. Simon i ja mogliśmy się uczyć w drogiej prywatnej szkole, której nienawidziłem, i na Oxfordzie, gdzie moje życie zmieniło się najpierw w bajkę, a potem w koszmar. Teraz został tylko ten dom. Co się stało z pieniędzmi z pozostałych nieruchomości? Czekają gdzieś w sejfie, żeby Simon je odziedziczył?

- Sprzedacie dom? - zapytałem.

- Tak. Simon już zlecił wycenę, ale nie możemy nic zrobić, dopóki testament się nie uwierzytelni. Jestem pewna, że coś ci zostawi. Jest tu kilka dobrych obrazów.

Miała rację, ale nie chciałem, żeby cokolwiek przypominało mi to miejsce albo mojego ojca. Obrazy mojej matki sprzedano wiele lat temu.

- Czy Simon uporządkował już resztę dokumentów ojca?

- Nie wiem. Sam go spytaj. Pewnie nie miał czasu. Wszystko działa się tak szybko.

- Jasne. - Umowa z Amerykanami. Ciekawe czy już to sfinalizował?

Na chwilę moją uwagę przyciągnął śmiech Faye. Spojrzałem na Harriet - jej mina mówiła wszystko. Ciekawe, ile romansów miał mój brat podczas swojego małżeństwa? Teraz moja żona otwarcie z nim flirtowała i sprawiało jej to wyraźną przyjemność. Ale kontrolowała się - tak sobie przynajmniej mówiłem. Do głowy przyszedł mi jej szef, Stewart, i wszyscy klienci, których zabawiała. Pomyślałem o Grahamie Johnsonie, prawniku. Nie miałem powodów, żeby ją podejrzewać o niewierność, ale w głębi duszy wiedziałem, że mnie zdradzała.

- Jak tam dzieciaki?

Na chwilę w oczach Harriet pojawił się błysk dumy.

- William świetnie sobie radzi w szkole, ale strasznie za nim tęsknię.

- A Daisy? Simon chyba mówił, że też wyjechała do szkoły.

- Jeśli chcesz to tak określać... - powiedziała z goryczą.

Zszokowała mnie zmiana w jej głosie. Ona też zorientowała się, że zdradziła rodzinną tajemnicę, bo poczerwieniała i próbowała ukryć twarz w szklance.

- Nie podoba ci się jej szkoła? - ciągnąłem delikatnie.

- Nie. Było jej lepiej, kiedy mieszkała z nami i chodziła do miejscowej szkoły, ale Simon się nie zgodził. Wiesz, jaki on jest, zawsze stawia na swoim.

-

- A co na to Daisy?

Popatrzyła na mnie zdumiona.

- Ona nie rozumie...

- Pewnie, przecież to jeszcze dziecko.

- Ty nic nie wiesz?! - Spojrzała na mnie jeszcze bardziej przestraszona. - Simon ci nie powiedział? Jasne! Dlatego ją przecież wysłał do szkoły specjalnej. Nie chce, żeby mu cokolwiek przypominało o niedoskonałości. Daisy jest tak zwanym dzieckiem specjalnej troski. Jest upośledzona.

- Harriet, przepraszam, nie wiedziałem, przykro mi.

- Simonowi też.

Serce mi się ścisnęło.

- Może spadek pomoże wam sprowadzić ją do domu - spróbowałem załagodzić drażliwy temat, ale tylko pokręciła głową.

- Tu nie chodzi o pieniądze, Adam. Nie w przypadku Daisy.

Ktoś zawołał Harriet i zostałem sam.

Pewnie, że nie chodzi o pieniądze. Zresztą pieniądze są dla zwycięzców jak Simon i jego udany syn William. Nie dla takich jak ja czy Daisy. Czas zabrać te papiery. Wątpiłem, żeby Faye nawet zauważyła, że się wymknąłem. Ale zanim dotarłem do gabinetu ojca, na korytarzu zatrzymała mnie jakaś drobna kobieta po sześćdziesiątce. Miała siwe falujące włosy, przebiegłą, mądrą twarz, bystre oczy i wschodnio-londyński akcent.

- Pan musi być tym drugim bratem, Adamem, prawda? Nazywam się Withers, byłem gospodynią pańskiego ojca. Przykro mi z powodu jego śmierci. Był dobrym człowiekiem.

Przytaknąłem.

- To ciężkie chwile dla pana i doktora Greenea. Zwłaszcza on był tak blisko związany z ojcem.

A to coś nowego! Wymamrotałem jakąś odpowiedź, ale chyba mnie nie słuchała.

- Zaledwie od tygodnia - ciągnęła - doktor Greene już nie przychodzi i nie zostaje często na noc, jak to miał w zwyczaju przez ostatnie pół roku.

Nie wierzyłem własnym uszom. Simon nigdy w życiu nie zrobił niczego bezinteresownie. Skąd nagle teraz tyle miłości do starego ojca? Znałem powód: pieniądze.

- Wiem, że nie byliście ze sobą blisko - mówiła dalej pani Withers. - Doktor Greene i pański ojciec nigdy nie wspominali o panu. Nie wiedziałam, że jest drugi syn, aż pański brat mi powiedział, kiedy pana ojciec dostał udaru. Ale domyślałam się, że było panu trudno go odwiedzić, skoro, że tak powiem, nie utrzymywał pan kontaktów z rodziną. - Ciężko westchnęła. - I tak by nie wiedział, że pan tu był. W każdym razie nie w ciągu tych ostatnich kilku miesięcy.

- Co pani powiedziała?! - niemal wykrzyknąłem. Dlaczego Simon mi nie powiedział, że ojciec był chory już od jakiegoś czasu? Fakt, nie moja sprawa, sam się odciąłem od rodziny, ale zrobiłby to choćby po to, by pojąć na swój brak czasu i że wszystko na jego głowie. Dlaczego więc tego nie zrobił?

- Smutne, jak się o tym pomyśli. Kiedyś taki umysł! Jak tak się człowiek zastanowi, życie potrafi być okrutne, prawda?

- Nie jestem pewien, czy rozumiem...

-

- Demencja - powiedziała tonem eksperta i pokiwała zadumana głową. - Biedak nie wiedział nawet, kim jestem. A pański brat!... Cierpliwość świętego. Godzinami przesiadywał z ojcem w gabinecie. Przykro mi, że pański ojciec odszedł, ale w pewnym sensie to błogosławieństwo, że stało się to tak szybko. Wkrótce poszedłby do domu opieki, a to tylko pochłonęłoby pieniądze.

No tak, pieniądze. A Simon jako główny spadkobierca pokąźnego majątku na pewno by sobie tego nie życzył. Kiedy ojciec wyłączył mnie z testamentu? Po Alison i Oxfordzie? Po moim załamaniu? Po tym, jak wyszedłem z tego domu piętnaście lat temu? A może całkiem niedawno, na przykład w ciągu ostatnich kilku miesięcy? Bez trudu wyobraziłem sobie Simona, który czatuje na chwilę, gdy ojciec będzie dość przytomny, aby się podpisać, jednak nie na tyle, by wiedzieć, co podpisuje.

Popchnąłem drzwi gabinetu i wszedłem do środka. Kiedy tylko zapaliłem światło, mój wzrok przyciągnęło podniszczone mahoniowe biurko stojące tyłem do okien. Przypomniało mi się, jak stałem przed nim jako chłopiec, trzęsąc się ze strachu. Pamiętam też dzień, kiedy wkra-dłem się do gabinetu ojca, choć nie przypomnę sobie już po co. Usłyszałem wtedy, że nadchodzą rodzice, więc szybko uciekłem za zasłonę. Słyszałem, jak ojciec upokarza matkę cierpkimi słowami i okrutnym, sarkastycznym tonem. Za dużo tu duchów przeszłości. Im szybciej wyjmę papiery, tym szybciej pożegnam to miejsce raz na zawsze.

Pokój zdawał się lepić od brudu i starości. Byłoby mi wygodniej przeszukiwać szuflady, gdybym usiadł na fotelu

ojca, ale nie mogłem się na to zdobyć. Schylony otwierałem je więc jedna po drugiej, nie znajdując nic ciekawego. Poza jedną rzeczą - kluczem. Wyjąłem go i podszedłem do siwej obdrapanej szafki na dokumenty w kącie pokoju. Zwyczajne papiery, polisy ubezpieczeniowe, rachunki... Wreszcie w dolnej szufladzie znalazłem to, czego szukałem - szarą kopertę z nazwą kliniki, w której umieszczono mnie po załamaniu nerwowym. Najwyraźniej Simon do niej nie dotarł. Cicho wyszedłem na ulicę i ukryłem kopertę w schowku z tyłu motoru. Kiedy wróciłem, natknąłem się na Faye.

- Wracam do domu - skłamałem.
- W porządku - stwierdziła. Nie protestowała ani nie prosiła, żebym został.
- A ty zostajesz w mieście?
- Wiesz, że tak.
- Zobaczymy się jutro wieczorem.

I nagle uzmysłowiłem sobie, że pewnie Faye zaraz dowie się o Alison i wydarzeniach w Oxfordzie. Jak nie od Davenhama, to od Simona. Miałem to jednak gdzieś. Chciałem tylko dotrzeć do tego kogoś, kto zabił Jacka i Bena Lydewaya. Wiele oczekiwałem po jutrzejszym spotkaniu w Greys.

Wynająłem pokój w hoteliku niedaleko dworca Victoria. Był mały, tani i raczej skromny, ale czysty. Rzuciłem torbę, kask i rękawice na łóżko, po czym spokojnie wróciłem do motoru. Kiedy jednak otworzyłem schowek, zamarłem przerażony. Koperta zniknęła.

ROZDZIAŁ 13

Jechałem wolno wzdłuż Embankment. W ten ponury poranek tylko statki rzeczne od czasu do czasu tworzyły kolorowe plamy na mulistej, ospałej i stalowoszarej Tamizie. Po drugiej stronie rzeki powoli obracało się London Eye. Stojąc w korkach, myślałem tylko o zaginionej kopercie, podobnie jak całą ostatnią noc. Kto ją zabrał i kiedy? Nie miałem pojęcia. Jedno tylko było pewne - żeby ją wykorzystać przeciwko mnie.

Może policja zrobiła klasyczną podpuchę - wypuściła mnie, żebym sam wskazał im dowody przeciwko sobie? Nie mogłem wiedzieć, co napisał o mnie psychiatra. Nigdy nie czytałem tych orzeczeń. Teraz żałowałem. Domyślałem się tylko, że to interesująca lektura - poczucie winy po śmierci Alison, luki w pamięci... Fakt, niepoczytalność jest okolicznością łagodzącą, ale nie widziałem większej różnicy między więzieniem a domem wariatów.

Kto to zabrał? Ktoś obserwował dom, widział, jak wychodzę z kopertą, i domyślił się, że skoro ją chowam, to jest ważna? Mało prawdopodobne. Ktoś przewidział, że przyjadę po moje akta z leczenia? Jeszcze mniej. Gdyby policja chciała zdobyć

takie informacje, po prostu wzięliby nakaz i otrzymali je w klinice.

To musiał być ktoś z domu - jeden z gości na stypie, a najpewniej mój brat. Może widział, że zabieram papiery, i myślał, że to coś, co może zniweczyć jego plany zgarnięcia spadku? Albo zabrał je, żeby mnie ośmieszyć, gorzej - szantażować, jeśli przyszłoby mi kiedyś do głowy podważyć testament. Tylko że to też głupie - miał tysiące okazji, żeby po kilka razy przeczytać i zabrać każdy papier z gabinetu ojca.

Z głową szumiącą od tych myśli dojechałem do kościoła St. Clement Danes. Wtedy przypomniała mi się stara wyliczanka z dzieciństwa: „Pomarańcze i limony - śpiewają St. Clements dzwony”. Jak doszedłem do: „Topór idzie ciąc ci szyję, ciach, ciach, ciach, ostatni nie żyje”, wzdrynąłem się i obejrzałem za siebie. Nie zauważyłem nikogo, ale czułem, że ktoś mnie śledzi. Ktoś, kto znał każdy mój krok.

Jechałem wzdłuż Fleet Street i Ludgate Hill. Był większy ruch, niż się spodziewałem. Zwalniając na światłach, zobaczyłem stado szpaków nad wielką kopułą katedry św. Pawła. Zazdrościłem ptakom ich wolności. Sprawa, którą wzięłem sobie na głowę, najwyraźniej mnie przerastała..

W końcu skręciłem w Monument Street, a potem w Lower Thames Street, gdzie znalazłem siedzibę Greys Shipping.

Dziesięć minut czekałem w przestronnej recepcji, zabijając czas oglądaniem doskonale wykonanych modeli statków firmy Greys. Potem znudzona dziewczyna, której chyba jedynym zajęciem było żucie gumy, zaprowadziła mnie do windy. Pojechałem na trzecie piętro.

Tam w olbrzymim biurze powitał mnie zupełnie inny typ kobiety. Ta była pewna siebie i miła, z kruczoczarnymi lśniąco-czarnymi włosami i błyskiem w niebieskich oczach. Przedstawiła się jako panna Rogers.

- Chciałbym dotrzeć do dawnych kolegów mojego wuja, żeby ich zawiadomić o jego śmierci i pogrzebie - powtórzyłem kłamstwo, które opowiedziałem przez telefon zapewne jej sekretarce. Nieswojo się z tym czułem, ale nie miałem innego wyjścia.

- Oczywiście. - Spod stołu, przy którym siedziała, wyjęła akta, położyła sobie na kolanach i wyciągnęła z teczek kartkę papieru. - Przygotowałam listę pracowników, którzy pływali z pana wujem w naszej firmie od 1990 do 1994 roku.

Jej kompetencja mnie zaskoczyła, choć sądząc po wyglądzie biura, w sumie nie powinna. Było tu tak porządnie, że gościa w skórzanej kurtce i spodniach, w ciężkich buciorach motocyklisty w ogóle nie powinni tu wpuścić.

Szybko przebiegłem wzrokiem listę. Tylko sześć osób.

- Myślałem, że będzie więcej nazwisk - zdziwiłem się.

- Na kontenerowcu nigdy nie ma licznej załogi - odpowiedziała z uśmiechem. - Przy dzisiejszej technologii na takim statku, na jakim pływał pan Bywocky, w zupełności wystarcza sześcioposobowa załoga. Niestety trochę czasu upłynęło, odkąd pana wuj przeszedł na emeryturę i wielu jego kolegów też już nie żyje.

Ciekawe, na co umarli. Rzuciłem okiem na listę i zwróciłem uwagę, że jeden z tych ludzi mieszkał na łodzi

niecałą milę od domu opieki Sida Bywockyego. Kapitan Frank Rutland.

- Jeszcze jedna rzecz, panno Rogers. Czy wie pani może, czy kiedykolwiek na jakimś statku, na którym pływał mój wujek, wybuchł pożar?

Chyba zaskoczyłem ją tym pytaniem, jednak nie nabrała żadnych podejrzeń.

- Nie sędzę, ale mogę to sprawdzić. - Przeszła do biurka, stukając obcasami w drewnianą podłogę i zaczęła klepać w komputer.

Czekałem z zapartym tchem, mimochodem spoglądając na obrazy przedstawiające barki na Tamizie w dziewiętnastym wieku. Tak chciałem, żeby coś znalazła! Przecież nie mogłem przejechać tyle drogi na darmo...

- Nie ma żadnych danych na temat pożaru na naszym statku, panie Greene - usłyszałem.

- Czy możliwe, że pożar wybuchł, ale nie został odnotowany? - zapytałem z nadzieją.

- Wątpię. Pożar na statku to poważna sprawa. Nawet jeśli nie wiezie żadnego ładunku, kapitan ma obowiązek to zgłosić.

Ale przecież musiał być pożar! Panna Rogers kłamała? Nie wydawało mi się. Podziękowałem jej, choć bez entuzjazmu. Była jeszcze tylko jedna osoba, do której mogłem pójść - kapitan Frank Rutland. Jeśli on mi nie pomoże, naprawdę nie wiem, co dalej. Jednak jeśli miałem rację, znaczyło to, że właśnie on świadomie nie zgłosił pożaru.

Ruch uliczny w okresie przedświątecznym to koszmar. Zapewne dlatego, przeciskając się przez Covent Garden,

pomyślałem o Faye. Gdyby się dowiedziała, że nocowałem w Londynie, miałaby w ręku potężny argument, żebyśmy tu zamieszkali. Może gdybym to zrobił, uratowałbym nasze małżeństwo. Ale czy było warto?

Stanąłem na świątłach i odruchowo obserwowałem przechodniów. I wywołałem wilka z lasu. Faye! I to nie sama - odchyliła do tyłu głowę, śmiała się z czegoś, co właśnie szepnął jej Simon. On też się śmiał i tyle można było wyczytać z jego wesolej, zadowolonej miny, kiedy wchodzili do restauracji...

Ktoś mocno wkurzony zatrąbił na mnie przeciągle. Puściłem sprzęgło i odjechałem.

Zanim dotarłem na Hayling, już się ściemniało. Przy drogowskazie do przystani wrzuciłem lewy migacz i skręciłem w boczną dróżkę. Prowadziła między dwoma barakami z falistej blachy pozostałymi jeszcze z czasów drugiej wojny światowej i wychodziła na stoczną jachtową. Po prawej kilka łódek odbywało swój zimowy odpoczynek przed hangarami, obok stał długi rząd masztów opartych jeden o drugi.

Pytałem robotników, gdzie mogę znaleźć łódź Franka Rutlanda i w końcu trzeci z kolei wskazał mi koniec ostatniego pomostu.

Stała ostatnia, za nią nie było już nic oprócz błota, odpływu i morza. Po drugiej stronie, za zatoką Chichester, rozciągał się płaski krajobraz wyspy Thorney używanej przez RAF jeszcze w czasie wojny. Lotnictwo nadal miało tam swoją bazę.

W oddali mignęły światła. Kanał przeciął podmuch wiatru. Zrobiło się zimno, nawet mewy siedziały cicho, jakby czekając na burzę. Obserwowałem je stojące z łapkami zapadniętymi w błocie, z dziobami zwróconymi do południowo-zachodniego wiatru. Poczulem pierwsze drobne krople deszczu.

Po skrzypiącym pomoście dotarłem do łodzi Rutlanda. Była starsza niż większość pozostałych, ale wielu by zapłaciło za nią duże pieniądze. Prawdziwy klasyk, ważący osiem ton dziewięciometrowy Hillyard. Była przepiękna, to znaczy kiedyś musiała być, gdy jeszcze ktoś o nią dbał. Teraz po rozpadającym się drewnie było widać, że te lata minęły, ale przy odrobinie poświęcenia i po włożeniu w nią większej gotówki, nadal by żeglowała, podczas gdy nowsze łodzie już dawno wywalono by na złom. Zwłaszcza że kadłub się trzymał - wymagał czyszczenia, ale nadal wyglądał solidnie.

- Panie Rutland! - zawołałem, przesuając wzrok po podniszczonym mahoniowym pokładzie.

Hillyardy to były porządne łodzie, budowane na długie lata. Ta wyglądała na co najmniej czterdzieści. Spoczywała na błocie po odpływie. Wypłowiałe żagle były zrefowane i owinięte wkoło bomu. Rdzewiejący, ale nadający się do użytku rower, stał oparty z przodu pokładu obok zniszczonego pasiastego leżaka. Kiedyś można było takie zobaczyć wzdłuż promenady w Southsea okupowanej przez starsze panie w kostiumach z krempliny i dżentelmenów w podwiniętych spodniach, z chusteczkami zawiązanymi na ręce.

Zawołałem ponownie, ale nadal nikt nie odpowiadał. Zakląłem pod nosem. Przejechałem taki kawał, żeby go

nie zastać?! Może Rutland nie chciał się z nikim widzieć? Ale jeśli tylko gdzieś wyszedł, mogę na niego poczekać.

Wszedłem na pokład i wtedy dostrzegłem otwarty luk. Zajrzałem, potem zacząłem schodzić i nagle stanąłem jak wryty. Przede mną leżał chudy jak szkielet około siedemdziesięcioletni mężczyzna z siwymi kędzierzawymi włosami i brodą, ubrany w parę starych żeglarskich spodni i brudny podkoszulek. Wokół nosa i ust miał krew, wargi sine. Chuda szyja była granatowa od siniaków - łatwo mogłem sobie wyobrazić palce wyciskające z niego ostatni oddech.

Nagle przed oczami stanął mi obraz innego ciała. Poczulem pęd powietrza i usłyszałem głuchy łomot, a ułamek sekundy później obrzydliwy, mdlący trzask. Szeroko otwarte oczy i strużka krwi cieknąca z rozbitej czaszki aż pod moje stopy.

Alison! Teraz wszystko mi się dokładnie przypomniało. Pokłóciłem się z nią i wyszedłem z imprezy, by chwilę później znów ją zobaczyć - w niebieskiej sukience zaplątanej wokół kolan, z jednym sandałem na nodze, podczas gdy druga stopa była bosa. Widziałem też wyraz jej twarzy i krew płynącą z kącika ust.

„Daj spokój z Alison! Zapomnij, co było piętnaście lat temu. Myśl, co teraz” - zaalarmował mnie jakiś głos w głowie. Musiałem uciekać. Potknąłem się, biegnąc po trapie i próbując odzyskać oddech. Nogi miałem jak z waty, ledwo mogły mnie unieść. Chryste, Rutland zamordowany! Kto, do diabła?!

Obejrzałem się nerwowo przez ramię. Zabili Bena Lydewaya, Bywockyego, a teraz Rutlanda. Ktokolwiek to zrobił, mógł mnie teraz obserwować.

Wsiadłem na motor i odjechałem z wyciem silnika. Tak, pewnie, powinienem był zostać i zawiadomić policję, ale to oznaczałoby zerowe szanse na rozwiązanie zagadki Jacka.

Dotarłem do głównej drogi i obejrzałem się znowu za siebie. Nikt za mną nie jechał. Następnym razem to może się źle skończyć. Jak nie zabiją mnie tamci, przymknie mnie policja. Panna Rogers potwierdzi, że podała mi nazwisko i adres Rutlanda. Trzech facetów w przystani, których pytałem o drogę, też powiedzą, że szukał go jeden taki na motorze. A to razem z zabójstwem Bena wystarczy, żeby mnie zamknąć.

Czy uwierzyliby mi, gdybym wszystko wyjaśnił? Nawet jeśli tak, nawet jeśli skończyłoby się na ostrej rozmowie, że udaję prywatnego detektywa i utrudniam śledztwo, to był jeszcze ten ktoś, kto wyraźnie sobie nie życzył, abym węszył wokół jego spraw. Zresztą to był ktoś wpływowy, z łatwością by mnie wrobił. Nie miałem przecież alibi, za to przypuszczalny motyw, a wielu świadków mogło potwierdzić, że zachowywałem się podejrzanie.

Z ciężkim sercem wróciłem na swoją łódkę. Na szyi niemal czułem coraz ciaśniejszą pętlę, a moje śledztwo było w polu.

- Na miłość boską, Jack! Zlituj się, daj mi jakiś znak, cokolwiek! Muszę dotrzeć do prawdy i to szybko, zanim będzie za późno - powiedziałem na głos.

Znalazłem butelkę whisky. Rozgrzewający płyn spłynął mi do gardła.

Kiedy znajdą ciało Rutlanda? Jeszcze dzisiaj? Jutro? W przyszłym tygodniu? Normalnie takich starych dziwaków

bez rodziny potrafią znaleźć nawet po miesiącach, ale nie tym razem. Ktoś tylko czekał, aż znajdę się w pobliżu łodzi byłego kapitana. Może właśnie w tej chwili policja odbiera anonimowy telefon...

Będą musieli obejrzeć ciało i przesłuchać ludzi - to zajmie trochę czasu. Zbiorą próbki DNA z ciała Rutlanda. Nie będą pasować do moich, ale mogłem przecież zostawić jakieś ślady na łodzi. No pewnie, zdjąłem przecież rękawice - mają moje odciski palców. Dopasują je i bingo! A więc zostały mi jakieś dwa dni czasu, może kilka, jeśli będę miał dużo szczęścia. Muszę w tym czasie dotrzeć do prawdy. Ale jak, skoro Rutland nie żyje?!

Rozciągnąłem się w koi i odpłynąłem myślami do wydarzeń z ostatnich dwóch tygodni. Żadnych nowych wniosków, więc próbowałem coś jeszcze wycisnąć z tego, co pamiętałem sprzed śmierci Jacka.

Czy coś zrobił albo powiedział, co mogłoby być teraz jakąś wskazówką? Nic poza ostatnimi rozmowami, kiedy mi powiedział, że ktoś go śledzi. I wiadomość na pocztówce, którą znałem na pamięć:

Adam, chcę, żebyś zaopiekował się „Rosie”. Jesteś wybitnym artystą, i najlepszym przyjacielem. Szczęśliwego Żeglowania!

Wszystkiego dobrego, Jack
4 lipca 1994

Ta kartka Jacka naprowadziła mnie na Nowy Testament i pożar z 4 lipca 1994, który Frensham sobie przypomniał, ale którego nie odnotował nikt w Greys Shipping.

Może Sam się mylił? Nie. Bardziej prawdopodobne, że Rutland albo Bywocky chcieli to zatuszować, bo cokolwiek paliło się na ich statku, nie powinno się tam znaleźć. „Szczęśliwego Żeglowania!”...

- Twoje zdrowie, Jack. Za każdym razem na morzu będę myślał o tobie. - Podniosłem whisky do toastu i zdębiałem.

„Szczęśliwego Żeglowania”?!

Dlaczego napisał „żeglowania” wielką literą, jakby to była jakaś nazwa? Jasne, ależ ze mnie idiota! Moja łódź, na której przecież szczęśliwie sobie żegluję, a która kiedyś należała do Jacka! Serce zaczęło mi walić jak młotem. Czy mógł się dostać na pokład? Może miał zapasowy klucz? Zostawił mi tu wiadomość? Ukrył dyski na mojej „Tide Mark”?

Zerwałem się na równe nogi, aż jacht się zakołysał i woda wściekle uderzyła o burtę. Zacząłem przeszukiwać łódź.

ROZDZIAŁ 14

Pod jedną z koi znalazłem płytę CD ukrytą w pokrowcu na żagle. Nie miała żadnego napisu, ale i bez niego mogłem się domyślić, co zawiera. Dzięki Bogu zabrałem ze sobą laptop, włączyłem go i włożyłem krążek do środka. Wiatr wył, deszcz bębnił o łódkę, a ja czułem, jak puls mi przyspiesza. Zacząłem czytać.

31 października

To nie może być zwykły zbieg okoliczności, że najpierw Vic, Scott, Duggie, Tony, a teraz ja - wszyscy zachorowaliśmy na raka. Musi mieć to jakiś związek z naszą pracą. Zanim dostaliśmy nowe helmy, mieliśmy nieosłonięte uszy. Tylko tak można było określić, jaka panuje temperatura i czy powinniśmy się wycofać, póki był jeszcze czas. Ze starych helmów zrezygnowano pod koniec 1994 roku, więc pożar, który wywołał u nas raka, musiał być wcześniej - pytanie tylko, ile wcześniej?

Czytałem o tym, jak Jack zbierał najdrobniejsze informacje o pożarach, kiedy gaszono jakieś chemikalia, wszystko zapisywał, porównywał z raportami o zmianach i eliminował te, które nie pasowały. Ominiąłem notatki aż do 7 listopada. Jest!

W końcu udało mi się ustalić, który to pożar. To musi być to, wszyscy braliśmy w nim udział. Mała akcja gąśnicza na pokładzie „Mary Jane” zacumowanej w porcie. Był 4 lipca 1994. Raport spisał Des Brookfield.

Dlaczego nie byłem zdziwiony?! Brookfieldowi nieźle się powodziło przez te wszystkie lata - spory dom, drogi jacht, egzotyczne wakacje za granicą, dzieciaki w prywatnych szkołach. Może i nie wiedział do końca, co konkretnie było na statku, ale ktoś mu płacił za milczenie. „Jego usta pełne są kłamstw. On sieje śmierć wśród niewinnych”. To o niego chodziło Jackowi! Brookfield kłamał, że te raporty z pożarów wysłali do komputeryzacji. Ale nie mieściło mi się w głowie, że on mógł zabić Jacka! Może nie sam, ale powiedział mordercy, że Jack zamienił się z Ianem. Albo nawet sam kazał mu się zamienić... Czytałem dalej:

Służbę miał trzeci oficer. Był wtedy jedyną osobą na pokładzie i to on nas wezwał, ale zanim dotarliśmy na miejsce, sam już prawie ugasił pożar. Kapitanem statku był Frank Rutland, a pierwszym oficerem - Sid Bywocky.

Szybko przeleciałem kawałek dalej.

Nic nie wskazywało na to, że na pokładzie może znajdować się jakiś niebezpieczny ładunek. Ścisłej mówiąc, w ogóle nie było tam żadnego ładunku, w każdym razie nie w ładowni. Pożar wybuchł pod pokładem, w jakiejś skrzyni. Ale co się w niej znajdowało? Nie wiem, ale wtedy nic nie wzbudziło naszej czujności. To jednak musiał być ten pożar, nic innego nie pasuje. Muszę porozmawiać z Bywockym. Całkiem przypadkowo natknąłem się na niego w domu opieki Dora Widey. Byłem na zastępstwie w Havant, kiedy dostaliśmy wezwanie. Ktoś utknął w windzie i okazało się, że to był on! Na początku nie chciał puścić pary z ust, ale wystarczyło go trochę przycisnąć... Może wołał zejść z tego świata z czystym sumieniem? Powiedział mi, że od początku wydawało mu się to wszystko podejrzane, zwłaszcza gdy niedługo po pożarze trzeci oficer zmarł na raka.

Czytałem dalej. Bywocky wiedział, że wożą coś trefnego, ale znał życie - zbyt długo służył na statkach, żeby wypytywać kapitana o takie sprawy. Towar nie przechodził przez żadne kontrole i nie był składowany w kontenerze. Przywożono go na pokład oddzielnie, już zapakowany, a Rutland zawsze osobiście doglądał załadunku. Jack zdołał go namierzyć 1 grudnia.

Byłem u Rutlanda. Mieszka na swojej łodzi na wyspie Hayling. Jak tylko na mnie spojrział, od razu domyślił się, po co przyszedłem. Kombinował, ile czasu zajmie, zanim się to wszystko wyda. Potwierdził, że był dobrze opłacany za przewożenie małego ładunku przy każdym kursie. Kiedy statek zawijał do Calais, ktoś to odbierał. On miał tylko dostarczyć towar i nie zadawać pytań. Zaraz po pożarze przestali przysyłać ładunki na statek. Kłamał, że nie wie, kto mu za to płacił. Spytałem też, skąd przysyłali te skrzynie, ale dowiedziałem się tylko, że z jakiegoś laboratorium na równinie Salisbury. Od razu skojarzyłem to z bazą RAF-u, ale jak go o to zapytałem, nie chciał już nic powiedzieć. Pojadę tam jutro. Jestem już bardzo blisko prawdy. Wiem, że ktoś mnie śledzi i jestem pewien, że telefon mam na podsłuchu. Zapiszę te informacje na dysku i schowam na mojej starej łodzi.

Następna notatka zaparła mi dech w piersiach.

Adam, jeśli teraz to czytasz, ja już prawdopodobnie nie żyję. Napisałem ci zaszyfowaną wiadomość na pocztówce, wyślę ją jutro. Wiem, że nie cierpisz zagadek, ale jestem pewien, że z tą sobie poradzisz. Przepraszam, że Cię tym obarczam, ale nie mam nikogo innego, komu mógłbym zaufać. Cieszyłem się każdą

minutą naszej przyjaźni. Wiem, że mogę na tobie polegać i że zaopiekujesz się moją kochaną Rosie. Pozostawiam twojej decyzji, ile jej z tego wszystkiego opowiesz. Mam nadzieję, że dotrzesz do prawdy i zdemaskujesz sukinsyna, który za tym wszystkim stoi. Jeśli będzie inaczej i natkniesz się na tę płytę dopiero za parę miesięcy albo nawet lat, proszę, nie czuj się winny. Może nawet tak będzie lepiej. Powodzenia, brachu, i mam nadzieję, że nie zobaczymy się wkrótce.

Następnego dnia Jack już nie żył. Łzy zakręciły mi się w oczach, poczułem taki ból, że ledwo mogłem oddychać. Złapałem butelkę whisky i mocno z niej pociągnąłem. Palący płyn przywrócił krążenie.

Przeczytałem wszystko jeszcze raz, wyłączyłem komputer i z powrotem schowałem płytę. Teraz muszę znaleźć to laboratorium. Ale jak? Może już dawno nie istniało, może je zamknęli? Przecież Rutland powiedział Jackowi, że zaraz po pożarze ładunki przestały przychodzić na statek. Jeśli to laboratorium jest w bazie RAF-u, niczego się nie dowiem - tajemnica państwowa. To by zresztą wyjaśniało zabójstwa. Tym z wydziału specjalnego zależy, żeby wyciszyć całą sprawę. Może kontakty Simona w Królewskim Towarzystwie Chemicznym do czegoś się przydadzą?

Ten pomysł przywiódł mi na myśl jego i Faye. Zaryzykowałem i zadzwoniłem do niej, ale nie odpowiadała. Nagrałem się na sekretarce, że wyjeżdżam na kilka dni

malować. Następny telefon był do Simona, ale też nie odbierał. Nie zostawiłem mu jednak żadnej wiadomości. Strasznie mnie kusiło, żeby zadzwonić do Jody, ale się powstrzymałem. Następnego dnia czekała mnie jeszcze rozprawa z Brokfieldem.

- Adam? - Des wyraźnie się zdziwił, widząc mnie w drzwiach swojego domu. Zerknął na zegarek.

„Prędzej mnie szlag trafi, niż cię przeproszę za to najście w sobotę o ósmej rano” - pomyślałem.

- Pożar na statku 4 lipca 1994, pisałeś raport - powiedziałem krótko.

- Po co chcesz to wiedzieć? - Wyglądał na zaskoczonego.

- Co było w tej skrzyni, Des?

- Nie mogę pamiętać wszystkich pożarów!

- Myślę, że ten akurat pamiętasz. Kto ci kazał powiedzieć, że raport zaginął?

Był naprawdę zdezorientowany.

- Nikt. Wysłali je...

- ...do komputeryzacji? - spytałem kąśliwie. Obserwowałem go uważnie i widziałem, że nie kłamie. A może się myliłem? Był niewinny? Nie, „jego usta pełne są kłamstw”. - Dlaczego kazałeś Ianowi zamienić się z Jackiem na stanowiska?

- Nie kazałem!

- Byłeś tam tego ranka.

- Nawet nie gadałem z nimi. Słuchaj, o co ci chodzi? - Rzucił nerwowe spojrzenie przez ramię.

-

- Komu powiedziałaś, że ich tabliczki są zamienione?
- Na miłość boską, Adam, o czym ty mówisz?!
- Kto tam, Des? - ze środka dobiegł kobiecy głos.
- To ze straży - skłamał. Przeszedł przez próg i zamknął za sobą drzwi.

Staliśmy w dużym ogrodzie przed jego domem. Niecodzienna sceneria do takich rozmów.

- Mówię o pożarze na pokładzie statku - ciągnąłem - przez który nie żyje pięciu strażaków, nie wspominając o dwóch starszuchach i prawdopodobnie Ianie. Chyba najwyższy czas powiedzieć prawdę o „Mary Jane”...

Trafiłem w sedno. Brookfield pobrał. Zaczął chodzić od domu do ulicy, gdzie zaparkowałem motor. Przejechał ręką po swoich gęstych ciemnych włosach i odwinął się nerwowo.

- Teraz sobie przypominam, ale tylko dlatego, że moja babka nazywała się Mary Jane! Nie wiem, co to ma wspólnego z czyjąś śmiercią.

- Co się wtedy wydarzyło?
- Nie wiem. Nie było mnie tam.
- Ale spisałeś raport.
- Tak, ale nie jeździłem do akcji. Wziąłem wolne. Nie miałem już urlopu, to odkupiłem jeden dzień od Colina Woohalla. Zapłaciłem mu, żeby mnie krył. Ty nigdy nie pracowałeś na etacie, ale chyba potrafisz to zrozumieć. Jeśli się wyda, że nie byłem na służbie...

Domyślałem się, po co był mu potrzebny ten wolny dzień. Zawsze miał reputację babiarza, a jak upatrzył sobie nową zdobycz, tylko jedno mu było w głowie.

- Colin podał mi szczegóły, spisał raport, a ja podpisałem - dokończył.

A więc się pomyliłem! Szkoda, nigdy nie lubiłem Brookfielda.

- I nie wspomniał, że z tym pożarem było coś dziwnego?

- Jego zdaniem był mały i zwyczajny.

Zdaje się, że nic więcej nie mogłem od niego wyciągnąć. Wsiadłem na motor.

- Może raczysz powiedzieć, o co tu chodzi?! - krzyknął za mną.

- Zapomnij, że pytałem. A ja zapomnę, że podpisałeś ten raport.

Kopnąłem nóżkę i ruszyłem. Skoro Brookfield nie doprowadzi mnie do laboratorium, trzeba będzie popytać Simona. W swojej branży znał wszystkich, których wypadało znać. Zaryzykowałem szybkie sprawdzenie wiadomości. Faye milczała. W sumie to było do przewidzenia, a nie miałem zamiaru dzwonić do domu - tam na pewno założyli podsłuch.

Skręciłem z małej ślepej uliczki w szosę prowadzącą przez Portsdown Hill. W dole po lewej stronie w szarym porannym świetle rozciągały się Portsmouth i wyspa Hayling. Wtedy przypomniała o sobie komórka, którą zapomniałem wyłączyć. Zjechałem na parking z tarasem widokowym. Obok stały dwa puste samochody, a z tyłu zamknięta buda z hamburgerami. To była Jody.

- Mam dla ciebie wiadomości - odezwała się lekko zadyszana.

- Prosiłem cię, żebyś nie wypytywała...

- Wiem, ale to ważne. Znam nazwę statku, który się palił. Jeden z pilotów sobie przypomni.

-

- Dobrą ma pamięć...
 - Wspomniałam mu o Williamie Bransbury, tym ministrze, że był wtedy w porcie i przypomniało mu się. Statek nazywał się „Mary Jane”.

- Wiem.

- Skąd?

- Jack zostawił mi wiadomość.

- Gdzie?

- Nieważne. Muszę się teraz dowiedzieć, co było na tym statku.

- Jack nie powiedział?

- Nie, tylko tyle, że to jakieś chemikalia z laboratorium na równinie Salisbury.

- Chryste! Jak do tego doszedł?

- To długa historia.

Nastąpiła chwila pauzy, zanim zapytała:

- Co teraz zamierzasz?

- Dowiem się, do kogo należało to laboratorium.

- Jak?

- Zapytam mojego brata, Simona. Jest naukowcem.

Jeśli ktoś może wiedzieć takie rzeczy, to właśnie on.

- Chciałabym pomóc.

- Nie - powiedziałem stanowczo.

Znowu pauza.

- Zadzwonisz do mnie, dobrze?

Obiecałem, że tak.

Już miałem wyjeżdżać z zatoczki, gdy zerknąłem w lusterko i zaskoczony zobaczyłem Motcombe'a. Chuderlak z Czerwonego Patrołu wynurzył się z jednej ze ścieżek i zmierzał w stronę ciemnoniebieskiego samochodu.

W gruncie rzeczy czemu miałoby go tu nie być? Może mieszkał w pobliżu i lubił poranne spacerować? Może miał psa? Obserwowałem, jak wsiada do auta, ale nie biegł za nim żaden pies. Zawahałem się, czy może z nim nie zagadać, zapytać, czy Ian się odnalazł? Nagle zobaczyłem, że Motcombe odbiera komórkę. Przypomniało mi się, że Czerwony Patrol miał dzienną zmianę. Czyli on musiał wziąć wolne.

Gdyby odłożył komórkę, może bym go zaczepił, ale wciąż rozmawiał. Zresztą doszedłem do wniosku, że nic mi teraz po Ianie, a o czym innym miałbym z nim gadać? Wykręciłem z zatoczki i ruszyłem w stronę Bath.

ROZDZIAŁ 15

Drzwi otworzyła mi Harriet. Wyglądała na zmęczoną i widać było, że płakała.

- Gdzie Simon?
- W pracy.
- Potrzebuję jego adres.
- Dobrze. - Zawahała się. - Adam, możemy chwilę porozmawiać?

Chciałem odmówić, czas uciekał, ale nie wytrzymałem jej błagalnego wzroku. Poszliśmy przez hol do dużej, wypełnionej drogim sprzętem kuchni w głębi domu. Przez okno widziałem piękny ogród ciągnący się aż do kanału.

- Simon ma problemy - oznajmiła Harriet.

W pierwszej chwili przed oczami stanął mi ojciec. Czyżby ktoś odkrył, że ukochany starszy syn zepchnął go ze schodów? Nie, to było niedorzeczne.

- Jakie problemy?
- On... cóż... Wpakował się w straszne długi. Dzwonili dzisiaj rano ze szkoły Williama. Powiedzieli, że nie zapłaciliśmy chesnego za prawie sześć miesięcy, więc ja... - wzięła głęboki oddech - włamałam się do jego biurka. Tam jest kupa niezapłaconych rachunków i salda z banku.

-

Mamy taki debet, że... - urwała. - Są jeszcze listy z pogroźkami i wygląda na to, że jego firma ma kłopoty.

- Niedługo się z tego wygrzebie. Dostanie pieniądze ojca. - Nie chciałem być złośliwy, ale nie zdołałem się powstrzymać.

- Ale o to też chodzi, Adam! Wiem, co ci zrobił, wiem dlaczego. To nie jest w porządku. Odkryłam raporty na twój temat. On wynajął prywatnego detektywa, żeby cię odnaleźć.

- Po co? - spytałem zdziwiony. Chociaż w końcu się wyjaśniło, skąd miał mój telefon.

- Chciał mieć pewność, że nie będziesz się zbliżał do ojca - powiedziała najwyraźniej skrepowana. - Teraz wiem, dlaczego każdy weekend spędzał w Londynie. Myślałam, że znowu ma romans. Już się nauczyłam z tym żyć, ze względu na dzieci. Ale tym razem nie chodziło o kolejną kobietę. Simon terroryzował i nakłaniał ojca, żeby zmienić testament na jego korzyść.

To nie mieściło mi się w głowie. Testament owszem, ale skąd pomysł, że mógłbym szukać kontaktu z ojcem?! Jasne, Simon mierzył mnie własną miarą.

- Postanowiłam, że nic nie wezmę z tego spadku, Adam - ciągnęła Harriet. - Jeśli chcesz go podważyć, powiem prawdę. Dość mam jego kłamstw. Ale nie mogę go zostawić, nie mam dokąd pójść ani nie mam swoich pieniędzy! - Zaczęła płakać i zrobiło mi się jej strasznie żal. - Nie mogę go wyrzucić, on i tak nigdzie nie pójdzie. Wiesz, jaki potrafi być.

Wiem, wiem. Przed oczami przeleciały mi wspomnienia z dzieciństwa, jak mnie zastraszał i zmuszał do wykonywania swoich rozkazów.

- Może znajdzie się na to rada - powiedziałem.

- Serio?

Nie spodobała mi się ta nadzieja w jej głosie, nie lubiłem, kiedy ktoś wywierał na mnie presję - nieważne, w jaki sposób. Ale musiałem jej pomóc. Nie mogłem pozwolić, żeby Simon zrujnował jej życie, jak kiedyś ojciec próbował zrujnować moje.

- Gdyby się wyprowadził, mogłabym ściągnąć do domu Daisy. Ona strasznie cierpi.

- Nie martw się, coś wymyślę. - „Jeśli pożyję dość długo” - dodałem w myślach. - Zaufaj mi, Harriet.

Skinęła głową. Uśmiechnąłem się ciepło.

- Dobra, to gdzie go mogę znaleźć?

Dała mi adres i po kwadransie zatrzymałem się przed nowo wybudowanym ekskluzywnym centrum biznesowym na obrzeżach miasta. Zaparkowałem w miejscu dla gości, koło rangę rovera Simona i spojrzałem do góry na trzy piętrowy budynek z oszklonym frontem.

Drzwi wejściowe były zamknięte, więc nacisnąłem na dzwonek z boku. Po kilku sekundach atrakcyjna trzydziestoparoletnia kobieta wpuściła mnie do środka i zaprowadziła do wielkiego biura. Wewnątrz wyglądało równie szpanersko - wielkie przyciemniane okna, nowoczesne meble, pastelowe ściany i jaskrawa sztuka abstrakcyjna. Można się było domyślać, że na laboratorium też nie oszczędzano.

Simon spojrzał na mnie badawczo, kiedy wszedłem do jego gabinetu.

- Czego chcesz, Adam? Jestem bardzo zajęty. - Nie zadał sobie nawet trudu, żeby wstać albo zaproponować, żebym usiadł.

- Ładnie tu - powiedziałem, zajmując miejsce w skórzanym fotelu przed biurkiem. - Musiało sporo kosztować. - Rozejrzałem się po pomieszczeniu.

- Nie mam czasu na głupoty. - Patrzył na mnie wściekły.

Nie skomentowałem. Zacząłem się za to zastanawiać, jak daleko zaszli już z Faye.

- OK, miejmy to już za sobą - westchnął.

- Potrzebna mi twoja pomoc - oznajmiłem.

Najpierw spojrział na mnie zdziwiony, a po chwili spo-chmurniał.

- Jeśli chodzi o testament ojca...

- Nie. - Pokręciłem głową. - Możesz sobie wziąć te pieniądze, masz większe potrzeby.

Zerknął na mnie z niedowierzaniem.

- Musisz mieć mnóstwo rachunków do zapłacenia - ciągnąłem. - Pieniądze ojca powinny pomóc pozbyć się wierzycieli i pokryć chesne.

Uderzył ręką w biurko.

- Rozmawiałeś z Harriet! Nie jej...

- Jej, jej interes, Simon! - przerwałem mu rozjuszony.

- Ona jest twoją żoną, a może chwilowo wygodnie ci o tym nie pamiętać? Mnie gównie obchodzi, co kręcisz i z kim, nawet jeśli to Faye! - Wyraźnie zbiłem go tym z tropu - Możesz sobie robić ze swoim życiem, co ci się podoba. Jak załatwimy sprawę, zniknę ci z oczu raz na zawsze. Nie musimy się nigdy więcej widywać ani ze sobą rozmawiać, ale zanim się rozstaniemy, potrzebna mi twoja przysługa. Zdaje się, że jesteś mi coś winien. A może zacznę drążyć, po co odwiedzałeś ojca przez te ostatnie sześć miesięcy jego życia? Co takiego robiłeś w jego ga-

biniecie dzień po dniu, noc w noc, skoro żałosny sukinsyn cierpiał na demencję? Może to by nawet wystarczyło, żeby podważyć testament, a z pomocą Harriet...

- Nie odważyłaby się!

Już miałem go w garści.

- Może się okazać inaczej. A jeśli nie dopilnujesz, żeby była szczęśliwa, to przysięgam, przeciągnę cię po sądach tak, że ostatni pens z pieniędzy ojca pójdzie na adwokatów. Rozumiesz teraz, czy mam...

- Skończ! - burknął - O co ci chodzi?

- Laboratorium gdzieś na równinie Salisbury w lipcu 1994 i jakiś czas wcześniej. Chcę wiedzieć, kto je prowadził, i jeśli to możliwe, czym się zajmowali. Nie powinienś mieć z tym problemu.

Widziałem po jego minie, że nie tego się spodziewał.

- A skąd ja niby mam to wiedzieć?

- Użyj swoich rozległych kontaktów. Siedzisz w branży, to popytaj.

- Jaki to był projekt?

- Nie wiem, ale eksperymentowali z chemikaliami, które powodują raka.

- Chryste Panie! Nie prosisz o wiele!

- Chcę tylko nazwisko.

- To niemożliwe!

- To jest możliwe, Simon - odparłem cicho i spokojnie. - Ile może być laboratoriów na równinie Salisbury? Proponuję zacząć od sprawdzenia, czy ktoś z twoich znajomych pracował tam w bazie RAF-u.

Patrzył na mnie, jakbym całkiem zwariował.

- To będzie ściśle tajne!

- Ale ludzie i tak lubią gadać...

-

- Dobra. Na kiedy ci ta informacja potrzebna?
- Najpóźniej na poniedziałek.

Zaśmiał się głucho.

- Chyba żartujesz. To może mi zająć kilka tygodni!
- Nie mamy kilku tygodni, Simon, ani ty, ani ja. Ja mogę nawet nie mieć kilku dni...
- O czym ty mówisz?
- W związku z tą sprawą zginęli ludzie, a ja mogę być następny na liście, jeśli nie będę ostrożny. To powinno cię zresztą ucieszyć. A na wypadek, jakbyś chciał mnie wykiwać, napisałem oświadczenie, które zostawiłem Harriet - skłamałem na oczekaniu, ale może to nie był taki głupi pomysł.
- Odbiło ci?
- Lepiej zacznij dzwonić.

Wahał się, co zrobić.

- Jak nie dasz znać do poniedziałku - ciągnąłem - pojedę do Londynu i wynajmę najdroższego prawnika, jakiego znajdę. To nie żarty.

Uniósł brwi i wzdychając ciężko, podniósł słuchawkę.

- Jane, nie łącz już dzisiaj żadnych telefonów, chyba że od mojego brata, Adama. I nie życzę sobie, żeby mi przeszkadzano. Przynieś tylko termos z kawą.

Zatrzymałem się w małym rodzinnym hoteliku nad kanałem. Wiedziałem, że sporo wymagam od Simona, ale siedział w tym biznesie i znał mnóstwo ludzi z branży. Miałem nadzieję, że uda mu się czegoś dowiedzieć na poniedziałek, ale nie do końca w to wierzyłem. Sprawdziłem

telefon, Steve przysłał wiadomość. Nie chciałem jej zignorować, mógł mieć dla mnie coś nowego.

- Adam, w końcu! - wykrzyknął, kiedy oddzwoniłem.

- Gdzie jesteś?

- Kazałeś mi wyjechać - zauważyłem nieufnie.

- Tak, ale to było przed... - zaplątał się.

Zamarłem. Domyśliłem się, że mają na mnie nakaz aresztowania. Potwierdził to tylko w dalszych słowach.

- Jesteś poszukiwany w związku ze śmiercią niejakiego Rutlanda. Mamy twoje akta. Wynika z nich, że przeszedłeś załamanie nerwowe po śmierci Alison Lyde-way, siostry Bena Harrowa. Dlaczego, do diabła, mi nie powiedziałeś?

- Nie zabiłem Harrowa ani Rutlanda. On już nie żył. Skąd wiesz o aktach?

- Znów pracuję w Portsmouth. Potrzebowali więcej ludzi do tego morderstwa.

Nic nie mówiłem, ale w głowie kłębiły mi się różne myśli. Akurat teraz wezwali go z powrotem, przydzielili do tego śledztwa i powiedzieli o moich papierach?

- Co się dzieje, Adam?

- Dobrze wiesz.

Słyszałem, jak bierze długi oddech.

- Wróć i zgłoś się sam - poradził.

- Dlaczego? Przecież nic nie zrobiłem.

- Możemy dać ci ochronę.

- Możemy? Kto, Steve? Policja? Ochronę przed kim?

Przed wydziałem specjalnym? - Zastanowiło mnie, czy jeśli to faktycznie robota wydziału specjalnego, to czy oni w ogóle wiedzą, skąd przychodziły rozkazy. - Kazali ci do mnie zadzwonić, tak? Namierzają tę rozmowę?

-

- Zgłoś się, Adam. Wyjaśnijmy to wszystko.

Wyłączyłem komórkę i wymeldowałem się z hotelu.

Nie wiedziałem, gdzie by tu pojechać, żeby było bezpiecznie - prawdopodobnie takie miejsce już dla mnie nie istniało. Kazali Steve'owi do mnie zadzwonić. Wydział specjalny pojedzie do Simona i spytają go, czego chciałem. Powie im? Prawdopodobnie tak, to przecież najprostszy sposób, żeby mieć mnie z głowy. Ile może im zająć, zanim do niego dotrą? Zdążą, zanim mi powie, kto mógł prowadzić te badania?

Przejechałem przez most do Walii i znalazłem mały hotelik w Cardiff, gdzie spędziłem kolejną bezsenłą noc. Na drugi dzień rano zadzwoniłem z budki do Simona. Na razie nic, ale przynajmniej nie wyczułem, żeby miał wizytę policji albo wydziału specjalnego.

Żeby się trochę uspokoić, postanowiłem zrobić sobie mały spacer nad brzegiem zatoki. Sam nie wiem, kiedy zacząłem myśleć o Faye. Ciekawe, ile razy mnie zdradziła. Ile razy spała z kimś w tym mieszkaniu na Covent Garden? Nie kochałem jej, więc właściwie nie powinno mnie to już wzruszać. Więc może urażona męska ambicja? Nie, czułem tylko smutek, że się nam nie udało. Jeśli przez to wszystko przebrnę, pora skończyć tę fikcję...

Do poniedziałku utwierdziłem się w tym postanowieniu. Po spacerze zadzwoniłem do Simona z automatu po drugiej stronie ulicy.

- Wreszcie! Czekałem, aż zadzwonisz. Dlaczego wyłączyłeś komórkę?

- Masz nazwisko? - zdziwiłem się. A więc znalazł je szybciej, niż śmiałem marzyć.

- Gerry Drake.

-

- Gdzie go znajdę?
- Na cmentarzu w Devizes.
- Nie żyje?
- Nie, rzucił świat nauki i postanowił zostać grabarzem. Pewnie, że nie żyje! Zginął w pożarze.

Następny cholerny pożar! Umyślne podpalenie, jak u Jacka i Bywockyego, czy zwykły przypadek?

- W jakim pożarze?
- Skąd, do diabła, mam wiedzieć?! - wrzasnął. - Chyba spalił mu się dom. Co to ma za znaczenie?
- „Czy ma znaczenie? Ma, i to duże” - westchnąłem w duchu, a głośno spytałem:

- Kiedy?
- O co tu, do jasnej cholery, chodzi?
- Kiedy? - powtórzyłem.
- W 1995 - powiedział po krótkiej przerwie.

A więc miałem rację!

- Wiesz, z kim współpracował?
- Nie! Chciałeś nazwisko i dostałeś! To wszystko, co mogę zrobić.

Rozłączyłem się i zatrzymałem na moment, żeby zebrać myśli. Może rzucił mi byle jakie nazwisko, żeby mnie spławić? Żeby to sprawdzić, ruszyłem w stronę Devizes.

Dotarcie do małego targowego miasteczka w Wiltshire nie zajęło wiele czasu. Jakiś starszy człowiek wskazał mi drogę na cmentarz i okazało się, że to zaraz przy kanale. Ku mojemu zdziwieniu, choć miasteczko było małe, to cmentarz imponujący.

W biurze nikogo nie zastałem, więc nie miałem innego wyjścia, jak chodzić od grobu do grobu, aż znajdę ten właściwy. Było zimno i ponuro, a nagie drzewa nie dawały schronienia przed ostrym wiatrem. Przedzierałem się między zaniedbanymi, porzuconymi nagrobkami. Wreszcie po drugiej stronie, na skraju pagórkowatych pól znalazłem to, o co mi chodziło. Popatrzyłem na płytę z czarnego marmuru. Krótki, zupełnie zwyczajny napis: „Gerald Drake 5.5.1950 - 3.4.1995, ukochany ojciec i syn”. A nie mąż? Wdowiec czy rozwodnik? Na grobie leżały jeszcze świeże kwiaty. Kto taki nadal opłakiwał Geralda Drakea - matka czy ojciec? A może syn albo córka? W każdym razie ta osoba mogła mi coś powiedzieć o jego pracy i okolicznościach śmierci.

Spisałem daty i wróciłem do motoru. Już po dziesięciu minutach byłem przy rynku w małej redakcji „Wiltshire Gazette”. Dowiedziałem się, że jeśli potrzebny mi dostęp do archiwum, to muszę pojechać do Swindon. A czas uciekał!

Może prościej będzie wstąpić do biblioteki? W końcu udało mi się ją znaleźć i przekonać bibliotekarkę, żeby udostępniła mi mikrofilmy i archiwa lokalnej prasy.

Ledwie usadowiłem się do przeglądania nekrologów i raportów z 1995 roku, zaburczało mi w brzuchu. Uświadomiłem sobie, że już późne popołudnie, a ja nie miałem czasu nic zjeść. I nadal go nie mam. Muszę znaleźć kogoś, kto znał albo był spokrewniony z Drakiem. Kogoś, kto wie, co się stało w 1994.

Zacząłem poszukiwania od zawiadomień o śmierci - tym razem przynajmniej miałem datę. Było trochę kondolencji od krewnych, przyjaciół, kolegów z pracy.

Sumiennie zapisałem wszystkich, chociaż niewiele osób podawało swoje nazwiska. Odkryłem, że była jakaś „kochająca córka” i kilku kuzynów. Nie miałem adresów, ale przynajmniej część mogłem wziąć z książki telefonicznej, jeśli nie udałoby się w zakładzie pogrzebowym. Musiałem wracać do Devizes.

Traciłem cierpliwość i martwił mnie uciekający czas. Obracałem te mikrofilmy coraz szybciej, coraz bardziej się spiesząc. Dlatego o mało co nie przegapiłem najważniejszej informacji. „Śmierć naukowca w pożarze domu” - zdjęcie pogorzeliska, kilku strażaków i wozu, pod spodem dwie krótkie szpalty tekstu. Zacząłem zachłannie czytać:

Wybitny naukowiec, dr Gerald Drake (45 lat), zginął w pożarze. W poniedziałek we wczesnych godzinach porannych cztery wozy strażackie wyjechały do pożaru domu doktora Drakea, po tym jak mieszkający pół mili dalej sąsiad zauważył i zgłosił wydobywające się płomienie i dym. Po przeszukaniu strażacy odkryli w salonie ciało doktora. Datowana na początek osiemnastego wieku rezydencja została prawie doszczętnie zniszczona. W czasie pożaru nikt więcej nie przebywał w domu, chociaż jak ustalono, córka doktora przyjechała na weekend z uniwersytetu.

Dr Drake był wybitnym biochemikiem i członkiem Królewskiego Towarzystwa Chemicznego. Opublikował liczne prace naukowe i był znanym specjalistą w dziedzinie badań genetycznych. Policja nie wyklucza podpalenia

i związku ze sprawą obrońców praw zwierząt. Dr Drake był już w przeszłości obiektem ich ataków tuż po rewolucyjnym odkryciu białek zatykających naczynia w mózgu i powodujących demencję.

Dr Drake był rozwiedziony, osierocił córkę Joannę (22 lata).

Więc Simon musiał go znać całkiem dobrze - obydwoj byli ekspertami od genetyki. Można się było po nim spodziewać, że mnie przetrzyma, cholerny drań!

Szybko przewinąłem mikrofilm dalej, do relacji z pogrzebu. W słoneczny, ale wietrzny kwietniowy dzień fotograf zrobił zdjęcie ubranego na czarno, pogrążonego w smutku tłumu. W środku grupy stała sztywno wyprostowana młoda, szczupła dwudziestokilkuletnia kobieta. Smutne oczy, zrozpaczona mina, czarne spodnie, czarny zakiet i głęboko nasunięty na czoło kapelusz.

Od razu ją poznałem. W artykule nazywali ją co prawda Joannę Drake, ale mnie przedstawiła się jako Jody Piers.

Dostałem cios w samo serce. Dlaczego mnie okłamała?

Wyszedłem z biblioteki zdeorientowany. Musiałem zaczerpnąć powietrza. Potrzebowałem czasu, żeby to wszystko przemyśleć. Potrzebowałem przestrzeni. Zanim sobie to uświadomiłem, byłem już za Devizes. Zaczynało się ściemniać, deszcz smagał pustkowia, a widoczność malała z każdą chwilą. Jechałem, tylko w połowie skupiając się na drodze, resztę myśli zajmowało mi nowe odkrycie. Dlaczego nie powiedziała o swoim ojcu? Dlaczego

pozwołała, żebym błądził po omacku? Miała nadzieję, że dam sobie spokój, a jak się okazało, że nie mam takiego zamiaru, podsunęła mi nazwę statku. Nazwę, którą znała od początku! I niby niechący wynajęła mieszkanie tuż obok domu Jacka? Ciekawe, czy naprawdę była w Londynie w czasie jego pogrzebu, czy w tym czasie plądrowała jego dom, żeby odnaleźć dyskietki i pamiętnik? Ale dlaczego?

Może nie wiedziała, co jej ojciec robił w tym laboratorium i chciała się dowiedzieć?

Albo na odwrót - doskonale wiedziała i rozpaczliwie usiłowała zachować w tajemnicy, że doktor Drake eksportował rakotwórcze substancje? Skąd się dowiedziała o prywatnym śledztwie Jacka? Powiedział jej o swojej tajemnicy? To o nią mu chodziło! „Jego usta pełne są kłamstw” - tylko że miał na myśli „jej” usta!

Przypomniałem sobie pierwsze spotkanie z Jody -jak wystawiła głowę przez okno, żeby się przywitać. W dniu, kiedy odkryłem wiadomość od Jacka, akurat biegła po promenadzie. Potem była w dokach, kiedy rozmawiałem z Sandym Dittonem i wreszcie ten telefon tuż przed moim wyjazdem do Bath. Boże, jaki ja byłem głupi! Uczucia mnie zaślepiły. Specjalnie zbliżyła się do mnie, żeby wyciągnąć, ile wiem, a ja jej powiedziałem, że jadę do Simona! Ciarki przeszły mi po plecach. Do czego jest zdolna, żeby mnie powstrzymać?

Czym zajmował się Gerald Drake? Bronią chemiczną? Może chodziło o testowanie jakiegoś środka, który potem eksportowali nielegalnie za granicę i sprzedawali terrorystom? To dlatego była taka zdesperowana, żeby nikt nie odkrył prawdy.

Cholera, nawet Faye nie potrafiłaby tak mnie zranić!

Zmieniłem bieg i przyspieszyłem. Minałem bazę RAF-u w Upavon i dotarłem na równinę Salisbury. Nagle jak spod ziemi wyrósł za mną samochód. To nie był przypadek - zaczął mnie ścigać. Pędziliśmy ze sto sześćdziesiąt na godzinę, a co spojrzałem w lusterko, oślepiły mnie długie światła tamtego wozu. Machałem ręką, żeby je wyłączył, ale nic z tego. Zwolniłem w nadziei, że ten idiota mnie wyprzedzi, ale nie, trzymał się z tyłu. Poczuliem pierwszą falę strachu. Mrugnął na mnie światłami. Może to policja? Namierzyli mnie?

Światła migwały raz za razem. Dawał mi znaki, żebym się zatrzymał, ale nic nie wskazywało, żeby to był wóz policyjny, a nie miałem najmniejszego zamiaru, żeby ktoś mnie rano znalazł martwego na poboczu. Mogłem go zgubić, a nie byłem przecież bez szans - motor jest szybszy i zwrotniejszy niż samochód. Jednak dokładnie w momencie, kiedy postanowiłem uciekać, zza górki wynurzyła się ciężarówka i gnała z naprzeciwka pełnym gazem, oślepiła mnie światłami i trąbiła. Tymczasem samochód zajechał mnie z boku. Nie pozostało mi nic innego, jak nacisnąć hamulec, skręcając jednocześnie na pobocze.

Ścigający mnie wóz minął motor dosłownie o centymetry, a ciężarówka pognęła dalej z ryczącym klaksonem. Koła mi zabuksowały na miękkim poboczu. Przejechałem jeszcze jakiś kawałek po trawie, zanim poczułem, jak wylatuję w powietrze i uderzam o ziemię.

ROZDZIAŁ 16

Gdy się obudziłem, było ciemno, choć oko wykol. Padał deszcz, a głowa bolała mnie tak, jakby za chwilę miała eksplodować. Byłem obolały, ale cały. Z wysiłkiem, stękając, podniosłem się i zdjąłem kask. Deszcz chlusnął mi w twarz. Zmarznięty i przemoczony nie wiedziałem, gdzie jestem.

Zrobiłem parę chwiejnych kroków, ale zakreśliło mi się w głowie i ponownie upadłem na kolana. Po paru sekundach wziąłem głęboki oddech i spróbowałem jeszcze raz. Udało się. Chyba miałem dość bycia celem. A zanim tamci uderzą znowu, miałem jeszcze coś do zrobienia.

Próbowałem dostrzec w ciemności cokolwiek, choćby gdzie jest szosa. Nie mogłem ryzykować błędzenia po omacku, noc była zimna i to mogłoby się naprawdę źle dla mnie skończyć. Najlepiej byłoby poczekać na przejeżdżający samochód, którego światła odpowiedzą mi właściwy kierunek. Nie było to łatwe przy silnym wietrze i obolałej głowie. Jednak po paru minutach błąkania się w ciemności zobaczyłem w oddali reflektory. Więc to tam jest szosa! Z ulgą odkryłem, że dzieli mnie od niej zaledwie pół mili. Teraz musiałem złapać stopa. Minęło mnie kilka samochodów, zanim jakaś

ciężarówka zjechała w końcu na pobocze, a ja, sycząc z bólu, władowałem się do środka.

Kierowca jechał do portu promowego w Portsmouth. Dobrze się złożyło, bo miałem do pogadania z Jody. Kiedy wysiadłem, złapałem taksówkę do przystani, gdzie wzięłem prysznic i przebrałem się w suche ubrania. Potem sięgnąłem po komórkę.

- Adam, wreszcie! - Jody odebrała od razu. – Gdzieś ty się podziewał? Martwiłam się o ciebie!

No jasne, że się martwiła! Choć pewnie bardziej tym, że ciągle jeszcze żyję. Może to nawet ona prowadziła tamten samochód.

- Możesz się ze mną zobaczyć? - zapytałem, ze wszystkich sił zachowując obojętny ton.

Wyglądało na to, że się nie zorientowała.

- Oczywiście, powiedz tylko gdzie.

- Przystań Northney na wyspie Hayling. Przed biurem za jakieś dwadzieścia minut?

Dotarłem tam pierwszy. Krążyłem kilka minut przed wejściem do budynku, gdy wreszcie zobaczyłem mały samochód Jody. Byliśmy sami, i bardzo dobrze.

- Przejdźmy się. - Wzięłem ją za łokieć i ruszyliśmy w stronę warsztatu skutniczego.

Przestało padać, Jody nic nie mówiła.

- Pewnie dziwisz się, że jeszcze żyję – powiedziałem z goryczą.

- Adamie, co ty mówisz?

Obróciłem się na pięcie.

- Tak jakbyś nie wiedziała. Słuchaj, nie udało wam się, ja nadal żyję.

- O czym ty mówisz? Czy ktoś próbował cię zabić? - wyglądała na przerażoną.

- Czy to ty prowadziłaś tamten samochód? - Zaśmiałem jej się prosto w twarz.

- Adamie, proszę cię, nic z tego nie rozumiem.

- Dobra, dobra, Jody! To już koniec. Wiem, kim jesteś. Czy dobrze znasz mojego brata? Dzwonił do ciebie i powiedział, że przekazał mi nazwisko twojego ojca? - Gapiła się na mnie zdezorientowana, a ja ciągnąłem dalej: - Sama zabiłaś Jacka czy potrzebowałaś pomocy? Czy pieprzysz się tylko z Brookfieldem, czy z moim bratem też? Czy to Brookfield ci powiedział, że Jack zamienił się wtedy z Ianem? A ty, wiedząc, że mam zamiar przejrzeć raporty pożarowe, podpowiedziałaś mu tę historyjkę o komputeryzacji?

W blasku przyćmionych świateł przystani widziałem jej zdumioną twarz. Była prawie tak dobrą aktorką jak Faye.

- Wiem o twoim ojcu - dorzuciłem.

Widziałem, jak zeszywniała. Miałem chęć mocno nią potrząsnąć i wiele mnie kosztowało, by się powstrzymać.

- Czy twój ojciec był zdrajcą? Czy dlatego prawda nie mogła wyjść na jaw?

Przez jej twarz przebiegł grymas bólu, który zaraz zmienił się w złość.

- Mój ojciec nie był zdrajcą! - wybuchła. - A ja nie jestem ani morderczynią, ani dziwką! Nie znam twojego brata i nigdy nie spotkałam żadnego Brookfielda.

Czyżbym się mylił? Jak to możliwe, przecież wszystko idealnie pasowało! Nie, nie oszuka mnie po raz kolejny.

- Ilu jeszcze ludzi ma zginąć przez twoje kłamstwa?!
- krzyknąłem.

- Ja nie chciałam...

- Czy miałaś coś wspólnego ze śmiercią Jacka? - Złapałem ją mocno za ramiona.

- Nie myślisz chyba...

- Przyznaj się!

- Nie! Ty chcesz wiedzieć, dlaczego twój przyjaciel zginął w pożarze, a ja chcę wiedzieć, dlaczego mojego ojca spotkał ten sam los. Pięć lat zajęły mi poszukiwania i nadal nie znam nazwiska tego bandyty, który go zabił. Miałam nadzieję, że najpierw Jack, a teraz ty będziecie mieli więcej szczęścia ode mnie.

Patrzyłem na nią dłuższą chwilę, a ona nie odwróciła wzroku. W końcu ją puściłem, co nie znaczy, że mnie przekonała.

- Co to za badania prowadził twój ojciec? - warknąłem.

- Nie mam pojęcia. Próbowałam się dowiedzieć, rozpytywałam wśród znajomych, współpracowników... Rozmawiałam z jego przyjaciółmi i z naszymi krewnymi. Wszystko, czego się dowiedziałam, to że był zaangażowany w różne przedsięwzięcia finansowane częściowo przez ministerstwo zdrowia, a częściowo przez organizację dobroczynną na rzecz rozwoju medycyny. Okazało się, że ona ma związek z Portsmouth. Przyjechałam tu i poznałam Jacka.

- Jak go poznałaś? - Nadal jej nie ufałem.

- Zupełnie przypadkiem, naprawdę. Kiedy odkryłam, że mój ojciec kiedyś pracował w Portsmouth, załatwiłam sobie pracę badawczą w porcie. Poznałam Jacka, kiedy

-

miał ćwiczenia w dokach. Zaczęliśmy rozmawiać. Mieszkałam wtedy w małym hoteliku, ale chciałam znaleźć coś tańszego, a on powiedział, że jego sąsiadka szuka lokatora.

- Kiedy to było?

- Na początku października. - Odwróciła wzrok. Wiedziałem, że kłamię. - Ktoś, kto pracował z moim ojcem, zabił zarówno jego, jak i Jacka. Tylko on może nam powiedzieć, co naprawdę działo się w tym laboratorium, a ja mam zamiar go dopaść.

Odwróciłem się i ruszyłem w stronę przystani. Jody szła za mną. Nadal zbyt wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi. Mógłbym ją przycisnąć, ale wiedziałem, że znów usłyszę stek kłamstw.

- Adam, co teraz zamierzasz?

Nie miałem zamiaru odpowiadać, szedłem dalej. Nagle zatrzymałem się, bo przez okno dostrzegłem w biurze dwóch mężczyzn. Rozmawiali z dyżurnym i nie wyglądali jak żeglarze.

Musiałem działać szybko. Złapałem Jody za ramię i razem z nią odskoczyłem do tyłu.

- Byłaś śledzona.

- Nikogo nie widziałam.

Gwałtownie obróciłem jej twarz w stronę swojej.

- Chcesz, żebym odkrył, kto pracował z twoim ojcem? - wycedziłem.

- Tak.

- Więc rób, co każę. Wróć do swojego samochodu i podjedź pod hotel. Potem wysiądź, ale nie wyłączaj silnika.

- No ale co...

-

- Żadnych pytań! - warknąłem.

Zastanawiała się przez ułamek sekundy, wreszcie skinęła głową.

Obserwowałem, jak idzie w kierunku parkingu. Czy zrobi, co mówiłem? Ci dwaj w biurze nie odwrócili się. Usłyszałem, jak Jody uruchamia silnik. Wtedy przebiegłem przez warsztat do drugiego wejścia prowadzącego prosto do hotelu. Małe autko zatrzymało się, Jody wysiadła, tak jak chciałem.

W jednej chwili wskoczyłem za kierownicę jej samochodu.

- Odezwę się - rzuciłem.

Naciskając pedał gazu, widziałem w lusterku wstecznym zdziwioną twarz Jody. I tylko tyle. Nikt za mną nie jechał.

Niedaleko za Petersfield zjechałem na stację benzynową, zgasilem światła i odczekałem chwilę. Dalej nic, więc poszedłem coś zjeść. Siedziałem nad kanapką z bekonem i gapiąc się w filiżankę kawy, próbowałem poskładać całą tę układankę. Parujące wewnątrz kafejki wypełniały dźwięki tandetnych kolęd. Nie wierzyłem w bajeczkę o tym, że Jody poznała Jacka przypadkowo. Nie wierzyłem w nic, co powiedziała. Ciekawe, jakie miała teraz zamiary i czy już zawiadomiła współników, że poruszam się jej samochodem. Na szczęście nie wiedziała, dokąd jadę.

A ci dwaj faceci w biurze przystani? Przypuszczałem, że są z wydziału specjalnego. Niewykluczone, że śledzili Jody. Czy będą ją przesłuchiwać? Może już to zrobili. A może sama ich tam wezwała po moim telefonie? To miałyby sens, gdyby nie chciała, żebym odkrył prawdę o jej

ojcu. Ale czy nie bałaby się, że zaczną gadać naokoło o badaniach Drakea? Nie, to bez sensu, ci z wydziału specjalnego z łatwością zrobiliby ze mnie wariata. Jody nie musieli uciszać, bo w sprawie jej ojca grali po tej samej stronie. A ten niezna-ny współpracownik Drakea? Kim był, a może w ogóle nie istniał?

Skończyłem kawę, kanapki nawet nie tknąłem i rozejrzałem się jeszcze raz po kawiarni. Automat wisiał pomiędzy drzwiami ubikacji, ale nikt się tam nie kręcił. Poszedłem zadzwonić do Simona. Odebrała Harriet.

- Nie ma go, Adamie. Powiedział, że jedzie do Londynu zająć się sprawami waszego ojca.

Słyszałem rezerwę w jej głosie, widać już się jej dostało za to, że wydała mi tajemnicę długów męża.

- A zatem zatrzyma się w domu po ojcu?

- Przypuszczalnie. Może nie być sam - dodała.

Faye? A co za różnica.

- Zadzwoń później - powiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Parking na stacji był prawie pusty. Więc łatwo za-uważyłem samochód, który zatrzymał się tuż przy aucie Jody. Zwolniłem kroku, widząc, że w środku siedzieli ci dwaj, których widziałem w biurze przystani. W jaki sposób mnie znaleźli? Przecież nie powiedziałem nikomu, dokąd jadę. A może samochód Jody miał zamontowaną pluskwę. Zastana-wiałem się, czy ona o tym wiedziała.

Poklepałem się po kieszeniach, jakbym czegoś zapomniał, odwróciłem na pięcie i szybko wróciłem do kafejki. Udając, że szukam czegoś przy stoliku, spojrzałem przez okno. W wozie siedział już tylko jeden.

Z kafejki poszedłem w stronę męskich toalet stojących nieco dalej, za stacją. Tuż przed nimi skręciłem w lewo, spoglądając przez ramię, czy nikt za mną nie idzie. Szczęście mi sprzyjało, bo akurat zobaczyłem jakiegoś kierowcę wsiadającego do swojej ciężarówki. Podeszedłem szybko i zapytałem, czy może mnie podwieźć.

- A dokąd chcesz pan jechać? - mruknął z jedną nogą na stopniach.

- Do Londynu.

- To masz pan szczęście, wskakuj pan.

Wysadził mnie w pobliżu Embankment, skąd szybko dojechałem metrem do dworca Victoria. Do domu starego było już stąd dwa kroki. Przycisnąłem dzwonek i trzymałem tak długo, aż w holu zapaliło się światło.

- Co ty, do kurwy nędzy, sobie wyobrażasz?! - rzucił z wściekłością Simon, widząc mnie na progu.

- Sądziłem raczej, że to moja kwestia. - Pchnąłem drzwi. - Możesz powiedzieć Faye, żeby zesłała. Czy wolisz, żebym sam poszedł na górę? - zapytałem, stawiając nogę na pierwszym schodku.

Dopiero teraz przyjrzałem się Simonowi. Z pewnością ubierał się w pośpiechu - koszula wystawała ze spodni, nie miał krawata ani nawet skarpetek. Przez chwilę zastanawiał się, czy iść w zaparte, ale w końcu wzruszył ramionami i krzyknął: - Faye, to twój mąż!

Tak jakby nie wiedziała. Przecież przed otwarciem drzwi z pewnością wyglądali przez okno. Stałem jak wmurowany. Zastanawiałem się, co tak naprawdę poczuje

na widok mojej żony. Minęło parę sekund, nim pojawiła się u szczytu schodów, rzucając mi wściekłe spojrzenie.

- Co, u diabła, tutaj robisz? - syknęła.

Trochę zaskoczyła mnie aż taką bezczelnością.

- Czy to nie ja powinienem tak zapytać?

Podniosła swoje starannie wyskubane brwi. Miała nawet czas odmalować usta.

- Nie wiem, o co ci chodzi. Przyszłam pomóc Simonowi posortować rzeczy twojego ojca.

O, to było dobre! Jeszcze trochę, a bym uwierzył i przeprosił. Widziałem stalowy, egoistyczny błysk w jej oczach, surowo zaciśnięte usta oraz to jej nachylenie podbródka, które już dawno temu powinno mnie ostrzec, że Faye zawsze dostaje to, czego chce.

- Bez takich bajeczek, nie tym razem. Nie interesuje mnie, z kim się pieprzyłaś, włączając w to mojego brata.

Patrzyła na mnie przez moment, rozważając, jak się wywinąć. Prosta odmowa czy znowu jakieś kręcenie? Chyba jednak prawda, bo kiedy schodziła ze schodów, miałem wrażenie, że dostrzegam ulgę na jej twarzy. Precisnęła się obok mnie i poszła do kuchni, gdzie Simon siedział przy stole przed butelką whisky i szklanką. Spojrzał na nas i pociągnął łyk.

- Nie masz podstaw, żeby być tak cholernie uczciwy, Adamie - powiedziała Faye. - Zdajesz sobie sprawę, że policja była u mnie w pracy? Naraziłeś moją karierę.

- Wątpię.

- Jesteś poszukiwany za morderstwo, na miłość boską!

Podeszła do Simona i naląła sobie szklankę. Mnie jakoś nie zaproponowali. Mój brat patrzył na mnie z dziwnym

wyrazem twarzy - najwyraźniej czuł się tak, jakbym po raz pierwszy w życiu przyłapał go na jakiejś niedoskonałości. Chętna Faye na pewno była dla niego nieodpartą pokusą, ale teraz rozumiał, że może z tego wyniknąć więcej kłopotów, niż była warta.

- Simon opowiedział mi o Alison. - Moja żona wzdrygnęła się tak pokazowo, że zachciało mi się śmiać. To ją tylko sprowokowało. - To nic zabawnego! Boże, gdybym wiedziała, że przez te wszystkie lata żyłam z szaleńcem i prawdopodobnie mordercą!

- Na szczęście akurat ciebie nie mam ochoty nawet zabić. - Rozkoszowałem się swoją nonszalancką pozą, do której parę tygodni temu na pewno nie byłbym zdolny.

Simon też podniósł głowę, nie dowierzając.

- Nie martw się, Faye, dam ci rozwód - ciągnąłem. - A jeśli Harriet odejdzie od Simona, to wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia. Pasujecie do siebie jak mało kto.

- Czego chcesz, Adam? - przerwał ostro Simon.

- Chcę, żeby ona wyszła.

- Lepiej idź, Faye - powiedział, gapiąc się na nią.

- Nie pójdę - warknęła wściekle.

- Na rany Chrystusa, idź stąd! - wykrzyknął mój brat.

Faye poczerwieniała. Jej oczy biegały ode mnie do Simona, wreszcie zdała sobie sprawę, że to wcale nie o nią toczy się gra między nami. I to ją zdenerwowało najbardziej.

- A pieprzcie się obaj! Z tobą, Adam, skontaktują się moi prawnicy. Możesz zabrać swoje rzeczy z domu, wliczając w to tego pieprzonego kota i nie kłopotz się z wizytą

u moich rodziców na święta. - Wybiegła wzburzona.

Gdybym nie miał innych zmartwień, chyba bym wiatował.

Ani Simon, ani ja nie powiedzieliśmy nawet słowa, zanim nie usłyszeliśmy trzasku drzwi frontowych parę chwil później.

- OK, chcę wiedzieć, kto pracował z Drakiem - zażądałem.

- O co chodzi z tym całym Drakiem? - wykrztusił ze znużeniem Simon. - Co się dzieje, Adam? Policja jeszcze mnie nie przesłuchiwała, ale na pewno to zrobią. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby mój brat zrobił furorę w niedzielnym wydaniu gazet poszukiwany za morderstwo. Już straciłem ten interes z Amerykanami, ale mam na oku coś innego. I nie pozwolę, żebyś mi to spieprzył.

- Powiedz mi tylko, z kim pracował Drake.

- Nie wiem.

Wstałem.

- Dobra, więc rób, jak chcesz, ale jeśli złapie mnie policja, będę bardzo rozmowny. Powiem im, że wcale nie uważam, aby ojciec sam spadł ze schodów. Popchnąłeś go.

Simon zsiniał.

- Akurat ci uwierzą! - Próbował wyśmiać mój blef, ale widziałem, że jest zdenerwowany.

- Nie? A kto wynajął prywatnego detektywa, który miał sprawdzić, czy będę trzymał się z dala? Kto wszystko dziedziaczy? Kto spędzał z ojcem całe dni przed jego śmiercią? No i który z nas ma długi?

Poderwał się z krzesła i zaczął chodzić po kuchni.

Dopiero teraz tak do końca zrozumiałem, że trafiłem moimi podejrzeniami w dziesiątkę. Cholera, dlaczego całe życie otaczały mnie niemal wyłącznie potwory?! Nie sądziłem, że mój własny brat może posunąć się aż tak daleko, nawet dla dużych pieniędzy.

- Był stary, chory i zdezorientowany. Po prostu upadł.

- Dla ciebie to wygodna wersja. Naprawdę byłeś na spotkaniach w Bath tamtego ranka? Bo wiesz, to da się sprawdzić. Tylko pomyśl, co z tego zrobiłaby prasa. Jest też Faye. Mój brat pieprzył moją żonę. Brukowce to uwielbiają.

Słyszałem ciężki oddech odwróconego plecami Simona, z holu dobiegało tykanie zegara dziadka.

- Kto podał ci nazwisko Drakea? - spytałem cicho.

- A co to ma za znaczenie?! - Simon odwrócił się gwałtownie. - Poprosiłeś, żebym je znalazł, to znalazłem.

- Ale kto ci powiedział? - nalegałem.

- Zwariowałeś! Tylko czemu akurat na punkcie tej sprawy?

- Simon... - zawiesiłem głos.

Wrócił do stołu i nalał sobie kolejną szklankę.

- Tim Davenham - powiedział w końcu.

Teraz to mnie zatkało. Ten wysoki, przystojny facet, którego poznałem po pogrzebie ojca? Mój mózg znowu zaczął układać puzzle. To Davenham musiał zabrać moje akta ze schowka w motocyklu. To on musiał być współpracownikiem ojca Jody w tamtym laboratorium. Podał Simonowi nazwisko Drake'a i zrobił mnie tak, żeby być o krok przede mną, kiedy pojechałem do Devizes. I to on próbował mnie zabić na

Salisbury. Jody i Davenham chcieli mieć pewność, że tajny projekt badawczy wciąż pozostanie tajny. Zacisnąłem pięści.

- Dlaczego zwróciłeś się akurat do Davenhama?

- To był szczęśliwy przypadek, naprawdę. Zadzwonił do mnie w niedzielę. Chciał zainwestować w jeden z moich projektów, zresztą omówiliśmy to już wstępnie na pogrzebie ojca. Powiedziałem mu, że chcesz się co nieco dowiedzieć o tym laboratorium na Salisbury.

O tak, jaki szczęśliwy przypadek! Jeżeli chciałem udowodnić, że Jody pracuje z Davenhamem, to było właśnie to, na co czekałem. Co prawda nie wyjaśniało obecności tych facetów z przystani ani pluskwy w jej samochodzie, ale tłumaczyło wystarczająco dużo. Miałem już większość odpowiedzi.

- Adres Davenhama! - zażądałem.

Simon sączył swoją whisky.

- Potrzebny mi natychmiast - rzuciłem stanowczo.

Gapił się na mnie jeszcze przez moment, a potem ze wzruszeniem ramion sięgnął po kartkę i długopis.

ROZDZIAŁ 17

Nie padało już, gdy dojechałem do Mayfair do domu Davenhama, ale wiatr wzmógł się bardzo.

Zbliżał się koniec nie tylko tej gry, ale także ~ w co nie wątpię - takiego życia, jakie prowadziłem do tej pory. Po tym wszystkim trudno będzie ot tak wrócić do pracowni i malować morskie widoczki. Wkrótce dowiem się wszystkiego i - jak cichutki głosik mówił mi w środku - będę trupem tak jak Jack.

Przycisnąłem dzwonek i czekałem z sercem tłukącym się o żebra. Nie był to strach, a raczej wyczekiwanie. Już nie odczuwałem ataków paniki jak na początku. Wściekłość uczy odwagi albo rozwija głupotę - zależy jak na to patrzeć.

Otworzyły się drzwi i zobaczyłem Davenhama z tym jego przyklejonym uśmiechem.

- Proszę bardzo, panie Adamie, proszę wejść. Spodziewałem się pana. - Jego głos był gładki jak jedwab.

Miałem wielką chęć mu przywalić, jednak się powstrzymałem. Na to będzie czas, kiedy odpowie na moje pytania. Zaprosił mnie do przestronnego i ekstrawagancko umeblowanego salonu.

- Muszę stwierdzić, że jest pan bardzo uparty - powiedział. - Lepiej byłoby, gdyby dał pan sobie spokój.

Powinienem być się przestraszyć, ale nic takiego nie czułem. To był koniec sprawy, czas na prawdę i ulgę, obojętnie, co by to miało oznaczać. Obiecałem sobie, że wszystko jedno, co się stanie, zrobię coś, co Davenhama boli jak diabli.

- Jesteś odpowiedzialny za śmierć wielu ludzi, za śmierć strażaków, którzy zachorowali na raka, w tym również za śmierć Jacka.

- Może faktycznie będzie nam łatwiej rozmawiać, jeśli przejdziemy na ty - zauważył. - Ale co do mnie, nikt nie zabiłem.

Już prawie leciałem z pięścią do jego wyszczerzonych zębów.

- Może byś zdjął swoją cieknącą kurtkę - zaproponował grzecznie. - Nie sędzę, żeby ci była jeszcze kiedyś potrzebna, a ten parkiet sporo kosztował i jeszcze mi się przyda.

Zignorowałem to. Wzruszył ramionami i wskazał mi miejsce na kanapie. Sam usiadł po drugiej stronie stolika. Zakładając nogę na nogę, podciągnął nienagannie skrojone szare spodnie.

Dalej nad nim stałem gotowy rzucić się na niego w każdej chwili. Byłem silniejszy i młodszy od niego. Jednak czy był w domu sam? Gdybym się na niego rzucił, ktoś mógłby zająć mnie z tyłu, obezwładnić, potem zadzwonić po policję... Jakie miałem szanse? Nikt nie uwierzy człowiekowi poszukiwanemu za morderstwo. Nastawiłem ucha, czy nie usłyszę czyichś cichych kroków, ale nie dobiegło mnie nic oprócz tykania zegara.

- Jeśli mówisz o morderstwie - odezwał się Davenham - to raczej ciebie szuka policja.

- Zabrałeś moje dokumenty ze skrytki w motocyklu, kiedy wróciłem pożegnać się z Faye.

- Jasne.

- I próbowałaś zepchnąć mnie z drogi tym mercedesem.

- Zwykle nie robię takich rzeczy, ale pomyślałem, że to nieźła zabawa. Poza tym nie sądziłem, że będziesz wracał do domu tak wolno.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć? - Zaraz sam sobie odpowiedziałem: - Oczywiście, Simon ci powiedział. Ale nie mogłeś mnie wyprzedzić na tej dwupasmówce.

- Nie, to nie Simon mi powiedział. Byłeś śledzony nie tylko przez tego chłopaka, Bena, ale również przez wydział specjalny.

- Z powodu Jacka?

- Tak, on też nie chciał odpuścić.

- A skąd ty wiesz, że wydział specjalny mnie śledził?

- Ode mnie. - Z jadalni wyszedł wysoki, chuderlawy mężczyzna.

Zatkało mnie. Zobaczyłem Petea Motcombe z Czerwonego Patrolu. „Jego usta pełne są kłamstw”... Więc to o niego chodziło Jackowi! Mój mózg pracował na podwyższonych obrotach, przewijając wstecz rozmowy, które przeprowadziłem z tym chudzielcem.

- To ty zaaranżowałaś zamianę między Jackiem a Ianem. Chciałeś mieć pewność, że to Jack pierwszy wlezie w ten ogień. - W tym momencie mnie zmroziło, Ian? Co z nim? Przepadł. - Ty bandyto! - warknąłem.

Rzuciłem się na Motcombe'a i złapałem go za gardło, ale w tym momencie silny cios wyładował na mojej głowie. Upadłem na podłogę. Dostałem kopniaka w brzuch i ból prawie odebrał mi świadomość. Coś mówili między sobą, wlokąc mnie na krzesło, ale nie rozumiałem co.

- Adam, dosyć tego bohaterstwa - dobiegł mnie wreszcie oschły głos Davenhama.

Z pulsującym łbem i przewracającym się żołądkiem niewiele mogłem zrobić. Jednak myślałem zupełnie jasno, co mnie samego nieco zdziwiło. Głupotą było rzucać się na Motcombe'a. Jeśli chciałem z tego wyjść żywy, musiałem zacząć grać z nimi inaczej. Musiałem zyskać na czasie, a poza tym chciałem poznać wreszcie prawdę.

- A ty? - zapytałem chudzielca. - W jaki sposób dostałeś się do straży pożarnej?

- Przenieśli mnie z Londynu. Taka była oficjalna wersja. Wszyscy ją łyknęli, łącznie z tobą.

- Zaraz, zaraz, ale nie rozumiem. Jeśli jesteś z wydziału specjalnego, to dlaczego pomagasz temu mordercy?

Davenham wybuchnął śmiechem.

- Powiedzmy, że prowadzimy wspólne interesy.

Teraz już wszystko było jasne.

- Pracujesz na dwóch etatach. W policji i u niego - wskazałem głową Davenhama. Pożałowałem, bo poczułem w niej ostry ból.

- Mówiłem ci, że to spryciarz - mruknął Motcombe pod moim adresem.

- Wydział specjalny wsadził cię do Czerwonego Patrolu - ciągnąłem - kiedy Jack zaczął interesować się tym pożarem i zgonami kolegów. Skąd wiedziałeś, czym się zajmuje? Kto ci

-

powiedział? - Oczywiście Jody, wiedziałem to aż za dobrze, ale im dłużej trwała ta rozmowa, tym większe miałem szanse wyjść z tego cało.

- Ta wiedza do niczego ci nie jest potrzebna - palnął chudzielec.

Na szczęście dla mnie Davenham był bardziej próżny.

- Nie zaszkodzi go oświecić, przecież i tak nikomu nie powtórzy. - Zaśmiał się.

- Jak sobie chcesz.

Davenham wstał i poszedł po drinka. Rzuciłem spojrzenie na Motcombe'a, ale ten natychmiast się domyślił, co mi chodzi po głowie.

- Mało ci? Powtórzyć?

Wolno pokręciłem głową.

- Napijesz się, Adam? - Davenham wrócił ze szklaneczką. - Takiego ostatniego rozchodniaczka?

- Czemu nie.

- Byłoby ci wygodniej, gdybyś zdjął w końcu tę kurtkę.

Z ociąganiem wstałem i rozpiąłem zamek. Czy gdybym rzucił kurtkę w twarz Motcombe'a, dałoby mi to szansę ucieczki? Jednak ten ani na chwilę nie spuszczał ze mnie oczu, a kiedy Davenham wręczył mi drinka, wyjął z kieszeni pistolet.

- No dobra, to kto wam powiedział, czym zajmował się Jack?

Oczekiwałem, że powie: „Jody”, ale znowu spotkało mnie zaskoczenie.

- Bransbury, nasz pan minister środowiska.

No tak, teraz wszystko było jeszcze bardziej oczywiste.

Wyjaśnienia przejął Motcombe:

- Telefon ministra był na podsłuchu. Zmienił barwy, przeszedł do innej partii, mógł to zrobić ponownie. Słaby charakter, łatwo go było poddać szantażowi. A do tego gej.

Davenham musiał dostrzec moje zdziwienie, bo powiedział:

- Nikt nie wie, nawet jego żona.

Coś zastanawiającego było w jego głosie. Czyżby wiedział to z pierwszej ręki? Był kochankiem Bransburryego?!

- Zaraz po tym, jak twój przyjaciel Jack złożył wizytę Bywocky emu, zadzwonił do mnie Rutland - ciągnął. -No bo się pewnie domyślasz, że pierwszym, co zrobił Bywocky, było ostrzeżenie dawnego kapitana. Nie co dzień jakiś Jack Bartholomew odwiedza obcego faceta w domu starców i rozpytuje o jakiś ładunek przewożony w 1994 roku. Musiałem dać znać Williamowi, bo przecież minister środowiska nie mógł być zamieszany w przemyt, i to w dodatku substancji groźnych dla środowiska! A tym bardziej jego osoba nie mogła być łączona ze śmiercią jakichś strażaków. Wyobrażasz sobie, jaki to byłby skandal?

- A więc w tym miejscu zaczęła się twoja rola, Motcombe. Miałeś wyciszyć sprawę.

- Miałem nie dopuścić do upadku rządu. Bartholomew doprowadził mnie do Bywocky ego, a Bywocky do Rutlanda. Szybko go przekonałem, żeby wyśpiewał, kto mu zapłacił za tamten ładunek.

- I pomyślałeś, że co ci szkodzi trochę ukręcić dla siebie, tak?

-

- Posłuchaj, Greene, ja jestem bogatym człowiekiem, a każdy ma cenę, nawet twój brat - rzucił Davenham.

Ile czasu zajęłoby mi dopadnięcie Motcombe'a i wy-rwanie mu broni?

- Co zawierał ten ładunek? - zapytałem krótko. - Możecie mi chyba powiedzieć, zanim mnie zabijecie. - Przez chwilę pomyślałem o Simonie i Davenham jakimś cudem się tego domyślił.

- Nie liczyłbym na to, że twój brat przyjdzie ci z od-sieczą. Tak jak powiedziałem, każdy ma swoją cenę. A jeśli nie zainwestuję w jego firmę, Simon będzie ban-krutem. Tak że bądź pewien, prędzej sam cię zabije, niż zrobi coś wbrew mnie. - Faktycznie, tego akurat byłem pewien. - Dla niego, jak wiesz, liczy się tylko sukces. Będziemy kontynuować współpracę, aż wprowadzimy produkt na rynek.

- A ten ładunek? - pociągnąłem go za język. - Po-chodził z Salisbury?

- Tak - odpowiedział Davenham. - Poszukiwaliśmy nowego leku powstrzymującego proces starzenia. Jak się pewnie domyślasz, przedsięwzięcie było utrzymywane w najwyższej tajemnicy. Utrzymanie jej przyszło nam tym łatwiej, że to był projekt rządowy. William pomógł mi zdobyć fundusze, jeszcze kiedy był torysem. Przeko-nałem go o potrzebie wynalezienia leku, który przedłu-żałby sprawność fizyczną i zdrowie. Pracowaliśmy z en-zymem o nazwie telomeraza. Został odkryty w 1984, jest produkowany między innymi przez komórki rakowe wie-lu odmian nowotworów.

- Nie do końca rozumiem - wymamrotałem. Davenham uśmiechnął się protekcjonalnie.

W latach siedemdziesiątych odkryto, że końcówki naszych chromosomów mają takie małe, jakby je nazwać, czapeczki, które powstrzymują strzępienie się chromosomów. Jeśli te czapeczki spadną, chromosomy zaczynają się ze sobą sklejać i w końcu komórka umiera. Im więcej komórek umiera, tym szybciej się starzejemy. W normalnej komórce te czapeczki znikają stopniowo, chromosomy stają się coraz krótsze i w końcu komórka popełnia samobójstwo. Tak się starzejemy.

- A więc jeśli dostarczyć im ten enzym, komórki będą nieśmiertelne?

- Można tak powiedzieć, upraszczając. W każdym razie to oznacza dłuższe życie prawie dla wszystkich. - Wyszczerył zęby w uśmiechu.

Cały zeszywniałem. Poczułem przyływ adrenaliny. Pomyślałem sobie, że przecież nie mam nic do stracenia. Ale może jeszcze nie teraz? Motcombe mnie tu nie zabije. To zbyt ryzykowne. Będą musieli gdzieś mnie stąd zabrać i pewnie zrobi to sam Motcombe, bo Davenham nie będzie chciał sobie brudzić rąk. A jeden na jednego to zawsze jest jakaś szansa.

Tymczasem wykład trwał:

- Jeśli udałoby się nam zwolnić proces starzenia, a tym samym zmniejszyć liczbę zachorowań na choroby wieku starczego: Parkinsona, nowotwory, osteoporozę, wiesz, jakie oszczędności odnotowałoby ministerstwo zdrowia? Starzy ludzie ze swoimi dolegliwościami to wielki wydatek w budżecie państwa.

- Więc wszystko to robiliście dla dobra kraju i ratowania służby zdrowia! - rzuciłem sarkastycznie, pociągając

-

whisky ze szklanki, którą do tej pory tylko obracałem w dłoniach.

Davenham wzruszył ramionami.

- Byłyby również korzyści handlowe. Ale wówczas tak bardzo o tym nie myślałem. Chciałem tylko własnego laboratorium i środków na badania. Miałem pomysły i chciałem je wcielać w życie. Williama poznałem na studiach, tak jak twojego brata, ale to już wiesz. Potem straciliśmy kontakt na parę lat, by spotkać się ponownie przy obiedzie, gdy Bransbury był już ministrem. Opowiedziałem mu o swoich planach, a on zgodził się pomóc.

No jasne, mogę się założyć. Pewnie go uwiódł, a potem szantażował. Przypuszczałem, że ich związek nadal trwał.

- W mojej pracy badawczej eksperymentowałem z wieloma różnymi substancjami. - Davenham zakreślił płynem w pięknie ciętej kryształowej szklance. – Wśród nich były PBDE, czyli polibromowane difenyletery, jeśli wolisz pełną nazwę. Rozkładają hormony, zakłócają wydzielanie wewnętrzne, niszczą spermę. W procesie używany był również akrylamid, związek chemiczny podejrzewany o działanie rakotwórcze, jednak aby to sprawdzić, należałoby przeprowadzić testy na ludziach. Tylko jak to zrobić?

Podniósł się i nalał sobie kolejnego drinka. Łypnąłem na Motcombe'a, zastanawiając się, jaką miałem szansę uniknięcia jego lufy. Jednak ten obserwował mnie nieprzerwanie, a broń była gotowa do strzału.

- Proces utylizacji substancji rakotwórczych wymaga wielkiej ostrożności. Może to nawet pamiętasz ze studiów.

Jeśli twoja choroba psychiczna wymazała ci wiedzę, to przypomnę. Takie substancje muszą być podwójnie pakowane w hermetycznych pojemnikach i odpowiednio oznakowane.

- Ale ty nie spełniłeś żadnego z tych warunków - wyrzuciłem z siebie.

- Miałem umowę z pewną firmą na kontynencie, która miała za odpowiednią opłatą zajmować się ich utylizacją. - Davenham znów wzruszył ramionami. - Nie było w tym nic nielegalnego, a przynajmniej wówczas.

- Rany boskie, tylu ludzi umarło przez ciebie!

- To nie ja wzniciłem ten pożar.

Zerwałem się, ale Motcombe był szybszy. Zdzielił mnie w twarz kolbą pistoletu. Przyłożyłem rękę do krwawiących ust.

Davenham pokręcił głową z niesmakiem.

- Daj mu chusteczkę, nie chcę tu jego krwi na meblach. Naprawdę, Adam, nie bądź taki impulsywny. Frank Rutland wiedział, co przewozi. Nieźle na mnie zarabiał, choć nie było tego po nim widać.

- Ty go zabiłeś? - zapytałem zdziwiony.

- Ależ skąd! Ani nie ja zabiłem Bywockyego. Bo widzisz, Adam, tym się różnimy, że ty wszystko chcesz spartolić sam, a ja do wszystkiego zatrudniam profesjonalistów.

Spojrzałem na Motcombe'a. Wzruszył ramionami, choć słowa Davenhama wyraźnie podłechtwały jego dumę.

- Po tym pożarze na statku Rutland zrobił się trochę nerwowy, mimo że nie było dowodów, aby to właśnie pochodne akrylamidu powodowały raka. Pracowaliśmy jeszcze

do 1995, dopóki traktat z Basel nie zakazał eksportu takich substancji. Do tamtego momentu działaliśmy całkowicie legalnie.

- Nieoznaczenie szkodliwej substancji też było całkiem legalne?! - warknąłem. - Ci strażacy weszli na pokład, nie wiedząc, z czym mają do czynienia. Po co to było? Przecież twoje laboratorium działało legalnie. Tu nie mogło chodzić tylko o pieniądze! - krzyknąłem z niedowierzaniem.

- Zawsze chodzi tylko o pieniądze - pokiwał głową Davenham. - Choć masz rację, dziadowskie oszczędności to nie w moim stylu. Niestety konkurencja nie śpi, a jeśli chce wiedzieć, co robisz, najpierw zagląda do twoich śmieci. Gdybym napisał na pojemnikach, co dokładnie wyrzucam, wystarczyłby tylko zdolny chemik i stałoby się jasne, co badam. Nie mogłem sobie na to pozwolić, dlatego też w miarę możliwości pracowałem w pojedynkę. Och, zapomniałbym o świętej pamięci Gerrym Drakeu!

Pomyślałem o Jody. Czy jej ojciec wiedział, co Davenham robił z tymi odpadami? A może tak jak Simona obchodziły go tylko własne sprawy?

- Cokolwiek sobie myślisz, Adam, prowadzę badania nad ważnym lekiem. Zbyt ważnym, żeby pozwolić sobie na skrupuły. Już osiągnąłem znaczące sukcesy w dziedzinie odmładzania skóry. Widziałeś pewnie reklamy serii kosmetyków April i kremów odmładzających? Dzięki nim stałem się bogatym człowiekiem.

Spojrzałem na Motcombe'a.

- To ty zadbałeś o to, żeby zbiornik z gazem znalazł się w klubie i wybuchł, kiedy Jack wszedł do środka - powiedziałem. - Wepchnąłeś go tam czy po prostu pozwoliłeś mu

wejść przed sobą?

- Jack zawsze był człowiekiem czynu. - Uśmiechnął się szyderczo.

Chlusnąłem mu w twarz resztką whisky, ale Motcombe znowu był szybszy. Pistolet wylądował na mojej głowie i wszystko wokół pogrążyło się w ciemności.

ROZDZIAŁ 18

Kiedy się obudziłem, leżałem na boku oparty policzkiem o coś twardego. Podniosłem głowę i klnąc pod nosem, skrzywiłem się z bólu, gdy żwir otarł mi skórę. Próbowałem poruszyć rękoma, ale Motcombe mocno mi je związał za plecami. Było ciemno. Na szczęście obok wymacałem ramieniem ścianę, na której mogłem się oprzeć i z wysiłkiem wstać. We łbie łupało jak diabli, jakby kiepska orkiestra grała tam symfonię Beethovena. Przy każdym ruchu brzęczało mi w uszach.

Za to nogi miałem wolne - chociaż tyle. Wciągnąłem nosem powietrze. Wyczułem wilgoć i zgniliznę, i jeszcze coś, czego nie byłem w stanie rozpoznać. Nadstawiłem uszu, ale wszystko, co słyszałem, to chrobot i tupot szczurzych łapek.

Oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności i zacząłem rozpoznawać ów dziwny zapach. Moje domysły potwierdziła syrena barki rzecznej. Byłem w opuszczonym budynku na brzegu Tamizy, pewnie w starym magazynie jeszcze nieprzerobionym na apartamenty.

Błysnęła latarka i w głębi budynku, tuż obok przwróconego stalowego dźwigara, dostrzegłem dwóch ludzi

- Davenham i Motcombe! Nie kłócili się, ale i nie wyglądało, że gawędzą o pogodzie. Zapewne decydowali, co ze mną zrobić.

Mój wzrok miotał się po ciemnym wnętrzu, szukając jakiegoś wyjścia, jednak na próżno. Byłem zbyt otumaniony, żeby myśleć jasno, ale wiedziałem, że muszę ruszyć głową, inaczej nie wyjdę stąd żywy.

Davenham rzucił okiem w moją stronę.

- Oprzytomniał - powiedział.

Podeszli do mnie. Motcombe niósł latarkę i broń, ale to, co zobaczyłem w rękach Davenhama, przerażyło mnie znacznie bardziej.

- Nic się nie martw, Greene, nic nie poczujesz. Tylko ukłucie i świat przestanie istnieć.

Próbowałem zwilżyć językiem wargi i przełknąć ślinę, ale w ustach miałem Saharę. Serce pędziło jak szalone, jeszcze chwilę i nie będą musieli używać żadnej strzykawki. Wykijuję na zawał.

- No i co teraz? - udało mi się w końcu wykrztusić. Sam nie poznawałem własnego głosu.

- Do rzeki. Samobójstwo.

- Co tam jest? - Wskazałem głową na strzykawkę.

- Heroina.

- Chryste! - Zacząłem się szarpać, ale Motcombe chwycił mnie mocno za ramię.

- Nie ma co się wyrywać. Ben Lydeway też próbował.

- Zabiliście go? - wycharczałem.

- Na początku myślałem, że się nam przyda, zwłaszcza gdy dowiedziałem się, kim była jego siostra - chłodno wyjaśnił Motcombe. - On był przekonany, że to ty wypchnąłeś ją z okna. Chciał się zemścić. A w rzeczywistości twoja dziewczyna

-

była na takim haju, że sama chciała sobie polatać. O tym, jak zginęła jego siostra, Lydeway dowiedział się niedawno, dopiero po śmierci matki o wszystkim opowiedziała mu ciotka. Krótco po pogrzebie Alison cała rodzina wyemigrowała do Nowej Zelandii. Narwany głupek, to oblewanie farbą obrazów mogło uratować ci życie, gdyby policja cię przytknęła. Ale jak cię znajdą, wszystko im się ułoży. Celowe przedawkowanie. Alison, Ben i oczywiście Frank Rutland... Zabiły cię wyrzuty sumienia.

- A niby po co miałbym zabijać Rutlanda?

- Coś wymyślimy i coś podłożymy. Policja nie będzie bardzo dociekliwa, gdy nadarzy im się okazja zwiększenia wykrywalności. Nie masz już wyjścia.

Musiało być jakieś wyjście. Zdesperowany poganiałem umysł, który co chwilę się wyłączał. Wtedy zobaczyłem kogoś zupełnie nieoczekiwanego. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Przedśmiertne halucynacje? Z ciemności wyłoniła się Jody, szła w naszym kierunku.

- Chyba nie sprawił ci kłopotu, prawda, Pete? - zapytała.

Przez chwilę Motcombe wyglądał na równie zaskoczonego co ja, ale zaraz się uśmiechnął.

- Nie, nie ma takiej szansy - stwierdził.

- To dobrze.

Żołądek podszedł mi do gardła. Wiedziałem, że ona to wszystko uknuła razem z nimi! Teraz miałem dowód.

- Suka! - rzuciłem przez zęby.

- Lepiej już z tym skońcicie - powiedziała, patrząc mi prosto w oczy.

-

- Ale skąd wiedziałaś, że tu jestem? - zapytał Motcombe.

Rzuciła wymowne spojrzenie w stronę Davenhama. Ten zmarszczył brwi, wyglądał na całkowicie zdezorientowanego.

- Kto to jest, do diabła? - warknął.

- Tim, daj spokój. Nie czas na udawanie. - Uśmiechnęła się.

- Nie znam cię! - wypluł.

- Sam widzisz, Pete - znowu zwróciła się do Motcombe'a, podchodząc do niego bliżej. - Opowiedział mi o tym laboratorium i o tym, w jaki sposób ma zamiar cię zabić. Tak, ciebie, Pete! Bo inaczej dlaczego by tak nalegał, żebyś też tu był? Chciał mieć pewność, że zlikwidujesz Greene'a i wtedy już nie będziesz potrzebny.

- Bzdury! Pozbądź się jej! - krzyknął Davenham.

Ale było słyhać, że Jody potrąciła czułą strunę.

Wszystko się układało. Przecież nie potrzeba aż dwóch facetów do zabicia jednego, i to związanego. Mój mózg znowu zaczynał pracować.

- Ona ma rację, Motcombe! - rzuciłem szybko. - Davenham nie pozwoli ci żyć. Wie, że inaczej oskubiesz go do zera, podobnie zresztą jak ministra.

Spojrzeni po sobie nerwowo. Tymczasem ja sprawdzałem, jak mocno skrępowali mi ręce i próbowałem trochę rozluźnić węzeł. Jody powoli zbliżała się do Motcombe'a.

- Chyba w to nie uwierzysz! - wrzasnął Davenham.

- Zamknij się! - warknął Motcombe, odwracając się w jego stronę.

Ja popatrzyłem na Jody i dostrzegłem coś, czego nie brałem pod uwagę. Jej oczy powędrowały w moim kierunku, a

następnie łypnęły na pistolet Motcombe'a. Już nie wiedziałem, co jest prawdą, a co kłamstwem, ale jej intencje stały się dla mnie jasne. Serce mi przyspieszyło.

- Może w tej strzykawce wystarczy heroiny dla mnie i dla ciebie, Motcombe - powiedziałem. - Czy wiedziałeś, że ona jest córką Drake'a?

- Co takiego!?! - Chudzielec błyskawicznie się odwrócił w stronę Jody.

To wystarczyło Davenhamowi. Skoczył ku współnikowi, wbijając mu strzykawkę w ramię i błyskawicznie dociskając tłoczek. Motcombe odchylił się do tyłu, ale miał jeszcze dość siły, by podciąć nogi Davenhama, i obaj upadli na ziemię. Pistolet przekoziółkował kilka stóp od nich, a Jody rzuciła się w jego kierunku. W tym momencie zdołałem uwolnić ręce. Nie wiedziałem, jak długo potrwa, zanim heroina zacznie działać lub któryś z nich zginie od strzału. I nie miałem zamiaru czekać. Spojrzałem na Jody i choć nie byłem jeszcze pewny, czy mogę jej ufać, musiałem podjąć próbę. Poza tym wciąż nie mogłem przestać o niej myśleć inaczej niż jako o tej pociągającej dziewczynie badającej kraby.

- Uciekajmy! - Chwyciłem Jody za ramię, ale mi się wyrwała.

- Nie! - krzyknęła. - Zbyt długo na to czekałam! - Wskazała lufą Davenhama. - Zabił mojego ojca.

- Chryste, Jody! Zostaw ich!

Ale było za późno. Davenham wyrwał się i zdołał chwycić jej nogę. Szarpnięta runęła jak kłoda, a pistolet poszybował z jej dłoni. Davenham tylko wyciągnął ramię i złapał go w locie. W tym momencie znów dopadł go Motcombe.

Złapałem Jody za rękę i jednym pociągnięciem postawiłem ją do pionu.

- Biegnij! - krzyknąłem.

Nie ruszyła się z miejsca. Musiałem wykręcić jej rękę, żeby dała się wreszcie odciągnąć. Przypomniałem sobie jeszcze o latarce, która gdzieś tu musiała upaść, ale nie mieliśmy czasu. Biegliśmy więc w ciemności. Nie miałem pojęcia, gdzie jestem i gdzie ciągnę wciąż stawiającą opór Jody.

- Posłuchaj! - wrzasnąłem, łapiąc powietrze. Przez chwilę nasłuchiwałem, czy nas nie gonią. - W cokolwiek grasz, to już koniec. Twój ojciec nie żyje, Jack nie żyje, jeśli natychmiast się stąd nie zwiniemy, to też będziemy martwi. Tego chcesz? A może by wyszło na jaw, że twój ojciec był zdrajcą?

- Nie był żadnym zdrajcą! - krzyknęła.

- Nikt w to nie uwierzy, a Davenhamowi uwierzą wszyscy. Czy nie widzisz, że musimy przeżyć, aby przedstawić swoją wersję? Idziesz wreszcie? - Skinęła głową, a ja wskazałem kierunek, z którego dobiegały odgłosy rzeki. - Tam musi być wyjście.

Czułem powiew chłodnego powietrza na twarzy, a ostry zapach Tamizy narastał. Usłyszałem strzał. Oboje zamarliśmy, spoglądając za siebie, ale nie dostrzeżliśmy niczego w ciemności.

- Ostrożnie! - Złapałem Jody, gdy jej stopa ześlizgnęła się z gnijącej deski. - Wygląda na to, że jesteśmy na pierwszym lub drugim piętrze. Tu wszędzie dookoła są dziury w podłodze. Trzymaj mnie za rękę.

Posuwaliśmy się maleńkimi krokami, słysząc, jak gruz spod naszych stóp spada w dół i uderza o beton.

Zbliżyliśmy się powoli do miejsca, skąd było czuć powiew powietrza i zapach rzeki. Przez chwilę szliśmy po wąskiej stalowej belce, która zapewne podtrzymywała strop. Czułem się jak dziecko pokonujące harcerskie przeszkody. Szurałem stopami i próbowałem łapać równowagę, wystawiając ręce na boki. Jednak to nie był obóz harcerski, a na dole nie było miękkich materacy. Za moimi plecami słyszałem ciężki oddech Jody.

- Tu są jakieś schody, nie wiem, na ile bezpieczne, ale musimy spróbować. - Zatrzymałem się, biorąc ją za rękę. Wydawało mi się, że coś słyszę, ale nie wiedziałem co i z której strony.

Bardzo powoli schodziliśmy po stopniach w dół, nie wiedząc nic o miejscu, do którego idziemy.

„Królestwo za latarkę” - pomyślałem i wtedy Bóg jakby usłyszał moje wołanie. Zza chmur wyjrzał księżyc. Spojrzałem na Jody i zobaczyłem jej ponury uśmiech.

Teraz mogliśmy przyspieszyć. Jeszcze kilka stopni i będziemy na parterze, kilka kolejnych i już rzeka i jesteśmy uratowani. Jednak gdy pędziliśmy w dół, na dole schodów drogę zastąpiła nam ciemna postać - Davenham. W lewej dłoni trzymał zapalniczkę, w prawej pistolet Motcombe'a. W jaki sposób, do diabła, znalazł się tu szybciej od nas? Najwyraźniej musiała być inna, łatwiejsza droga. No chyba że się teleportował.

- Dostyc tego! - rzucił rozkazującym tonem.

Płomień zapalniczki zamigotał, a chmury nagle przysłoniły księżyc. W tym momencie bez chwili zastanowienia rzuciłem się na Davenhama i przewróciłem go na ziemię. Dostał kilka razy pięścią w twarz, zapalniczka wypadła mu z ręki.

- Adam, patrz! - krzyknęła Jody.

Spojrzałem za siebie i zobaczyłem płomienie pełzające w górę po schodach. Wnętrze już wypełniało się gęstym, drażniącym oczy czarnym dymem. Zerwałem się i spojrzałem na Davenhama.

- Nie, zostaw go! - usłyszałem.

Zawahałem się.

- Nie mogę! Zginie w płomieniach!

- Adam, bo i my zginieemy! - Szarpnęła mnie za rękaw.

W tej samej chwili kilka cali ode mnie runął kawał belki stropowej. Odskokczyłem, kaszląc. W każdej chwili cały budynek mógł pogrzebać nas żywcem. Nas i śledztwo Jacka.

- Na czworaka! - wyplułem z siebie. - Czołgajmy się! - próbowałem przekrzyczeć huk pożaru.

Syczące, trzaskające płomienie zdawały się szeptać: „Jeszcze was dopadniemy!”. Dym był powalający, a żar nie do zniesienia. I nagle znaleźliśmy się na zewnątrz. Za plecami ściana, a pod nami głęboka, nieprzenikniona czeluść. Była tylko jedna droga ucieczki, w dół. Widząc ścigające nas płomienie, krzyknąłem:

- Jody, skacz! Skacz!

Objąłem ją ramionami i oboje zanurkowaliśmy w ciemność. Zdążyłem tylko pomyśleć, że jeśli jest odpływ, to po nas.

Zimna woda zabrała mi oddech. Przez chwilę pomyślałem, że zaraz serce też stanie. Opadałem.

„Jody, gdzie jest Jody?!” - pomyślałem nagle.

Zebrałem resztki sił i wypłynąłem z wysiłkiem. Wtedy ją dostrzegłem. Jody płynęła do brzegu - widziałem jej głowę odcinającą się od łuny pożaru. Na powierzchni usłyszałem zbliżający się ryk strażackich syren. Chciałem krzyknąć, ale w tym momencie cuchnąca woda Tamizy zalała mi usta. Próbowałem pluć, jednak znów połknąłem cały haust. Jeśli ujdę z życiem, to z pewnością zachoruję na żołądek.

Jody zauważyła mnie wreszcie i podpłynęła.

- Ze mną w porządku! - krzyknęła.

Wtedy zauważyliśmy łódź płynącą w naszą stronę.

„Rozjedzie nas!” - przemknęło mi przez głowę.

Oboje zaczęliśmy wymachiwać ramionami i krzyczeć.

Byłem tak ciężki, że ledwie utrzymywałem się na powierzchni. Ostatkiem sił opierałem się ściągającej mnie w dół Tamizie. Brudna, mulista woda co chwilę wpływała mi do ust. Krtusiłem się i dusiłem. Już nie dawałem rady.

Jody też słabła, i to nawet szybciej.

„Muszę ją ratować” - pomyślałem.

Próbowałem podpłynąć bliżej, ale moje ubranie było chyba z ołowiu. Warkot silnika zbliżającej się łodzi narastał. W tym momencie dostrzegłem znikającą pod wodą głowę Jody. Nie mogłem pozwolić jej umrzeć. Sam też nie chciałem umierać, zwłaszcza że pomoc była tak blisko.

Czy jednak ci na łodzi w ogóle nas widzieli? Znów podnosiłem ramię, chciałem krzyczeć i znów połknąłem potężny haust wody. Znów kaszel i plucie. Rzeka ciągnęła mnie w dół.

Nagle coś mnie z niej wyrwało. Moment olśnienia. Wciągają mnie na łódź, jestem uratowany. Ale gdzie Jody?! Chciałem wrzeszczeć, powiedzieć im, jednak ani jeden dźwięk nie wydostał się z mojego gardła. Ktoś już owijał wokół mnie koc. W tym momencie usłyszałem słowa, na które tak bardzo czekałem:

- W porządku, szefie, mamy ją.

OD AUTORKI

Powieść ta jest osadzona głównie w Portsmouth, w hrabstwie Hampshire na południowo-wschodnim wybrzeżu Anglii. Mieszkańcy miasta i turyści proszeni są jednak o wybaczenie autorce, że użyła swojej wyobraźni i licencji poetyckiej do zmiany nazw miejsc i ulic.

Bo ta książka w całości jest fikcją. Przedstawione w niej postaci, miejsca i zdarzenia są jedynie wytworami wyobraźni. Jakikolwiek podobieństwo do osób żyjących czy zmarłych, wydarzeń czy miejsc jest całkowicie przypadkowe.

Pauline Rowson wychowała się w Portsmouth i tam znajduje tło dla swoich powieści. Przez wiele lat prowadziła własną firmę zajmującą się marketingiem i public relations, obecnie pisze i prowadzi odczyty. Jest autorką kilku książek z zakresu marketingu, poradników i podręczników. Mieszka w Hampshire i rzadko stamtąd wyjeżdża, gdyż nawet krótkie rozstanie z morzem przyprawia ją o symptomy choroby sierocej.

SPIS TREŚCI

Prolog.....	7
Rozdział 1	9
Rozdział 2	21
Rozdział 3	31
Rozdział 4	45
Rozdział 5	57
Rozdział 6	67
Rozdział 7	83
Rozdział 8	97
Rozdział 9	109
Rozdział 10	121
Rozdział 11	137
Rozdział 12	155
Rozdział 13	169
Rozdział 14	179
Rozdział 15	189
Rozdział 16	203
Rozdział 17	217
Rozdział 18	229
Od autorki	239